

TOM CLANCY



OP-CENTER
CENTRUM SZYBKIEGO REAGOWANIA



DZIEL I ZDOBYWAJ

Seria Toma Clancy'ego i Steve'a Pieczenika

Tekst Jeff Rovin

TOM CLANCY

DZIEL I ZDOBYWAJ

TOM CLANCY

w Wydawnictwie Amber

BEZ SKRUPUŁÓW

CZAS PATRIOTÓW

CZERWONY KRÓLIK

CZERWONY SZTORM

DZIEL I ZDOBYWAJ

KARDYNAŁ Z KREMLA

POLOWANIE NA „CZERWONY PAŹDZIERNIK”

STAN ZAGROŻENIA

TECZA SZEŚĆ

ZĘBY TYGRYSA

TON

CLANCY

OP-CENTER CENTRUM SZYBKIEGO REAGOWANIA

DZIEL I ZDOBYWAJ

Seria Toma Clancy'ego i Steve'a Pieczenika

Tekst Jeff Rovin

Przekład

Kamil Gryko

Tomasz Wilusz

AMBER

Tytuł oryginału TOM CLANCY'S OP-CENTER: DIVIDE AND CONQUER

Redaktorzy serii

MAŁGORZATA CEBO-FONIOK, ZBIGNIEW FONIOK

Redakcja stylistyczna AGATA NOCUŃ

Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta

JOLANTA KUCHARSKA, RENATA KUK

Ilustracja na okładce ARCHIWUM WYDAWNICTWA AMBER

Opracowanie graficzne okładki STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu <http://www.amber.sm.pl>

<http://www.wydawnictwoamber.pl>

Copyright 2000 by Jack Ryan Limited Partnership and S&R Literary, Inc. All rights reserved.

For the Polish edition Copyright © 2004 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-1919-1

PROLOG

Waszyngton

Dwaj mężczyźni siedzieli w skórzanych fotelach w kącie wyłożonej boazerią biblioteki. Zaciszny pokój mieścił się w dostojnym budynku przy Massachusetts Avenue. Zaciągnięte zasłony chroniły dzieła sztuki przed promieniami słońca.

Jedynym źródłem światła był przyćmiony blask dopalającego się w kominku ognia, który nappełniał stary pokój nikłym zapachem dymu.

Jeden z mężczyzn, wysoki, tęgi i swobodnie ubrany, o przeredzonych siwych włosach i pociągłej twarzy, pił czarną kawę z niebieskiego kubka z napisem CAMP

DAVID i uważnie studiował kartkę tkwiącą w zielonej teczce. Jego towarzysz, siedzący naprzeciwko, plecami do szafy z książkami, był niski, krępy jak buldog, miał trzyczęściowy szary garnitur i krótko ostrzyżone rude włosy. W dłoni trzymał pusty kieliszek, który jeszcze przed chwilą wypełniony był po brzegi szkocką. Siedział z nogą założoną na nogę, stopa drgała mu nerwowo. Drobne skaleczenia na policzku i podbródku świadczyły, że golił się niestarannie, w pośpiechu.

Wyższy mężczyzna zamknął teczkę i uśmiechnął się.

-

Celne uwagi. Bardzo celne.

-

Dziękuję - powiedział rudy. - Jen świetnie pisze. - Niespiesznie zdjął

nogę z nogi i pochylił się do przodu. Skórzane siedzenie zaskrzypiało. -

W połączeniu z dzisiejszą odprawą to nada sprawom szybszy bieg. Jesteś tego świadomy, mam nadzieję?

-

Oczywiście - powiedział wyższy. Odstawił kubek na stolik, wstał, pod szedł do kominka i wziął pogrzebacz. - Boisz się?

-

Trochę - przyznał rudowłosy.

-

Dlaczego? - spytał wyższy i wrzucił teczkę do ognia. Szybko się zajęła.

- Nie zostawiliśmy żadnych śladów.

-

Nie o nas się martwię. To będzie miało swoją cenę - powiedział rudo włosy ze smutkiem.

-

Już o tym rozmawialiśmy - powiedział wyższy. - Wall Street będą za chwyceni. Naród jakoś się z tym pogodzi. A państwa, które spróbują wykorzystać sytuację, gorzko tego pożałują. - Szturchnął pogrzebaczem palącą się teczkę. - Jack opracował portrety psychologiczne. Wiemy, z czym mogą być kłopoty. Ucierpi tylko jeden człowiek, ten, który nas w to wplątał.

A i tak wyjdzie na swoje. Mało tego, będzie pisał książki, wygłaszał prze mówienia... zarobi grube miliony.

Te słowa zabrzmiały cynicznie, ale rudy wiedział, że to tylko złudzenie. Znał

swojego rozmówcę od przeszło trzydziestu pięciu lat, służyli razem w Wietnamie.

Walczyli ramie w ramie w Hue podczas ofensywy Tet, bronili składu amunicji, gdy reszta plutonu została wybita do nogi. Gorąco kochali swój kraj i to, co robili, było wyrazem ich głębokiego patriotyzmu.

-

Jakie wieści z Azerbejdżanu? - spytał wysoki.

-

Wszyscy są na miejscu. - Rudowłosy spojrzął na zegarek. - Będą obserwowac cel z bliska, pokażą naszemu człowiekowi, co ma robić. Następnego meldunku spodziewamy się za jakieś siedem godzin, nie wcześniej.

Wyższy skinął głową. Zapadła cisza, zakłócana tylko trzaskiem płonącej teczki.

Rudowłosy westchnął, odstawił kieliszek i wstał.

-

Musisz się przygotować do odprawy. Masz do mnie coś jeszcze?

Wysoki rozrzucił popiół. Odłożył pogrzebacz i spojrzął na swojego rudo włosego towarzysza.

-

Tak - powiedział. - Musisz się odprężyć. Możemy bać się tylko jednego.

Rudowłosy uśmiechnął się porozumiewawczo.

-

Strachu.

-

Nie. Paniki i z wąp ienia. Wiemy, czego chcemy i jak to osiągnąć. Jeśli zachowamy spokój i zimną krew, wszystko będzie dobrze.

Rudy skinął głową. Podniósł skórzaną teczkę leżącą obok fotela.

-

Jak to mówił Benjamin Franklin? Rewolucja jest zawsze legalna w pierw szej osobie, czyli kiedy jest „naszą” rewolucją. Za to w trzeciej osobie jest nielegalna, bo wtedy jest „ich” rewolucją.

-

Pierwsze słyszę - powiedział wysoki. - Ale to dobre.

Rudy uśmiechnął się.

-

Wmawiam sobie, że robimy to samo, co ojcowie naszego narodu. Zmie niamy złą formę rządów w lepszą.

-

Otóż to - powiedział jego towarzysz. - A teraz idź do domu, odsapnij, obejrzyj mecz. Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze.

-

Chciałbym w to wierzyć.

-

Czy to nie Franklin powiedział, że na tym świecie nie ma nic pewnego, oprócz śmierci i podatków? Daliśmy z siebie wszystko, zrobiliśmy co w na szej mocy. Musimy wierzyć.

Rudowłosa pokiwał głową.

Uścisnął dłoń towarzysza i wyszedł.

Za dużym, mahoniowym biurkiem pod drzwiami biblioteki siedziała młoda asystentka. Uśmiechnęła się do niego, zanim ruszył długim, szerokim, wyłożonym dywanem korytarzem w stronę drzwi.

Wierzył, że plan się powiedzie. Naprawdę. Obawiał się tylko, że niełatwo będzie zapanować nad konsekwencjami.

Nieważne, pomyślał, kiedy strażnik otworzył mu drzwi. Wyszedł na słońce. Wyjął z kieszeni koszuli ciemne okulary i założył je. Trzeba działać, i to już.

Idąc brukowanym podjazdem, powtarzał sobie w duchu, że zdaniem wielu ojcowie-założyciele dopuścili się zdrady, powołując do życia naród amerykański. Myślał

też o Jeffersonie Davisie i przywódcach Południa, którzy utworzyli Konfederację, by zaprotestować przeciwko wyzyskowi. To, co robił on i jego ludzie, nie było ani bezprecedensowe, ani niemoralne.

Było za to niebezpieczne, nie tylko dla nich samych, ale i dla całego narodu.

Wiedział, że będzie mógł odetchnąć dopiero w chwili, kiedy kraj znajdzie się pod ich całkowitą kontrolą.

ROZDZIAŁ 1

Baku, Azerbejdżan

Niedziela, 23.33

David Battat spojrział ze zniecierpliwieniem na zegarek. Spóźniali się już prawie trzy minuty. To żaden powód do niepokoju, powiedział sobie niski, zwinny Amerykanin. Mogło ich zatrzymać tysiąc rzeczy, ale w końcu się zjawia. Przy płyną szalupą albo motorówką, może z innej łodzi, a może z nabrzeża położonego czterysta metrów na prawo. Najważniejsze, że tu będą.

Oby, pomyślał. Nie mógł znowu nawalić. Choć poprzednim razem to nie on zawinił.

Czterdziestotrzyletni Battat był szefem małego biura CIA w Nowym Jorku, znajdującego się naprzeciwko siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jego mała grupa odpowiadała za elektroniczne szpiegowanie szpiegów. Innymi słowy, mieli na oku zagranicznych „dyplomatów”, którzy wykorzystywali swoje konsulaty jako bazy obserwacyjne i wywiadowcze. Jedną z podwładnych Battata była młoda agentka, Annabelle Hampton.

Przed dziesięcioma dniami przyjechał do amerykańskiej ambasady w Moskwie. CIA miała przeprowadzić próbę łączności z nowym satelitą akustycznym. Gdyby sprawdził się nad Kreml, zostałyby wykorzystane do bardziej skutecznego podsłuchiwania konsulatów w Nowym Jorku. Jednak w czasie pobytu Battata w Moskwie Annabelle pomogła grupie terrorystów przeniknąć do siedziby ONZ. I co gorsza, zrobiła to dla pieniędzy, nie dla zasad. Battat był w stanie zrozumieć naiwnych idealistów. Dla zwykłej dziwki nie miał za grosz szacunku.

Choć oficjalnie nie obarczono go winą za zdradę Annabelle, faktem pozostawało, że to on sprawdził ją przed przyjęciem do Agencji, a potem zatrudnił.

Przeprowadziła swoją „akcję wspierającą”, jak to określono, dosłownie pod jego nosem. Z psychologicznego i politycznego punktu widzenia powinien odpokutować za swój błąd. Inaczej musiałby się liczyć z utratą stanowiska 9

na rzecz ściągniętego z Waszyngtonu agenta, który zastępował go podczas jego nieobecności. Sam pewnie zostałby wysłany do Moskwy, a tego chciał uniknąć. FBI miała wyłączność na kontakty z gangsterami rządzącymi Rosją i nie dzieliła się informacjami z CIA. Nie miałyby tam więc nic do roboty prócz przesłuchiwania znudzonych aparatczyków, którzy tylko rozpamiętywali stare dobre czasy i prosili o wizy do dowolnego kraju położonego na zachód od Dunaju.

Spojrział nad wysoką trawą na ciemne wody zatoki Baku, łączącej się z Morzem Kaspijskim. Podniósł

aparatu cyfrowy i obejrzał „Rachel” przez teleobiektyw. Na pokładzie dwudziestometrowego jachtu nie działo się nic. Pod pokładem paliło się kilka świateł. Pewnie czekają. Opuścił aparat. Ciekawe, czy niecierpliwia się tak jak on.

Pewnie tak, stwierdził. Terrorysty na ogół są spięci, ale skoncentrowani. Dzięki temu łatwiej ich namierzyć w tłumie.

Znow spojrzał na zegarek. Już pięć minut spóźnienia. Może to i lepiej. Miał

okazję, by zapanować nad nerwami, skupić się na zadaniu. Nie było to łatwe.

Od piętnastu prawie lat nie działał w terenie. Pod koniec wojny w Afganistanie był łącznikiem między CIA a mudżahedinami. Wysyłał z linii frontu meldunki o sile wojsk sowieckich, ich uzbrojeniu, rozmieszczeniu, taktyce i innych szczegółach, które byłyby istotne, gdyby Stany Zjednoczone miały walczyć z Sowietami lub wojskami przez nich szkolonymi. W tamtych czasach najważniejsi byli szpiegi, a nie zdjęcia satelitarne czy nagrania, nad którymi pracują potem grupy ekspertów. Battat i inni agenci starej daty, szkoleni w tradycyjnych metodach pracy wywiadu, nazywali tych specjalistów od analiz wykształconymi ślepyimi kurami, bo mniej więcej co druga ich konkluzja okazywała się trafna.

Równie dobrze można by rzucać monetą.

A teraz, ubrany w czarne buty, niebieskie dżinsy, skórzane rękawice, czarny golf i czarną bejsbolówkę, Battat wypatrywał potencjalnego nowego wroga. Jeden z tych zniechęconych satelitów podczas próbnego rozruchu przechwycił pewną transmisję. Z nieznanych dotąd powodów, grupa zwana Dover Street wyznaczyła sobie spotkanie na „Rachel” - stwierdzono, że prawdopodobnie chodzi o łódź -

skąd miała zabrać Harpunnika. Jeśli to ten sam Harpunnik, który wymknął się CIA w Bejrucie i Arabii Saudyjskiej, koniecznie chcieli go dostać w swoje ręce.

Człowiek ten był odpowiedzialny za śmierć setek Amerykanów w zamachach terrorystycznych w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. W porozumieniu z Waszyngtonem ustalono, że Battat sfotografuje uczestników spotkania i przekaże zdjęcia do amerykańskiego konsulatu w Baku. Łódź będzie śledzona przez satelitę. Z Turcji zostanie wysłany oddział sił specjalnych, który usunie Harpunnika. Żadnych wniosków o ekstradycję, żadnych manewrów politycznych, po prostu 10

likwidacja w dobrym starym stylu. Jak to było w czasach, zanim skandal Iran-Contras przysporzył „brudnym” operacjom zły sławy. Zanim działanie zostało zastąpione przez ociąganie. Zanim dobre maniere zastąpiły dobre rządzenie.

Battat poleciał więc do Baku. Po przejściu kontroli celnej pojechał zatłoczonym, ale czystym metrem na stację Kataj nad morzem. Przejazd kosztował równowartość trzech centów, a wszyscy pasażerowie byli nadzwyczaj uprzejmi, pomagali sobie nawzajem wsiadać i wysiadać i

przytrzymywali drzwi spóźnialskim.

W placówce CIA w Ambasadzie Amerykańskiej w Baku było dwóch agentów. Policja azerska przypuszczalnie wiedziała, kim są, więc rzadko wyruszali w teren. W

razie potrzeby ściągali ludzi z zewnątrz. Nie ucieszą się na wieść o misji Battata. Cóż, stosunki między Stanami Zjednoczonymi a Azerbejdżanem były coraz bardziej napięte, a wszystko przez kaspijską ropę. Azerbejdżan próbował zalać rynek tanim surowcem, by wspomóc swoją kulejącą gospodarkę. To mogło wyrządzić wiele szkód amerykańskim firmom naftowym, które były tu tylko symbolicznie reprezentowane - skutek wielu lat rządów komunizmu. Moskiewska komórka CIA nie chciała zaognić sytuacji.

Battat przez całe popołudnie chodził po plaży i wypatrywał łodzi. Kiedy wreszcie ją znalazł, zakotwiczoną jakieś trzysta metrów od brzegu, usadowił się wygodnie na niskim, płaskim głazie wśród wysokich trzcin. Miał ze sobą plecak, butelkę wody, prowiant i aparat fotograficzny. Czekał.

Zapach słonego powietrza i ropy z platform wiertniczych był tu tak silny jak nigdzie na świecie. Wręcz palił nozdrza. Ale jemu to odpowiadało. Wszystko mu się podobało: piach pod gumowymi podeszwami butów, chłodna bryza owiewająca policzki, pot zwilżający dłonie i przyspieszone bicie serca.

Był ciekaw, ilu najeźdźców stało na tym brzegu, może nawet dokładnie w tym miejscu, co on. Persowie w XI wieku. Mongołowie w XIII i XIV. Rosjanie w XVIII wieku, potem znów Persowie, a po nich Sowietci. Nie wiedział nawet, czy on sam jest częścią dramatycznej historii, czy ohydneho, niekończącego się gwałtu.

Co za różnica, powiedział sobie. Nie przyjechał tu bronić Azerbejdżanu. Chciał

tylko zmazać swoje winy i chronić amerykańskie interesy.

Kucając w wysokich trzcinach na odludnej części wybrzeża, czuł się, jakby od zawsze działał w terenie. Lubił smak ryzyka. To jak ulubiona piosenka, zapach dobrze znajomego dania, na nowo odkryte zapomniane uczucie. Uwielbiał to. Był

zadowolony, że przydzielono mu obecne zadanie. Nie tylko dlatego, że mógł

odkupić swoją winę; również dlatego że robił to, co słuszne.

Tkwiał tu już prawie siedem godzin. Z podsłuchanych rozmów telefonicznych wynikało, że spotkanie zaplanowano na wpół do dwunastej. Harpunnik miał obejrzeć paczkę, cokolwiek w niej było, zapłacić i odjechać.

Na łodzi coś zaczęło się dziać. Otworzył się właz, na pokład wyszedł mężczyzna.

Battat obserwował go. Mężczyzna włączył radio. Lokalna stacja nadawała ludową muzykę. Może to sygnał. Battat omiótł spojrzeniem morze.

Nagle ktoś objął go za szyję i podniósł na nogi. Battat zakrztusił się. Próbował

wbić brodę w łokieć napastnika, by zmniejszyć nacisk na gardło i nabrać powietrza, ale ten, dobrze wyszkolony, prawą ręką obejmował go za szyję, a lewą pchał mu głowę do przodu, udaremniając jakikolwiek ruch. Battat chciał uderzyć go łokciem w brzuch, ale nie trafił, bo nieznajomy przezornie ustawił się nieco z boku. Spróbował więc złapać go za ramię i przerzucić przez bark.

Napastnik odchylił się i podniósł go lekko. Battat stracił punkt oparcia, nogi dyndały mu w powietrzu.

Walka trwała pięć sekund. Ramię napastnika uciskało arterie szyjne, odcinając dopływ krwi do mózgu. Battat stracił przytomność. Nieznajomy wolał nie ryzykować. Uciskał tętnice jeszcze przez pół minuty, po czym rzucił Battata na piach.

Harpunnik włożył rękę do kieszeni wiatrówki. Wyjął strzykawkę, zdjął plastikową osłonę i zrobił nieprzytomnemu mężczyźnie zastrzyk w szyję. Starł kroplę krwi, po czym włączył latarkę. Pomachał nią kilka razy. Odpowiedział mu błysk latarki z pokładu „Rachel”.

Potem oba światła zgasły. Z jachtu spuszczone motorówkę, która pomknęła w stronę brzegu.

ROZDZIAŁ 2

Camp Springs, Maryland

Niedziela, 16.12

Paul Hood siedział w fotelu w kącie małego pokoju hotelowego, rozświetlonego blaskiem z telewizora. Grube zasłony były zaciągnięte, trwał mecz, ale Hood tak naprawdę go nie oglądał. Przed oczami przebiegały mu wspomnienia. Wspomnienia szesnastu lat małżeństwa. Stare obrazy w nowym domu, pomyślał.

Nowym domem był nijaki pokój na czwartym piętrze Days Inn przy Mercedes Boulevard, niedaleko bazy lotniczej Andrews. Hood wprowadził się tu w sobotę późnym wieczorem. Choć mógł zamieszkać w motelu przy samej bazie, gdzie mieściła się kwatery główna Centrum Szybkiego Reagowa-12

nia, chciał choć na jakiś czas oderwać się od pracy. Co za ironia losu. W końcu to właśnie praca dla Centrum zniszczyła jego małżeństwo.

A przynajmniej tak twierdziła jego żona.

Przez ostatnich kilka lat Sharon Hood coraz trudniej było pogodzić się z tym, że mąż więcej czasu spędza w Centrum niż w domu. Wpadała w złość, ile razy z powodu kolejnego międzynarodowego kryzysu opuszczał recitale skrzypcowe ich córki, Harleigh, czy mecze syna, Alexandra. Irytowało ją, że praktycznie wszystkie planowane wspólne wyjazdy były odwoływane z uwagi na próby zamachu stanu czy zabójstwa, którymi musiał się zajmować. Nie znosiła tego, że nawet kiedy był z rodziną, wisiał na telefonie, wydzwaniał do zastępcy dyrektora Mike'a Rodgersa, by dowiedzieć się, jak Centrum Regionalne radziło sobie na ćwiczeniach w terenie, lub dyskutował z szefem komórki wywiadu Bobem Herbertem o sposobach zacieśnienia współpracy z rosyjskim Centrum w Sankt Petersburgu.

Ale Hood nie wierzył, by chodziło tylko o pracę. Tak naprawdę źródło ich problemów tkwiło głębiej.

Zrezygnował nawet ze stanowiska dyrektora i pojechał do Nowego Jorku na występ Harleigh na przyjęciu w ONZ, ale to Sharon nie wystarczyło. Była zazdrosna. Nie podobało jej się, że kobiety obecne na uroczystości otwarcie okazują zainteresowanie jej mężowi. Rozumiała, że Igną do niego, bo niegdyś był

popularnym burmistrzem Los Angeles, a potem objął prestiżowe stanowisko w Waszyngtonie, gdzie władza była podstawową walutą. Co z tego, że on sam nie przywiązywał wagi do chwały i zaszczytów? Co z tego, że subtelnie spławiał

wszystkie zaczepiające go kobiety? Dla Sharon najważniejsze było to, że znów musiała dzielić się mężem z innymi.

A potem zaczął się koszmar. Zbuntowani żołnierze sił pokojowych ONZ dokonali zamachu. Wzięli zakładników wśród Harleigh i jej kolegów. Hood zostawił Sharon w Centrum Kryzysowym Departamentu Stanu, a sam objął nadzór nad uwięzioną sukcesem operacją uwolnienia zakładników. Sharon uznała, że znów opuścił ją w potrzebie. Kiedy tylko wrócili do Waszyngtonu, zabrała dzieci do swoich rodziców w Old Saybrook, w stanie Connecticut. Powiedziała, że chce trzymać Harleigh z dala od mediów, które nie dawały dzieciom chwili spokoju.

Hood nie oponował. Na oczach Harleigh jeden z jej kolegów został ciężko ranny, a kilka innych osób poniosło śmierć. Sama o mało nie zginęła. Doświadczyła fizycznego zagrożenia, strachu o siebie i

przyjaciół i bezradności, a w końcu poczucia winy, tak częstego u ofiar, którym udało się przeżyć. Typowy szok pourazowy. Po tym wszystkim znaleźć się w blasku reflektorów, wśród krzyczących dziennikarzy to najgorsze, co mogłoby ją spotkać.

Ale Hood wiedział, że nie był to jedyny powód, dla którego jego żona wróciła do Old Saybrook. Sharon też musiała oderwać się od tego wszystkiego.

Potrzebowała spokoju i bezpieczeństwa, jakie zapewniał rodzinny dom, by pomyśleć o przyszłości.

O ich przyszłości.

Hood wyłączył telewizor. Położył pilota na stoliku, padł na poduszki i wbił

wzrok w biały sufit. Tyle że zamiast sufitu widział bladą twarz i ciemne oczy Sharon. Tak jak wyglądały w piątek, kiedy wróciła do domu i zażądała rozwodu.

Nie był zaskoczony. W pewnym sensie nawet mu ulżyło. Po powrocie z Nowego Jorku spotkał się z prezydentem, by omówić możliwości poprawienia stosunków między Stanami Zjednoczonymi a ONZ. I gdy tylko znalazł się w Białym Domu, w głównym nurcie wydarzeń, nabrał ochoty, by wrócić do Centrum. Lubił tę pracę; dawała mu satysfakcję. Lubił też związane z nią ryzyko. W piątek wieczorem, kiedy Sharon powiadomiła go o swojej decyzji, mógł z czystym sumieniem wycofać rezygnację.

Kiedy spotkali się w sobotę, traktowali się już z dużym dystansem. Ustalili, że Sharon skorzysta z usług ich rodzinnego adwokata. Paul miał poprosić prawnika z Centrum Szybkiego Reagowania, Lowella Coffeya III, by kogoś mu polecił. Byli wobec siebie bardzo uprzejmi, oficjalni.

Do ustalenia pozostały najważniejsze sprawy: czy powiedzieć o wszystkim dzieciom i czy Hood powinien wyprowadzić się od razu. Zadzwonił do Liz Gordon, psychologu z Centrum, która tymczasowo opiekowała się Harleigh. Liz poradziła mu, by obchodził się z córką bardzo delikatnie. On jeden z całej rodziny był

przy niej podczas ataku. Jego siła i spokój dadzą jej poczucie bezpieczeństwa i pomogą szybciej wrócić do siebie. Liz dodała, że dla Harleigh rozstanie rodziców będzie mniejszym złem niż długotrwały konflikt między nimi. Liz powiedziała mu też, że dziewczynka potrzebuje intensywnej terapii, i to jak najszybciej. W

przeciwnym razie może do końca życia nie odzyskać pełnej równowagi.

Po tej rozmowie Hood i Sharon postanowili spokojnie i otwarcie powiedzieć dzieciom o wszystkim. Po raz ostatni całą rodziną zasiedli w salonie -tym samym, w którym stawiali choinkę, uczyli dzieci grać w monopol i szachy i urządzali przyjęcia urodzinowe. Alexander przyjął złą wiadomość ze spokojem, bo uzyskał

zapewnienie, że w jego życiu niewiele się zmieni. Harleigh bardzo się przejęła, z początku myślała, że to ona, a raczej to, co ją spotkało, przyczyniło się do ich decyzji. Hood i Sharon przekonali ją, że się myli, i obiecali, że zawsze będą przy niej.

Potem Sharon zjadła z Harleigh kolację w domu, a Hood zabrał Alexandra do ich ulubionej knajpki, Bistro Korner, czy jak nazywała ją mająca fioła na punkcie zdrowej żywności Sharon, Bistro Koroner. Hood przywołał uśmiech na twarz i dobrze się bawili. Potem wrócił do domu, szybko i po

cichu spakował parę rzeczy i wyjechał.

Rozejrzał się po pokoju hotelowym. Przykryty szkłem blat biurka, na nim podkładka, lampka i teczka pełna pocztówek. Duże łóżko. Gruby dywan, tego samego koloru co nieprzepuszczające światła zasłony. Reprodukacja przedstawiająca arlekina, dobrze komponująca się z dywanem. Komoda z wbudowaną minilodówką i szafka z telewizorem. No i, oczywiście, Biblia w szufladzie. Był też stolik z lampką, taką samą jak na biurku, cztery kosze na śmieci, zegar i przyniesione z łazienki pudełko chusteczek.

Mój nowy dom, pomyślał znowu.

Oprócz laptopa na biurku i ustawionych obok szkolnych zdjęć dzieci w powyginanych tekturowych ramkach, nic tu nie przypominało jego domu. Plamy na dywanie nie były od soku jabłkowego, który rozlał Alexander. To nie Harleigh namalowała tego arlekina. W lodówce nie znajdzie plastikowych kartonów ohydneho soku kiwi-truskawkowo-jogurtowego, za którym przepadała Sharon. W tym telewizorze nigdy nie oglądał nagranych na wideo przyjęć urodzinowych i rocznic.

Z tego okna nie widział zachodu ani wschodu słońca. Nie chorował tu na grypę, nie czuł w tym łóżku, jak kopie jego nienarodzone dziecko. Jeśli zawoła dzieci, to nie przyjdą.

Łzy cisnęły mu się do oczu. Spojrzał na zegar, pragnąc jakoś przerwać ten strumień myśli i obrazów. Wkrótce będzie musiał się przygotować. Czas naglił.

Władze też. Miał obowiązki. Ale, dobry Boże, nie chciał nigdzie iść, niczego mówić, robić dobrej miny do złej gry jak przy synu i zastanawiać się, kto już wie o wszystkim, a kto nie. Plotki rozchodziły się po Waszyngtonie lotem błyskawicy.

Spojrzał w sufit. W głębi duszy chciał, by tak to się skończyło. Chciał móc robić swoje. Miał już dość krytycznych spojrzeń Sharon i bezustannego osądzania.

Nie chciał dłużej sprawiać jej zawodu.

A zarazem było mu ogromnie smutno. Nie będzie więcej wspólnie spędzanych chwil, a dzieci na pewno boleśnie odczują ich rozstanie.

Kiedy dotarło do niego, że to koniec, że już nie ma odwrotu, łzy popłynęły mu z oczu.

ROZDZIAŁ 3

Waszyngton

Niedziela, 18.32

Sześćdziesięcioletnia pierwsza dama Megan Catherine Lawrence stanęła przed wiszącym nad komodą złotym lustrem ściennym z końca XVII wieku. Obrzuciła wzrokiem swoje krótkie, proste, srebrzyste włosy i atłasową suknię w kolorze kości słoniowej, po czym wzięła białe rękawiczki i wyszła z salonu na drugim piętrze. Wysoka, szczupła, elegancka, przeszła po 15

sprowadzonym przez Herberta Hoovera południowoamerykańskim dywanem do sypialni prezydenta. Na wprost była jego garderoba. Pierwsza dama spojrzała na skąpane w świetle lamp białe ściany i jasnoniebieskie zasłony kupione przez Kennedy'ego, łóżko, w którym jako pierwsi spali Grover i Frances Clevelandowie, fotel bujany, na którym w 1868 roku delikatna, wierna Eliza Johnson czekała na wieści o decyzji w sprawie odsunięcia od władzy jej męża Andrew, i nocny stolik, na którym siódmy prezydent, Andrew Jackson, co noc stawiał przy Biblii miniaturę swojej zmarłej żony, by każdego ranka po przebudzeniu widzieć jej twarz.

Megan uśmiechnęła się. Kiedy wprowadzali się do Białego Domu, znajomi mówili jej: „To musi być niesamowite, mieć dostęp do tajnych informacji o

zaginionym mózgu prezydenta Kennedy'ego i ufoludkach z "Rooswell".

Tłumaczyła im, że cała tajemnica sprowadza się do tego, że nie ma żadnych tajemnic. A jednak po blisko siedmiu latach spędzonych w Białym Domu Megan wciąż czuła dreszcz emocji na myśl o tym, że jest tu, wśród duchów przeszłości, wielkich dzieł sztuki, i tworzy historię.

Jej mąż, były gubernator Michael Lawrence, umiarkowany konserwatysta, był przez jedną kadencję prezydentem Stanów Zjednoczonych, ale krach na giełdzie sprawił, że w następnych wyborach pokonali go Ronald Bozer i Jack Jordan, kandydaci spoza waszyngtońskiej elity. Ekspert twierdził, że prezydent, jako dziedzic fortuny zbitej na handlu drewnem, oregońską sekwoją, stał się łatwym celem ataków, ponieważ kryzys dotknął go w niewielkim stopniu. Michael Lawrence nie przyjął

tego wyjaśnienia do wiadomości. A ponieważ nie zwykł dawać za wygraną, zamiast zostać malowanym współnikiem w kancelarii prawniczej czy członkiem zarządu rodzinnej firmy, powołał do życia ponadpartijny instytut badawczy o nazwie American Sense

i

trzymał rękę na pulsie wydarzeń. Następnymi osiem lat poświęcił na szuka nie sposobów naprawy błędów popełnionych w czasie swojej pierwszej kadencji we wszystkich dziedzinach, od gospodarki, przez politykę zagraniczną, aż po problemy społeczne. Pracownicy jego instytutu występowali w niedzielnych talk-show, pisali artykuły do gazet, wydawali książki i wygłaszali przemówienia. Wreszcie Michael Lawrence i jego kandydat na wiceprezydenta, Charles Cotten, stanęli w szranki z ówczesnym wiceprezydentem i odnieśli zdecydowane zwycięstwo. Wskaźnik

popularności Lawrence'a nie schodził poniżej sześćdziesięciu procent i jego wybór na drugą kadencję był

praktycznie przesądzony.

Megan przeszła przez pokój do garderoby prezydenta. Drzwi były zamknięte, by chronić łazienkę od przeciągów szalejących w starych murach. To znaczyło, że jej mąż prawdopodobnie wciąż jest pod prysznicem. Zdziwiło ją to. Na siódmą zaplanowano krótki koktajl w gabinecie na piętrze. Zwykle na kwadrans przed rozpoczęciem takich spotkań jej mąż studiował akta personal-16

ne zagranicznych gości, by poznać ich upodobania, hobby i uzyskać informacje o ich rodzinach. Tego wieczoru, przed przyjęciem dla najważniejszych delegatów ONZ, spodziewał się wizyty nowych ambasadorów Szwecji i Włoch. Ich poprzednicy zostali zamordowani w czasie niedawnych tragicznych wydarzeń, a szybkie wyznaczenie następców miało pokazać światu, że terroryzm nie zakłóci działań na rzecz pokoju. Prezydent chciał porozmawiać z nimi na osobności. Potem zjedzą razem do Pokoju Błękitnego, przywitać się z pozostałymi delegatami. Dzisiejsze spotkanie i uroczysta kolacja miały być demonstracją jedności i solidarności po zeszłotygodniowym ataku terrorystów.

Prezydent poszedł na górę kilka minut przed szóstą, miał więc dość czasu, by wziąć prysznic i się ogolić. Megan dziwiła się, czemu tego jeszcze nie zrobił.

Może rozmawiał przez telefon. Personel starał się ograniczyć do minimum telefony do jego prywatnej rezydencji, ale w ostatnich dniach było ich coraz więcej, czasem nawet budziły ją w środku nocy. Nie chciała przenieść się do któregoś z pokoiów gościnnych, ale miała już swoje lata. Kiedyś, podczas ich pierwszej wspólnej kampanii, wystarczały jej dwie, trzy godziny snu na dobę. Teraz było inaczej. Jej mężowi musiało być jeszcze trudniej. Wyglądał na bardziej zmęczonego niż zwykle, ogromnie potrzebował odpoczynku. Niestety, kryzys w ONZ

zmusił ich do odwołania zaplanowanych wakacji i nie udało się przenieść ich na inny termin.

Pierwsza dama stanęła przed złożonymi z sześciu płyt drzwiami i nadstawiła uszu.

Woda nie lała się z prysznicza. Ani z kranu. A jej mąż nie rozmawiał przez telefon.

-

Michael?

Nie odpowiedział. Przekręciła jasną mosiężną gałkę i otworzyła drzwi.

Przed łazienką był mały przedpokój. We wnęce po prawej stronie stała garderoba z wiśni, w której pokojowy zostawiał ubranie prezydenta, a po lewej toaletka, też z wiśni, z dużym, jasno oświetlonym lustrem. Prezydent stał przed nim w szafirowym szlafroku, oddychał ciężko, a z jego zmrużonych niebieskich oczu biła furia. Z całej siły zaciskał pięści.

-

Michael, wszystko w porządku?

Wpił się w nią wzrokiem. Jeszcze nigdy nie widziała, by był tak wściekły i...

zdezorientowany, tak to należałoby określić. Wystraszyła się.

-

Michael, co się stało?

Spojrzał w lustro. Jego rysy złagodniały, rozwarł pięści. Zaczął oddychać wolniej, spokojniej. Powoli usiadł na orzechowym krześle przed toaletką.

-

To nic - powiedział. - Nic mi nie jest.

-

Nie wyglądasz dobrze - powiedziała.

-

Czemu?

-

Przed chwilą miałeś minę, jakbyś chciał kogoś pogryźć - wyjaśniła Me gan.

Pokręcił głową.

-

To od nadmiaru energii po ćwiczeniach - powiedział.

-

Ćwiczeniach? Myślałam, że byłeś na spotkaniu.

-

Robiłem ćwiczenia izometryczne - odparł. - Senator Samuels ćwiczy dziesięć minut rano i wieczorem. Mówi, że to dobry sposób, by się odprężyć, kiedy człowiek nie ma czasu iść na siłownię.

Megan nie uwierzyła mu. Zawsze podczas ćwiczeń obficie się pocił. Tymczasem jego czoło i górna warga były suche. Tu chodziło o coś innego. Przez ostatnich kilka dni był nieobecny duchem i to zaczynało ją niepokoić.

Podeszła do niego, położyła dłoń na jego policzku.

-

Coś cię gryzie, skarbie - powiedziała. - Chcesz porozmawiać?

Prezydent spojrzał na nią.

-

To nic - powiedział. - Ostatnie dni były ciężkie i tyle.

-

Chodzi o te nocne telefony...

-

O to i całą resztę - powiedział prezydent.

-

Jest gorzej niż zwykle?

-

W pewnym sensie - powiedział.

-

Chcesz o tym pogadać?

-

Nie teraz - powiedział, zmuszając się do słabego uśmiechu. W jego głę bokim głosem znów zabrzmiały wigor i pewność siebie, a oczy lekko rozblęły. Wziął jąza ręce i wstał. Miał nieco ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

Spojrzał na nią z góry. - Pięknie wyglądasz.

-

Dziękuję - powiedziała Megan. - Ale i tak martwię się o ciebie.

-

Niepotrzebnie - odparł. Spojrzał w prawo, na stojący na półce złoty zegar, należący niegdyś do Thomasa Jeffersona. - Późno już - powiedział

prezydent. - Muszę się zbierać.

-

Zaczekam na ciebie - powiedziała. - I zrób coś z oczami.

-

Z oczami? - zdziwił się i spojrzał w lustro. Tego ranka wstał wcześniej od niej i oczy miał mocno przekrwione. Człowiek, na którego barkach spoczywa tak wielka odpowiedzialność, nie może wyglądać na słabego i zmęczonego. - Źle spałem - powiedział, naciągając skórę pod oczami. - Parę kropel i będzie po sprawie. - Odwrócił się do żony i delikatnie pocałował ją w czoło. - Wszystko w porządku, słowo honoru. - Uśmiechnął się i poszedł

do łazienki.

Megan odprowadziła go wzrokiem. Zza zamkniętych drzwi dobiegł szum wody.

Nadstawiła uszu. Michael zwykle nucił pod prysznicem stare rockand-rollowe przeboje. Czasem nawet śpiewał. Dziś milczał.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Megan nie wierzyła słowom swojego męża. Żaden polityk nie był w stu procentach szczery. Czasem trzeba było mówić to, co chcieli usłyszeć wyborcy i polityczni rywale. Ale Michael w głębi duszy był

człowiekiem uczciwym, przynajmniej wobec Megan. Kiedy 18

patrzyła mu w oczy, wiedziała, czy coś ukrywa. I zwykle potrafiła to z niego wyciągnąć.

Ale nie tym razem. Bardzo ją to niepokoiło. Zaczęła się o niego naprawdę bać.

Powoli poszła do swojej garderoby. Wciągnęła rękawiczki na dłonie i próbowała skupić się na tym, co czeka ją przez najbliższe cztery godziny. Musi być towarzyską, pełną wdzięku gospodynią, prawić komplementy żonom delegatów.

Przynajmniej będzie wśród nieznanomych. Przed obcymi łatwiej ukryć uczucia. Nie zorientują się, że udaje.

Ale faktem jest, że będzie udawać.

Weszła z powrotem do sypialni. Po jej stronie łóżka stał mały mahoniowy sekretarzyk z początków XIX wieku. Wzięła teczkę doręczoną przez sekretarkę i przejrzała listę gości, zwracając szczególną uwagę na nazwiska zagranicznych dyplomatów i ich żon. Przy każdym zamieszczona była ich właściwa wymowa. Po kolei wypowiedziała wszystkie na głos. Nie sprawiło jej to kłopotu. Miała dar do języków; zanim poznała Michaela, zamierzała zostać tłumaczką. Jak na ironię, chciała pracować w ONZ.

Zamknęła i odłożyła teczkę. Rozejrzała się po sypialni. Wciąż panowała w niej magiczna aura; czaiły się tu duchy przeszłości. W tych czterech ścianach rozegrało się wiele dramatów. Jednak nagle ogarnęło ją coś, co rzadko dawało o sobie znać w domu, który był na oczach dosłownie całego świata.

Poczucie odosobnienia.

ROZDZIAŁ 4

Baku, Azerbejdżan

Poniedziałek, 2.47

David Battat ocknął się powoli. Morskie powietrze robiło się coraz zimniejsze.

David leżał na brzuchu, z twarzą zwróconą w stronę trzciny rosnących na brzegu.

Jego policzki były wilgotne od kropel morskiej wody.

Próbował się poruszyć, ale głowę miał jak z betonu. Drapało go w gardle, bolała szyja. Dotknął jej lekko i skrzywił się z bólu. Aparat zniknął. Ludzie z placówki CIA w Moskwie nie dostaną zdjęć. Analizując fotografie, mogliby stwierdzić, ile osób znajdowało się na łodzi, mogliby obliczyć ciężar przewożonego ładunku na podstawie jej zanurzenia, a nawet zorientować się z grubsza, jaki to rodzaj ładunku. Artyleria i rakiety ważą o wiele więcej niż materiały wybuchowe, pieniądze czy narkotyki.

Battat spróbował podźwignąć się z ziemi. Poczul się, jakby w kark wbijano mu kołek. Padł, odczekał kilka sekund, po czym spróbował jeszcze raz, 19

wolniej. Udało mu się podciągnąć kolana pod brzuch. Usiadł i spojrzał na ciemną wodę.

„Rachel” zniknęła. Nawalił. Czy tego chciał, czy nie, musiał jak najszybciej poinformować o tym Moskwę.

Łupało go w głowie. Opuścił się z powrotem, oparty na przedramionach. Przyłożył

czoło do chłodnej ziemi i próbował zapanować nad bólem. Usiłował dojść, co się właściwie stało.

Czemu nadal żyję? - zastanawiał się. Harpunnik nikogo nie pozostawiał przy życiu. Dlaczego akurat jego nie zabił?

Przyszło mu do głowy, że może stracił przytomność przed przybyciem Harpunnika.

Może jakiś przechodzący obok bandzior zobaczył jego aparat i plecak i postanowił

je ukraść. Sam nie wiedział, co gorsze: dać się podejść wypatrywanemu przez siebie człowiekowi czy paść ofiarą zwykłego napadu. Nieważne. I tak źle, i tak niedobrze.

Odetchnął głęboko i powoli podniósł się z ziemi, najpierw na kolana, potem na nogi. Zachwiał się, ból rozsadał mu czaszkę. Rozejrzał się za plecakiem. Też zniknął. Nie ma więc latarki. Nie może nawet szukać śladów pozostawionych przez napastnika.

Spojrzał na zegarek. Przytrzymał drżącą rękę drugą dłonią. Niecałe trzy godziny do świtu. Wkrótce w morze wyjdą rybacy, a Battat nie chciał, by go tu widziano.

Być może napastnik jednak chciał go zabić; lepiej więc, by nie wiedział, że mu się nie udało. Powoli ruszył w głąb lądu, wciąż łupało go w głowie. Przetykanie śliny sprawiało mu ból, golf drażnił posiniaczoną szyję.

Ale nie to było najbardziej bolesne.

Najbardziej bolesna była świadomość, że zawiódł.

ROZDZIAŁ 5

Waszyngton

Niedziela, 20.00

Wchodząc Wschodnią Bramą do Białego Domu, Paul Hood przypomniał sobie, jak pierwszy raz przyszedł tu z dziećmi. Był wtedy w Waszyngtonie na konferencji burmistrzów. Harleigh miała osiem lat, Alexander sześć. Na Alexandrze wrażenia nie zrobił ani wielki portret Abrahama Lincolna namalowany przez G.P.A.

Healy'ego, ani wspaniałe krzesła w Pokoju Błękitnym, zakupione przez Jamesa Monroego, ani nawet agenci Secret Service. Obrazy, krzesła i policjantów widział

już w Los Angeles. Na imponujący żyrandol w Pokoju Wschodnim ledwo zerknął, a Ogród Różany to dla niego była tylko trawa i kwiatki. Kiedy jednak ruszyli po trawniku w stronę E Street, Alexander wreszcie zobaczył coś, co zrobiło na nim wrażenie.

Kasztanowce.

Ciemnozielone kasztany zwisające z grubych drzew przypominały małe miny pływające z rogami wystającymi ze wszystkich stron. Alexander był święcie przekonany, że to małe bomby mające odstraszyć intruzów. Gdyby stuknęli w nie głowami, to kasztany by wybuchły. On sam chętnie podchwycił ten pomysł i nawet zerwał kilka kasztanów - rzecz jasna, ostrożnie - by zakopać je przed domem.

Musiał się gęsto tłumaczyć, kiedy Harleigh nadepnęła na jeden z nich i nie wyleciała w powietrze.

Sharon nie podobała się cała ta zabawa. Uważała, że dzieci nie powinno się oswajać z bronią. Zdaniem Hooda chłopak po prostu miał żywą wyobraźnię, i tyle.

Prawie przy każdej wizycie w Białym Domu Paul Hood myślał o kasztanowcach. Tego wieczoru było nie inaczej, tyle że po raz pierwszy od wielu lat miał wielką ochotę, by zerwać kilka kasztanów. Zaniósłby je synowi jako pamiątkę wspólnie spędzonych radosnych chwil. Naprawdę wolałby teraz pospacerować, niż iść na przyjęcie.

Okazał starannie wykaligrafowane zaproszenie. Niski rangą agent ochrony zaprowadził go do Pokoju Czerwonego, sąsiadującego z Pokojem Wschodnim. Dalej był Pokój Błękitny, w którym w tej chwili przebywał prezydent z małżonką. Choć nikt nie mówił tego wprost, mniejszy Pokój Czerwony, w którym zwykle gości podejmowały pierwsze damy, był dla gości drugiej kategorii.

Hood znał większość obecnych tylko z widzenia, niektórych z konferencji, innych z odpraw, a resztę z uroczystych kolacji w Białym Domu. Co roku wydawano ich dwieście pięćdziesiąt, jego zapraszano co najmniej na piętnaście. Fakt, że był

kiedyś burmistrzem Los Angeles - innymi słowy, fakt, że znał gwiazdy filmowe - a także obycie w świecie finansów i tajnych służb czyniły go idealnym gościem kolacji w Białym Domu. Mógł rozmawiać z generałami, przywódcami państw, dyplomatami, dziennikarzami, senatorami i ich żonami, zabawiać ich, nikogo przy tym nie urażając. To cenna umiejętność.

Zwykle na przyjęcia chodziła z nim Sharon. Jako specjalistka od zdrowej żywności na ogół kręciła nosem na jadłospis, choć zawsze zachwycała się zastawą, kolekcjonowaną latami przez kolejnych prezydentów. Kiedy akurat była zajęta, Hood zabierał ze sobą rzeczniczkę prasową Centrum Szybkiego Reagowania, Ann Farris. Ann bez szemrania jadła wszystko, co jej podawano, i w odróżnieniu od Sharon chętnie rozmawiała z każdym, kogo posadzono obok niej.

Tego wieczoru Hood po raz pierwszy przyszedł na przyjęcie sam. Bez względu na zakusy Białego Domu, nie uważał Mali Chatterjee za swoją towarzyszkę. Sekretarza generalna ONZ też miała przyjść sama i przydzielono jej miejsce po lewej ręce Hooda.

Otworzył drzwi i zajrzał do długiej sali, zalanej światłem żyrandoli. Do jadalni wstawiono czternaście okrągłych stołów, każdy nakryty dla dziesięciu osób. W

zaproszeniu Hooda napisane było, że miał siedzieć przy stole drugim, na środku sali. To dobrze. Rzadko sadzano go tak blisko prezydenta. Gdyby coś zaczęło iskrzyć między nim a Chatterjee, mógł wymienić znaczące spojrzenia z pierwszą damą. Megan Lawrence spędziła dzieciństwo w Kalifornii, w Santa Barbara.

Widywała się z Hoodem, kiedy był burmistrzem Los Angeles, i dość dobrze się poznali. Była mądrą, elegancką damą obdarzoną złośliwym poczuciem humoru.

Pracownicy obsługi Białego Domu, pod okiem starszego personelu, pospiesznie poprawiali różne kompozycje ustawione na środku stołów. Ubrani w czarne marynarki tworzyli zróżnicowaną etnicznie grupę, jak to zwykle bywało na tego rodzaju imprezach.

Biały Dom mógł wybierać spośród liczego personelu, skrupulatnie sprawdzonego przez ochronę. I choć nikt otwarcie tego nie przyznawał, skład obsługi ustalano w zależności od charakteru przyjęcia. Atrakcyjni młodzi ludzie nalewali wodę do kryształowych szklanek i pilnowali, by sztucce ułożone były w idealnie równych odstępach.

Na wprost Hooda wisiał wielki, namalowany w 1869 roku portret Abrahama Lincolna, ten sam, który nie zrobił wrażenia na Alexandrze. Był to jedyny obraz w jadalni.

Dokładnie naprzeciwko, na kominku, widniał fragment listu Johna Adamsa do żony, Abigail, napisanego przed ich przeprowadzką do nowo wybudowanego pałacu prezydenckiego. Franklin Roosevelt cytat ten uczynił oficjalną modlitwą Białego Domu. Napis głosił:

Niechaj Bóg błogosławi ten dom i wszystkich, którzy w nim mieszkać będą. Oby tylko uczciwi i mądrzy ludzie rządzą pod tym dachem.

Przykro mi, panie Adams, pomyślał Hood. Pokpiliśmy sprawę.

Podszedł do niego jeden z lokajów, ubrany w białe spodnie i białą kamizelkę ze złotym szamerunkiem. Grzecznie, ale zdecydowanie zamknął drzwi. Hood wycofał się do Pokoju Czerwonego. Robiło się tu coraz głośniejsze i bardziej tłoczno, w miarę jak z Pokoju Błękitnego wchodził kolejni goście. Aż strach pomyśleć, co tu się działo przed wynalezieniem klimatyzacji.

Hood akurat patrzył w drzwi Pokoju Błękitnego, kiedy stanęła w nich Mała Chatterjee. Prezydent prowadził ją pod rękę, za nimi szła pierwsza dama z dwoma delegatami. Następni byli wiceprezydent i pani Cotten, a orszak zamykała senator z Kalifornii, Barbara Fox. Hood dobrze ją znał. Wydawała się dziwnie zakłopotana. Hood nie miał okazji spytać, dlaczego. Niemal w tej samej chwili otworzyły się bowiem drzwi Pokoju Wschodniego. Teraz już panował tam idealny porządek. Dwudziestu kelnerów stało w szeregu pod północno-zachodnią ścianą, a pracownicy obsługi czekali

pod drzwiami, by zaprowadzić gości do stołów.

Hood nawet nie próbował podejść do Chatterjee. Była zimna, nieprzystępna, a poza tym wyglądała na całkowicie pochłoniętą rozmową z prezydentem. Odwrócił się i przekroczył próg jadalni.

Spojrzał na dostojnych gości wchodzących do sali. W złotym blasku żyrandola wyglądali niczym widmowa procesja: szli powoli, sztywno wyprostowani, z kamiennymi twarzami; ich zniżone głosy rozbrzmiewały głucho w przestronnym wnętrzu, tylko od czasu do czasu rozległ się uprzejmy, stłumiony śmiech; obsługa bezszelestnie podnosiła i odsuwała krzesła, tak by nie porysować drewnianej posadzki. Miało się wrażenie, że ta sama scena powtarzała się przez wiele lat, a nawet wieków, z udziałem tych samych osób: ludzi, którzy mieli władzę, tych, którzy o niej marzyli, i tych, którzy jak Hood stali pośrodku.

Napił się wody. Był ciekaw, czy wszyscy mężczyźni po rozwodzie stają się cynikami.

Chatterjee zostawiła prezydenta i w asyście lokaja podeszła do stołu. Hood wstał

na powitanie. Lokaj odsunął jej krzesło. Sekretarz generalna podziękowała mu i usiadła. Choć otwarcie nie okazywała Hoodowi lekceważenia, jednak skrupulatnie omijała go wzrokiem. Nie wytrzymał.

-

Dobry wieczór, pani sekretarz - powiedział.

-

Dobry wieczór, panie Hood - odparła, wciąż nie patrząc na niego.

Do ich stołu zaczęli dosiadać się inni goście. Chatterjee odwróciła się i uśmiechnęła do sekretarza rolnictwa, Richarda Ortiza, i jego żony. Hoodowi pozostało tylko gapić się na tył jej głowy. Chcąc wybrnąć z niezręcznej sytuacji, wziął serwetkę, rozłożył ją na kolanach i odwrócił wzrok.

Próbował postawić się w jej sytuacji. Ledwie objęła stanowisko sekretarza generalnego ONZ, a już musiała stawić czoło terrorystom, którzy wzięli dzieci jako zakładników i nie wahali się użyć broni. Chatterjee, zaprzysięgła zwolenniczka pokojowego rozwiązywania sporów, próbowała negocjować, ale bez skutku. I wtedy właśnie zjawił się Hood, i brutalnie, ale szybko opanował

sytuację. Dla Chatterjee było to upokorzenie, tym większe, że sporo państw członkowskich głośno go za to chwaliło.

Ale teraz mieli zapomnieć o tamtych sporach, a nie je podsycać. Sekretarz generalna zdecydowanie opowiadała się za jednostronnym odprężeniem, co sprowadzało się do skłonienia jednej ze stron, by okazała zaufanie drugiej, składając broń lub oddając ziemię.

A może popiera takie rozwiązanie tylko w sytuacjach, kiedy to nie ona ma pierwsza ustąpić, pomyślał Hood.

Nagle ktoś stanął za nim i zwrócił się do niego po imieniu. Hood odwrócił się i podniósł wzrok. To była pierwsza dama.

-

Dobry wieczór, Paul.

Wstał.

-

Pani Lawrence. Cieszę się, że panią widzę.

-

Za rzadko się spotykamy - powiedziała i mocno uścisnęła mu dłoń. -

Brakuje mi tych przyjęć z Los Angeles.

-

To były czasy! - westchnął Hood. - Tworzyliśmy historię, a przy okazji być może zrobiliśmy coś dobrego.

-

Mam nadzieję - odparła pierwsza dama. - Co u Harleigh?

-

Bardzo to wszystko przeżyła - przyznał Hood.

-

Nawet nie mogę sobie tego wyobrazić - powiedziała pierwsza dama. -

Kto się nią zajmuje?

-

W tej chwili tylko Liz Gordon, pani psycholog z Centrum Szybkiego Reagowania - powiedział Hood. - Jest w kontakcie ze specjalistami. Jak dobrze pójdzie, za tydzień, dwa ściągniemy kilku psychiatrów.

Megan Lawrence uśmiechnęła się ciepło.

-

Paul, chyba możemy sobie nawzajem pomóc. Znajdziesz jutro trochę czasu, żeby zjeść ze mną lunch?

-

Oczywiście - powiedział.

To dobrze. Do zobaczenia o wpół do pierwszej. - Pierwsza dama uśmiechnęła się i wróciła do swojego stołu.

Dziwne, pomyślał Hood. „Chyba możemy sobie nawzajem pomóc”. Po co jej jego pomoc? Musi chodzić o coś ważnego. Terminarz pierwszej damy ustala się z wielomiesięcznym wyprzedzeniem. Będzie musiała przełożyć jakieś spotkania, by zrobić miejsce dla niego.

Hood usiadł. Do stołu dosiedli się zastępca sekretarza stanu Hal Jordan, jego żona Barri Allen-Jordan i dwaj dyplomaci z małżonkami. Hood nie znał ich. Mała Chatterjee nie przedstawiła go, więc przedstawił się sam. Pani sekretarz uparczywie go ignorowała, nawet po tym, jak prezydent wstał i wygłosił toast, w którym wyraził nadzieję, że ta kolacja i zademonstrowana na niej jedność dadzą terrorystom do zrozumienia, że cywilizowany świat nie ugnie się przed ich groźbami. Podczas gdy fotograf Białego Domu robił zdjęcia, a kamera kanału C-SPAN dyskretnie rejestrowała przyjęcie z południowo-zachodniego kąta sali, prezydent na znak swojego poparcia dla Organizacji Narodów Zjednoczonych ogłosił

oficjalnie, wzbudzając ogólny aplauz, że USA spłaci swój dwumiliardowy dług wobec ONZ.

Hood wiedział, że spłata długu niewiele ma wspólnego z walką z terrorystami, którzy nie boją się ONZ. Prezydent zdawał sobie z tego sprawę, w odróżnieniu od Mali Chatterjee. Te dwa miliardy zapewnią Stanom Zjednoczonym przychyłność biednych krajów, takich jak Nepal czy Liberia. Poprawa stosunków gospodarczych z Trzecim Światem skłoni biedniejsze państwa do korzystania z amerykańskich pożyczek i kupowania za nie amerykańskich towarów, usług i informacji. Oznacza to stałe źródło dochodów dla amery-24

kańskich firm, nawet jeśli w pomoc dla Trzeciego Świata zaangażują się też inne kraje. Takie są korzyści z posiadania nadwyżki budżetowej w odpowiednim momencie. Administracja może robić za dobrego wujka, a zarazem zapewnić sobie poparcie giełdy.

Hood słuchał przemówienia jednym uchem, gdy nagle prezydent powiedział coś, co przykuło jego uwagę.

- Na koniec - mówił prezydent - z radością pragnę poinformować państwa, że szefowie amerykańskich służb wywiadowczych zbierają personel i środki niezbędne do podjęcia nowej ważnej inicjatywy. W ścisłej współpracy z rządami całego świata zamierzają dopilnować, by nigdy więcej nie doszło do ataku na Organizację Narodów Zjednoczonych.

Przy stołach zajętych przez delegatów rozległy się ciche brawa. Ale oświadczenie prezydenta zwróciło uwagę Hooda, dlatego że wiedział coś, czego prezydent najwyraźniej nie był świadom.

To była nieprawda.

ROZDZIAŁ 6

Hellspot Station, Morze Kaspijskie

Poniedziałek, 3.01

Biała cessna U206F leciała nisko nad ciemnym Morzem Kaspijskim, jej jedyny silnik warczał głośno. W kabinie byli tylko rosyjski pilot i pasażer, niepozornie wyglądający Anglik.

Podróż zaczęła się u wybrzeży Baku. Po starcie hydroplan skierował się na północny wschód i przez ostatnie półtorej godziny przeleciał prawie trzysta kilometrów. Lot był spokojny i upływał w ciszy. Pilot i pasażer nie odzywali się do siebie ani słowem. Choć czterdziestojednoletni Maurice Charles mówił po rosyjsku - i w dziewięciu innych językach - nie znał dobrze pilota, a nie ufał

nawet tym ludziom, których znał. Między innymi dlatego zdołał przeżyć dwadzieścia lat jako najemnik.

Kiedy dotarli na miejsce, pilot powiedział tylko:

- W dole, na czwartej.

Charles wyjrzał przez okno. Utkwił jasnoniebieskie oczy w celu. Był piękny.

Wysoki, jasno oświetlony, majestatyczny.

I odizolowany.

Półzanurzalna platforma wiertnicza wznosiła się kilkadziesiąt metrów nad powierzchnią wody, zewsząd otaczało ją morze. W jej północnej części znajdowało się lądowisko dla helikopterów, obok, od północnego zachodu, sterczała sześćdziesięciometrowa wieża wiertnicza, a w punkcie obróbki ropy było pełno zbiorników, żurawi, anten i innego sprzętu.

Platforma była jak kobieta stojąca pod latarnią na opustoszałej ulicy nad rzeką Mersey. Charles mógł z nią zrobić, co chciał. I zrobił.

Wziął aparat, który trzymał na kolanach. Wcisnął guzik w brązowym skórzanym futerale i otworzył go. Tkwiła w nim ta sama trzydziestopięciomilimetrowa lustrzanka, której używał na swojej pierwszej robocie, w 1983 roku w Bejrucie.

Zaczął robić zdjęcia. Na podłodze kokpitu pod jego nogami leżały aparat i plecak agenta CIA, którego załatwił na plaży. Może były tam jakieś nazwiska czy numery telefonów, które się przydadzą. Tak jak sam agent. Dlatego właśnie Charles zostawił go przy życiu.

Samolot zrobił dwa okrążenia nad platformą, pierwsze na wysokości dwustu metrów, drugie sto metrów niżej. Charles wypstrykał trzy rolki filmu, po czym dał

pilotowi znak, że może wracać. Hydroplan wzbił się na wysokość sześciuset metrów i obrał kurs na Baku. Tam Charles miał się spotkać z załogą „Rachel”, która pewnie usunęła już białą płachtę z fałszywą nazwą jachtu. To oni zawieźli go do samolotu i razem z nim wykonają następny punkt planu.

Ale to dopiero początek. Mocodawcy z Ameryki jasno sprecyzowali cele, a on i jego ludzie świetnie się znają na swojej robocie: morderstwa na zlecenie, akty terroru, zabójstwa polityczne. A wszystko to służyło wzniesieniu waśni między państwami. Także i teraz, kiedy wykonają zadanie, cały region stanie w ogniu i spłynie krwią ludzi z całego świata.

I choć na terroryzmie zarobił już całkiem sporo, większość majątku wydał na zakup broni, paszportów, transportu, anonimowości. Po tej robocie będzie miał

pieniądze, o jakich nawet nie śmiał marzyć. A wyobraźnię miał bujną.

Dorastając w Liverpoolu, często marzył o bogactwie i o tym, jak je osiągnie.

Myślał o tym, kiedy zamiatał stację kolejową, na której jego ojciec sprzedawał

bilety, kiedy spał z dwoma braćmi i dziadkiem w kawalerce cuchnącej potem i śmieciami z zaułka, kiedy pomagał ojcu trenować miejscową drużynę piłkarską.

Charles senior potrafił dogadać się z ludźmi, planować i wygrywać. Był urodzonym przywódcą. Ale ojciec Maurice'a i jego rodzina, jak wszyscy robotnicy, należeli do gorszej kategorii. Nie mieli dostępu do dobrych szkół, choćby było ich na nie stać. Nie mogli zajmować wyższych stanowisk w bankowości, mediach czy władzach.

Mówili ze śmiesznym, prostackim akcentem, mieli silne bary i ogorzałe twarze i nikt nie traktował ich poważnie.

W dzieciństwie było mu przykro, że jedyną rozrywką jego ojca był futbol. On sam uwielbiał

Beatlesów, bo udało im się wyrwać z nędzy -jak na ironię, z tego samego powodu jego ojciec i wielu jemu podobnych nienawidziło „tych gówniarzy”.

Charles zdał sobie sprawę, że nie osiągnie sukcesu dzięki muzyce, bo, po pierwsze, nie miał talentu, a po drugie, nie zamierzał

ić ścieżką wydeptaną przez innych. Chciał wejść na szczyt na swoich warunkach, zostawić po sobie niepowtarzalny ślad. Nawet nie przypuszczał, że odkryje swoje powołanie w 29. Pułku Królewskiej Piechoty Morskiej, zapoznając się z materiałami wybuchowymi. Nie wiedział, że ma talent do niszczenia. I że będzie mu to sprawiało taką przyjemność.

To naprawdę wspaniałe uczucie, niczym radość twórcy z ukończonego dzieła: żywego, przejmującego, krwawego i niezapomnianego. Nic nie wytrzymało porównania z estetyką destrukcji.

A najlepsze było to, że CIA bezwiednie mu pomogła, wysyłając za nim tego agenta.

Darując mu życie, Charles stawiał się poza podejrzeniami. W końcu nikt jeszcze nie przeżył spotkania z Harpunnikiem.

Charles rozsiadł się wygodnie. Światła platformy zniknęły daleko za cessną.

Dlatego właśnie tak dobrze być artystą, powiedział sobie.

To dawało mu prawo i przywilej zaskakiwania.

ROZDZIAŁ 7

Camp Springs, Maryland

Poniedziałek, 0.44

W czasach zimnej wojny niepozorny piętrowy budynek w bazie lotniczej Andrews był punktem etapowym pilotów i załóg. W razie ataku nuklearnego mieli ewakuować najważniejszych członków rządu i sił zbrojnych do bezpiecznego kompleksu w górach Blue Ridge.

Jednak ten budynek w kolorze kości słoniowej, ze schludnym, zielonym trawnikiem, był czymś więcej niż tylko pamiątką zimnej wojny. Urzędowało w nim siedemdziesięciu ośmiu pełnoetatowych pracowników Centrum Szybkiego Reagowania, w skrócie zwanego Centrum Operacyjnym, niezależnej agencji, której zadaniem było gromadzenie, przetwarzanie i analiza danych o potencjalnych punktach zapalnych w kraju i za granicą, a w razie kryzysu podejmowanie decyzji: czy sięgnąć po środki polityczne, dyplomatyczne, medialne, gospodarcze, prawne, psychologiczne, czy też - po uzyskaniu aprobaty kongresowej komisji do spraw służb specjalnych -

przeprowadzić interwencję zbrojną. W tym celu Centrum miało do swojej dyspozycji

dwunastoosobowy oddział taktyczny znany jako Striker. Dowodzony przez pułkownika Bretta Augusta stacjonował na terenie pobliskiej Akademii FBI w Quantico.

Oprócz biur na górze, w budynku była też dobrze zabezpieczona piwnica, w której przechowywano czuły sprzęt do zbierania danych. Tam też pracował Paul Hood i jego główni doradcy.

Pojechał tam prosto z Białego Domu. Wciąż miał na sobie smoking, więc wartownik przy bramie powitał go słowami: „Witam, panie Bond”. Hood uśmiechnął się. Po raz pierwszy od wielu dni.

Po wystąpieniu prezydenta ogarnął go dziwny niepokój. Nie miał pojęcia, czemu prezydent obiecał, że wywiad amerykański pomoże chronić Organizację Narodów Zjednoczonych. Przecież wiele państw członkowskich obawiało się, że Stany już wykorzystują ONZ, by je szpiegować.

Krótkie przemówienie prezydenta najbardziej zadowoliło tych delegatów, którzy byli celem zamachów terrorystycznych. Za to pozostali nie kryli zdziwienia. Jak choćby wiceprezydent Cotten, sekretarz stanu Dean Carr i amerykański ambasador przy ONZ, Meriwether. A Mała Chatterjee była wręcz zaniepokojona. Tak bardzo, że odwróciła się do Hooda i spytała, czy dobrze zrozumiała słowa prezydenta.

Odpowiedział, że najprawdopodobniej tak. Milczeniem pominął fakt, że Centrum Szybkiego Reagowania niemal na pewno wiedziałyby o tego rodzaju inicjatywie, a przynajmniej powinno wiedzieć. Być może wszystko zostało ustalone podczas jego nieobecności, Hood jednak w to wątpił. Poprzedniego dnia zajrzał do gabinetu, by odrobić zaległości; w żadnym z dokumentów nie było nawet wzmianki o współpracy z wywiadami innych krajów.

Po kolacji nie zamienił z nikim ani słowa. Od razu wyszedł i pojechał do Centrum, by poszukać dodatkowych informacji. Po raz pierwszy od powrotu miał

okazję spotkać się z pracownikami weekendowej nocnej zmiany. Powitali go bardzo serdecznie, a najbardziej na jego widok ucieszył się szef zmiany, Nicholas Grillo. Grillo, pięćdziesięcioletni były specjalista Navy SEAL do spraw wywiadu, przeniósł się do Centrum z Pentagonu mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaczął tu pracować Hood. Pogratulował mu świetnej roboty, jaką wykonali z generałem Rodgersem w Nowym Jorku, i spytał o córkę. Hood podziękował i powiedział, że Harleigh powoli dochodzi do siebie.

Na początek zajrzał do akt DCI - szefa wywiadu centralnego. Ten niezależny organ dostarczał informacji czterem innym instytucjom zajmującym się wywiadem: CIA, Centrum Szybkiego Reagowania, Departamentowi Obrony, w którego skład wchodziły cztery rodzaje wojsk, Narodowe Biuro Zwiadowcze, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego i Narodowa Agencja Kartograficzna, oraz Departamentowi Wywiadu, złożonemu z Federalnego Biura Śledczego, Departamentu Stanu, Departamentu Energii i Departamentu Skarbu.

Kiedy dostał się do bazy danych DCI, poprosił o najnowsze umowy i inicjatywy dotyczące Organizacji Narodów Zjednoczonych. Dostał listę złożoną z pięciu tysięcy pozycji. Odrzucił te, które nie miały związku ze zbieraniem informacji dla ONZ i jej członków. Zostało dwadzieścia siedem pozycji.

Hood szybko je przejrzał. Jako ostatni na liście figurował dołączony przed tygodniem wstępny raport na temat wspierania terrorystów przez agentkę CIA, Annabelle Hampton. Winą obarczono dyrektora nowojorskiej placówki Davida Battata i jego przełożonego z Waszyngtonu, wicedyrektora Agencji, Wonga. Wong dostał

upomnienie bez wpisania do akt. Battat otrzymał surowszą nagane, której jednak też do akt nie włączono. Na jakiś czas jednak poszedł w odstawkę i musiał zająć się tym, co Bob Herbert kiedyś nazwał „pracą dla szczurów” - brudną robotą na linii ognia. Taką, która zwykle przypadała świeżo upieczonym agentom.

Nie było ani słowa o jakiegokolwiek wspólnej inicjatywie ONZ i którejś z agencji wywiadowczych. Biorąc pod uwagę fakt, że prezydent dążył do załagodzenia sporu z ONZ, trudno się dziwić, że chciał zadeklarować pomoc. Czemu jednak miałby przedstawiać swoje zamiary czy też możliwości działania jako fakt dokonany?

Bez współpracy szefa choćby jednej agencji prezydent nie mógł zarządzić nawet wstępnych analiz takiej inicjatywy, a nigdzie nie było o nich żadnej wzmianki.

Ba, nikt nawet nie wnosił o ich przeprowadzenie. Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło Hoodowi do głowy, było takie, że prezydent uzyskał ustne przyzwolenie szefa CIA, FBI czy którejś z innych agencji. Wówczas jednak któraś z tych osób zostałaby zaproszona na wczorajszą kolację w Białym Domu, a tymczasem jedynym przedstawicielem wywiadu był Hood. Może prezydent chciał w ten sposób wymusić działanie tak jak John F. Kennedy, kiedy ogłosił publicznie, że Kongres ma przyznać NASA fundusze na operację wysłania człowieka na Księżyc.

Jednak udział Stanów Zjednoczonych w międzynarodowej współpracy wywiadowczej to niezwykle drażliwa kwestia. Prezydent postąpiłby nierozważnie, podejmując tak szeroko zakrojoną operację bez zapewnienia ze strony swoich ludzi, że jest w ogóle wykonalna.

Może to skutek serii nieporozumień? Może prezydent myślał, że ma poparcie wywiadu. Nieporozumienia nie są w rządzie niczym niezwykłym. Pytanie tylko, co robić, skoro idea już została oficjalnie przedstawiona. Amerykańska społeczność wywiadowcza będzie rozdartą. Niektórzy eksperci ucieszą się z możliwości uzyskania bezpośredniego dostępu do zasobów takich państw jak Chiny, Kolumbia i kilka byłych republik sowieckich, które zazdrośnie strzegły swoich tajemnic.

Inni - z Hoodem włącznie - będą się obawiali, że niektóre kraje wykorzystają sytuację i podsuną wywiadowi Stanów Zjednoczonych fałszywe informacje, a to mogłoby mieć katastrofalne następstwa. Herbert opowiadał mu kiedyś o tym, jak w 1978 roku, tuż przed obaleniem szacha Iranu, przedstawiciele umiarkowanych ugrupowań irańskich dostarczyli CIA klucz do szyfru używanego przez zwolenników ajatollaha Chomeiniego do komunikacji przez telefaks. Wszystko grało, ale 29

do czasu. Kiedy ajatollah przejął władzę, jego ludzie dorwali się do akt szacha i odkryli, że klucz do szyfru jest w rękach Amerykanów. Nieświadoma niczego CIA nadal z niego korzystała. Podejrzeń nabrano dopiero po śmierci ajatollaha w 1989

roku, kiedy to z odcyfrowanych komunikatów wynikało, że Chomeini wraca do zdrowia. Trzeba było przejrzeć zgromadzone przez dziesięć lat dane i sporą ich część usunąć.

Hood już sobie wyobrażał, jak Teheran zareaguje na propozycję przystąpienia do sieci antyterrorystycznej. „Jasne, wchodzimy w to. Aha, i macie tu klucz do szyfru, którym posługują się sunniccy terroryści z Azerbejdżanu, miejcie ich na oku”. Może ich intencje byłyby szczerze, a może chcieliby po prostu podrzucić Amerykanom fałszywe informacje w celu pogłębienia nieufności do sunnitów. Stany Zjednoczone nie mogłyby odmówić udzielenia pomocy, skoro prezydent sam ją zaproponował; z drugiej strony, nie można by było ani w pełni polegać na otrzymanych informacjach, ani ich odrzucić, bo a nuż okazałyby się prawdziwe.

To nie wróżyło nic dobrego. Hood postanowił skontaktować się z Burtonem Gable'em, szefem personelu prezydenta, i spytać, co wie o całej sprawie. Nie znał go dobrze, ale Gable to jedna z najtęższych głów w instytucie Lawrence'a i odegrał kluczową rolę w jego zwycięstwie w wyborach. Nie było go co prawda na kolacji, ale bez niego nie podjęto by żadnej inicjatywy.

Hood wrócił do motelu, zdrzemnął się i już o wpół do szóstej znów był w Centrum.

Chciał osobiście przywitać podwładnych.

Rozmawiał z psycholog Liz Gordon o Harleigh, a z prawnikiem Lowellem Coffeyem o rozwodzie, więc oboje wiedzieli, że wraca. Uprzedził o tym też generała Rodgersa, który przekazał tę informację szefowi komórki wywiadowczej, Bobowi Herbertowi.

Herbert zjawił się pierwszy. W 1983 roku w zamachu na amerykańską ambasadę w Bejrucie stracił żonę i władzę w nogach. Przekuł to jednak w swój atut: jego zmodyfikowany wózek inwalidzki stał się miniośrodkiem łączności, z telefonem, faksem, a nawet łączem satelitarnym, dzięki któremu był jednym z najlepiej poinformowanych i najprzenikliwszych analityków na świecie.

Za nim wszedł siwowłosy generał Rodgers. Świetnie się spisał w ostatniej akcji przeciwko terrorystom, w siedzibie ONZ. A jednak widać było, że nie całkiem doszedł do siebie po dramatycznych przeżyciach na Bliskim Wschodzie. Wpadł w ręce kurdyjskich terrorystów, więzili go i torturowali. Od tamtej pory ogień w jego oczach zgasł, a krok nie był już taki sprężysty. Choć nie dał się złamać, w tamtej jaskini w dolinie Bekaa coś w nim umarło.

Rodgers i Herbert ucieszyli się na widok Hooda. Obaj zostali w pracy dłużej, by go powitać i wysłuchać sprawozdania z uroczystej kolacji w Bia-30

łym Domu. Herbert nie posiadał się ze zdumienia, kiedy usłyszał słowa prezydenta.

-

To tak, jakby kamerzyści zapowiedzieli, że będą pokazywać widzów, a nie mecz - powiedział. - Nikt by im nie uwierzył. Nikt.

-

No właśnie - przytaknął Hood. - I dlatego musimy dowiedzieć się, cze mu prezydent to powiedział. Jeśli ma jakiś plan, o którym nic nie wiemy, musimy go poznać. Porozmawiać z ludźmi z innych agencji, sprawdzić, co i jak.

-

Zajmę się tym - obiecał Herbert i wyjechał na wózku.

Rodgers zapowiedział, że spyta szefów wywiadu armii, marynarki, lotnictwa i piechoty morskiej, co wiedzą o całej sprawie.

Po wyjściu Herberta i Rodgersa, Hooda odwiedzili najważniejsi członkowie jego grupy, którzy nie zostali uprzedzeni o jego powrocie: łącznik z FBI i Interpolem, Darrell McCaskey, i rzeczniczka prasowa, Ann Farris. McCaskey właśnie wrócił z Europy, gdzie prowadził wspólne działania z ludźmi z Interpolu i romansował z Marią Corneja, agentką, z którą pracował w Hiszpanii. Hood znał się na ludziach i instynkt podpowiadał mu, że Darrell wkrótce złoży rezygnację, by wrócić do Marii. McCaskey ostatnio długo przebywał za granicą, więc nawet nie zdążył się zmartwić rezygnacją szefa.

Co innego Ann Farris. Ona zawsze była blisko Hooda i jego odejście bardzo ją zasmuciło. Hood wiedział, że Ann się w nim kocha, choć nie dawała tego po sobie poznać. Dzięki kontaktom z dziennikarzami nauczyła się robić idealnie pokerową minę. Żadne pytanie, żadna informacja, żadne oświadczenie nie mogło wytrącić jej z równowagi. Jednak Hoodowi jej duże, ciemnordzawe oczy mówiły więcej niż najlepszy nawet mówca czy spiker telewizyjny. A w tej chwili wyzierały z nich jednocześnie radość, smutek i zaskoczenie.

Podeszła do biurka. Miała na sobie swój, jak to określała, „uniform” -czarny kostium, białą bluzkę i naszyjnik z pereł. Brązowe, sięgające ramion włosy odgarnęła z twarzy i spięła spinkami. W gabinecie Hooda nie było żadnych rzeczy osobistych. Nie zdążył jeszcze poustawić zdjęć i innych pamiątek. A mimo to, po kłótniach z Sharon i nocy spędzonej w bezdusznym pokoju hotelowym, na widok Ann poczuł się jak w domu.

-

Mike właśnie mi powiedział - zaczęła.

-

O czym?

-

O Sharon - odparła. - I o twoim powrocie. Paul, dobrze się czujesz?

-

Trochę jestem poobijany, ale nic mi nie będzie.

Ann stanęła przed biurkiem. Raptem dziesięć dni wcześniej stała w tym samym miejscu i patrzyła, jak się pakował. Hood miał wrażenie, że od tamtej pory minęły całe wieki. Dlaczego ból dłużył się w nieskończoność, a szczęście było tak krótkotrwałe?

-
Co mogę zrobić, Paul? - spytała Ann. - Jak się mają Sharon i dzieci?

-
Wszyscy jesteśmy w lekkim szoku. Liz pomaga Harleigh, ja i Sharon jesteśmy wobec siebie w miarę uprzejmi, a Alexander jest Alexandrem. Czyli wszystko z nim w porządku. - Hood przeczesał dłonią falujące czarne włosy. - A co się tyczy tego, co możesz zrobić, właśnie przyszło mi do głowy, że trzeba powiadomić prasę o moim powrocie.

-
Wiem. - Uśmiechnęła się. - Byłoby łatwiej, gdybyś mnie uprzedził.

-
Przepraszam - powiedział Hood.

-
Nic się nie stało - odparła. - Miałeś inne sprawy na głowie. Zaraz coś napiszę i ci przyniosę.

Spojrzała na niego z góry, brązowe włosy okalały jej ostre rysy. Hood zawsze czuł, że jest między nimi jakieś erotyczne napięcie, ale nigdy mu nie ulegał.

Bob Herbert i Lowell Coffey też to zauważyli i dokuczali mu z tego powodu, a Ann trzymała się od niego na dystans. Ale teraz ten dystans się zmniejszył.

-
Wiem, że masz dużo pracy - powiedziała - ale jakby co, jestem tu. Gdy byś chciał porozmawiać czy po prostu potrzeba ci towarzystwa, nie krępuj się. W końcu znamy się ładnych parę lat.

-
Dzięki - odparł Hood.

Ann długo patrzyła mu w oczy.

-
Przykro mi z powodu tego, przez co przechodzi twoja rodzina, Paul. Ale odwalileś tu kawał dobrej roboty i cieszę się, że wróciłeś.

-

Ja też - przyznał Paul. - Myślę, że to denerwowało mnie najbardziej.

-

Co? - spytała.

-

Że nie mogłem skończyć tego, co zacząłem - powiedział. - Może to banał, ale ten kraj zrodził się ze wspólnego trudu wyjątkowych mężczyzn i kobiet. Centrum Szybkiego Reagowania jest częścią tej tradycji. Mamy tu świetny zespół wykonujący ważną pracę i szkoda mi było go opuszczać.

Ann wciąż na niego patrzyła, jakby chciała coś powiedzieć, ale w końcu cofnęła się od biurka.

-

To ja zajmę się tym komunikatem dla prasy - powiedziała. - Mam wspo mnieć o tym, co zaszło między tobą a Sharon?

-

Nie - powiedział Hood. - Chyba że ktoś się będzie dopytywał. W prze ciwnym razie powiedz tylko, że się rozmyśliłem.

-

Wyjdiesz na krętacza - powiedziała.

-

Opinia „The Washington Post” nie wpłynie na moją wydajność - stwierdził.

-

Teraz może nie - powiedziała Ann. - Ale może ci zaszkodzić, jeśli będziesz chciał kandydować na jakiś urząd.

Hood spojrzał na nią.

-

Fakt - powiedział.

-

Może by im powiedzieć, że to prezydent poprosił cię, byś wrócił? -
zapropnowała.

-

Przecież to nieprawda - odparł.

-

Spotkaliście się po twoim przyjeździe z Nowego Jorku - powiedziała. -

On niczemu nie zaprzeczy. To dowód jego lojalności. Wszyscy na tym sko rzystają.

-

Ale to nieprawda - upierał się Hood.

-

No to powiedzmy tak - zaproponowała Ann. - Po spotkaniu z prezyden tem postanowiłeś przemyśleć
kwestię swojej rezygnacji.

-

Uwzięłaś się, żeby wmieszać w to prezydenta.

-

Jak zawsze - powiedziała Ann. - To przydaje nam wagi.

-

Wagi? - zdziwił się Hood. - No dobrze, niech ci będzie. - Uśmiechnęli się do siebie. Hood odwrócił
wzrok. - Lepiej wezmę się do roboty. Mam duże zaległości.

-

Nie wątpię - odparła Ann. - Prześlę ci e-mailem komunikat, zanim dam go do publikacji.

-

Jeszcze raz dzięki - powiedział Hood. - Za wszystko.

-

Nie ma sprawy. - Ann zawahała się. Długo patrzyła na Hooda, po czym wyszła.

Hood utkwił wzrok w monitorze stojącym po prawej stronie. Nie chciał patrzeć, jak Ann wychodzi. Była piękną, inteligentną, bardzo pociągającą kobietą.

Rozwódką. Przez pięć lat znajomości flirtowali ze sobą, ona bardziej otwarcie niż on. Teraz, kiedy Hood miał się rozwieść, czuł się niezręcznie na myśl o kontynuowaniu tej gry. Nikt już nie stał im na drodze. Flirt przestał być tylko zabawą.

Ale Hood nie miał czasu o tym myśleć. Czekало go naprawdę dużo roboty. Musiał

przejrzeć dzienne meldunki, zebrane w poprzednim tygodniu przez Mike'a Rodgersa, zawierające informacje z całego świata i szczegóły trwających tajnych operacji.

Musiał też rzucić okiem na raporty reszty personelu i zerknąć w terminarz, zanim wybierze się na spotkanie z pierwszą damą. Zauważył, że Rodgers zaplanował na ten tydzień rozmowy z ostatnimi kandydatami na następcę Marthy Mackall, zamordowanej w Hiszpanii łączniczki politycznej, i na nowo utworzone stanowisko doradcy do spraw gospodarczych. Ponieważ coraz więcej państw było ze sobą powiązanych finansowo - , jak "syjamskie wieloraczki", jak to określił Lowell Coffey - polityka stawała się kłopotliwym dodatkiem do siły, która tak naprawdę wprawiała ten świat w ruch.

Postanowił zostawić tę sprawę Mike'owi. W końcu to on rozpoczął proces selekcji, a sam Hood był zbyt zajęty. Jednak pomimo wszystkiego, co się działo, jedno pozostawało niezmiennie.

Kochał tę pracę, to miejsce. Cieszył się, że tu wrócił.

ROZDZIAŁ 8

Baku, Azerbejdżan

Poniedziałek, 16.00

Azerbejdżan jest państwem na rozdrożu.

W następstwie konfliktu w Górnym Karabachu dwadzieścia procent terytorium kraju

- głównie w południowo-zachodniej części, przy granicach z Armenią i Iranem -

okupują rebelianci. Choć od 1994 roku trwa zawieszenie broni, regularnie dochodzi do starć zbrojnych. Prywatnie dyplomaci otwarcie wyrażają obawy, iż samozwańcza Republika Górnego Karabachu może stać się nowym Kosowem. W Baku i innych miastach dochodzi do zamieszek. Niektóre mają charakter polityczny, inne są po prostu wyrazem niezadowolenia ludności. Od rozpadu Związku Radzieckiego daje się we znaki poważny niedobór lekarstw, produktów rolnych i nowych technologii. Gotówka - najchętniej dolary - to jedyna forma zapłaty uznawana w większej części kraju, w tym w stolicy.

Stany Zjednoczone co prawda popierają legalne władze Azerbejdżanu, ale jednocześnie starają się nie zrazić do siebie rebeliantów. Baku dostaje pożyczki, a „lud” - czyli głównie rebelianci - może kupować towary bezpośrednio od Amerykanów. W razie wybuchu konfliktu na wielką skalę Stany Zjednoczone chcą mieć kontakty po obu jego stronach.

Utrzymywanie kruchej równowagi jest głównym zadaniem małej ambasady amerykańskiej. Od marca 1993 roku piętnastu jej pracowników i dziesięciu wartowników z marines urzęduje w małym budynku z kamienia przy Azadlig Prospekt 83. Na jego tyłach, w pozbawionym okien, wyłożonym boazerią pokoju, mieści się Wydział Serwisów Informacyjnych. W odróżnieniu od małego wydziału prasowego, który wydaje komunikaty dla prasy i organizuje wywiady i spotkania z kongresmanami, senatorami i członkami rządu amerykańskiego, oficjalnym zadaniem Wydziału Serwisów Informacyjnych jest zbieranie wycinków prasowych z całej Rosji.

To zadanie oficjalne.

Tak naprawdę jedynym pracownikiem wydziału jest agent CIA zbierający informacje z całego kraju. Większość z nich pochodzi z elektronicznego nasłuchu prowadzonego przez satelitę i specjalne wozy.

Sporo informacji zdobywają też pracownicy ambasady, których zadaniem jest obserwacja, podsłuchiwanie i fotografowanie członków władz - czasem w kompromitujących sytuacjach, z których część aranżował także Wydział Serwisów Informacyjnych.

Ponieważ David Battat był ranny, nie chciał wracać do Moskwy. Zamiast tego poszedł pieszo do ambasady. Tam zaprowadzono go do zastępcy ambasadora, Dorothy Williamson, której towarzyszył szef doradców, Tom Moore. Williamson, tęga kobieta o kręconych czarnych włosach, wyglądała na jakieś czterdzieści lat.

Moore był smukłym, trzydziestoparoletnim olbrzymem, o

długiej, wychudłej twarzy, na której rysował się wyraz głębokiego smutku.

Gdyby Battat ugrzązł w Baku, też nie widziałby powodów do radości.

Asystentem Williamson był weteran Ron Friday. Tylko on uśmiechnął się pokrzepiająco i Battat poczuł do niego wdzięczność.

Kiedy relacjonował przebieg wydarzeń, Williamson kazała lekarzowi z marines obejrzeć jego obrażenia. Miał opuchnięte gardło, w ślinie były ślady krwi, ale nie wyglądało to groźnie. Po badaniu został zabrany do pokoju Wydziału Serwisów Informacyjnych. Mógł na osobności zadzwonić do Moskwy. Rozmawiał z Patem Thomasem, zastępcą kierownika działu informacji w ambasadzie. Thomas był też zakonspirowanym szefem komórki CIA, co oznaczało, że nie figurował w aktach agencji. Jego raporty dostarczano bezpośrednio do Waszyngtonu pocztą dyplomatyczną.

Thomas nie krył niezadowolenia. Byłby bohaterem, gdyby Battat zidentyfikował

Harpunnika. A teraz będzie musiał się tłumaczyć w Baku i w Waszyngtonie, jak to się stało, że jego człowiek nie podołał tak prostemu zadaniu.

Powiedział, że skontaktuje się z Battatem, kiedy już podejmie dalsze decyzje.

Przyniesiono jedzenie. Battat jadł, choć apetyt zostawił na plaży wraz z poczuciem własnej wartości, energią i karierą. Potem siedział na krześle i

odpoczywał do czasu, kiedy Williamson i Moore przyszli na drugą, bar dziej szczegółową rozmowę. Moore miał posępną minę. Będzie bolało.

Urządzenia zagłuszające w ścianach powodowały, że zainstalowane przez Azerów pluskwy zamiast rozmowy usłyszają tylko szum.

Battat powiedział, że Moskwa podejrzewała, iż Harpunnik jest w Baku, a jego zadaniem było potwierdzenie tej informacji. Te wyjaśnienia nie zadowolili szefa doradców ambasadora.

-

Biuro w Moskwie najwyraźniej uznało, że jesteśmy zbędni - burknął

Moore. - Nie wie pan, dlaczego?

-

Bali się, że obiekt mógł kazać komuś obserwować ambasadę - powie dział Battat.

-

Nie wszyscy nasi ludzie siedzą w ambasadzie - zauważył Moore. - Mamy informatorów na zewnątrz.

-

Rozumiem - powiedział Battat. - Ale Moskwa uznała, że im mniej osób dowie się o operacji, tym łatwiej będzie zaskoczyć wroga.

-

Co się jednak nie sprawdziło - skwitował Moore.

-Fakt.

-

Człowiek, który pana napadł, spodziewał się pańskiego przybycia.

-

Na to wygląda, choć nie wiem, jak to możliwe - powiedział Battat. -

Byłem dobrze schowany, nie używałem urządzeń wysyłających impulsy elektryczne. Miałem aparat cyfrowy, siedemdziesiątkę. Bez lampy błyskowej, bez szklanych elementów, od których mogłoby się odbijać światło, bez ruchoomych, trzaskających części.

Czy Harpunnik lub jego ludzie mogli przeprowadzić rutynowe przeszukanie wybrzeża? - spytała zastępczyni ambasadora.

-

Brałem to pod uwagę - powiedział Battat. - Przybyłem odpowiednio wcześniej na miejsce wybrane na podstawie zdjęć satelitarnych. Takie, w którym mogłem widzieć i słyszeć wszystkie przechodzące osoby.

-

To dlaczego nie usłyszał pan kroków tego cholernego napastnika? - spytał Moore.

-

Bo uderzył mnie w chwili, kiedy coś zaczęło się dziać na łodzi, którą obserwowałem - powiedział. - Jakiś człowiek wyszedł spod pokładu i włączył radio. Chodziło o odwrócenie mojej uwagi.

-

Musieli więc wiedzieć, że pan tam był, panie Battat - powiedział Moore.

-

Prawdopodobnie.

-

I to jeszcze zanim pan się tam zjawił - ciągnął Moore.

-

Nie wiem, jak to możliwe, ale nie mogę tego wykluczyć - przytaknął

Battat.

-

Ciekawe, czy to rzeczywiście Harpunnik - powiedział Moore.

-

Jak to? - spytała Williamson.

-

Harpunnik jest terrorystą od przeszło dwudziestu lat - wyjaśnił Moore. -

Osobiście zorganizował co najmniej piętnaście zamachów bądź brał w nich udział. O tylu wiemy, pewnie było ich więcej. Ilekroć zastawiano na niego pułapki, zawsze się wymykał. Jest sprytny i mobilny. O ile wiemy, nie ma stałego miejsca zamieszkania, wynajmuje potrzebnych ludzi, rzadko dwa razy korzysta z usług tych samych osób. Wiemy, jak wygląda, bo dostaliśmy fotografię od jednego z jego dostawców broni. Faceta znaleziono kilka mie sięcy później na żaglówce, rozplatanego od brody po brzuch nożem do oprawiania ryb. Już po tym, jak daliśmy mu nową tożsamość.

-

Rozumiem - powiedziała zastępczyni ambasadora.

-

Nóż został na pokładzie łodzi - dodał Moore. - Harpunnik zawsze zostawia broń na miejscu zbrodni. A to kuszę do polowań podwodnych, a to zaczepy cumy dziobowej.

-

Wszystko związane z morzem - zauważyła Williamson.

-• Na ogół - powiedział Moore. - Przypuszczamy, że był kiedyś marynarzem - to oczywiste - ale nie mamy pojęcia, gdzie służył. Nigdy nie zostawiał świadków. Co znaczy, że albo to nie on napadł na pana Battata, albo z jakiegoś powodu rozmyślnie pozostawił go przy życiu.

Zastępczyni ambasadora uważnie przyjrzała się Battatowi.

-

Z jakiego?

-

Nie mam pojęcia - przyznał.

Milczeli. Ciszę mącił jedynie szum wentylatora.

-

Panie Battat, obecność Harpunnika w tym rejonie może mieć dla nas wszystkich poważne konsekwencje - powiedziała Williamson.

-

I to kolejny powód, dla którego powinni nas o wszystkim poinformować! - wybuchnął Moore. - Do licha, znamy tajniaków, którzy nas obserwują. Od paru dni się nie pokazują, bo szukają rosyjskiego szpiega, który przed wczoraj uciekł z więzienia.

-

Mogę tylko powtórzyć, że naprawdę mi przykro - powiedział Battat.

-

Mógłby pan nie wyjeżdżać z Baku, dopóki tego wszystkiego nie wyjaśnimy? - spytała Williamson.

-

Oczywiście - zgodził się Battat. - Chcę pomóc.

-

Miejmy nadzieję, że nie jest za późno - mruknął Moore.

Wstali.

-

Co z „Rachel”? - spytał Battat.

-

Wysłałem na jej poszukiwania mały samolot - powiedział Moore. - Ale mają nad nami kilka godzin przewagi i Bóg raczy wiedzieć, dokąd popłynę li. Nie jestem optymistą.

-

Nie możecie sprawdzić jachtu? Nie ma tu jakiegoś rejestru?

-

Jest - odparł Moore - tyle że nie ma w nim „Rachel”. Sprawdzamy jeszcze w Dagestanie, Kałmucji i innych republikach nad Morzem Kaspijskim, ale domyślam się, że nie został zarejestrowany.

Moore zaprowadził Battata do małego pokoju gościnnego na piętrze. Battat położył

się na pryczy w kącie i się zamyślił. Łódź, muzyka z radia, mężczyzna, który mignął mu na pokładzie - raz po razie odtwarzał tamte obrazy i dźwięki, szukając dodatkowych wskazówek. Czegoś, co mogłoby mu powiedzieć, kim byli członkowie załogi „Rachel”, jak byli ubrani, skąd mogli pochodzić. Przesłuchujący wyszkoleni w technikach pobudzania podświadomości potrafili krok po kroku wyciągnąć z agentów zapomniane szczegóły. Pytali o kolor nieba, wody, siłę wiatru i zapachy, jakie niósł. Kiedy agent wracał pamięcią na miejsce zdarzenia, przesłuchujący kazał mu oglądać je z różnych punktów widzenia, prosił o opisanie charakterystycznych znaków na kadłubie łodzi, pytał, czy na rufie lub maszcie były flagi i czy słychać było jakieś dźwięki. Battat nie mógł się nadziwić, jak wiele mózg przechowuje informacji, nie zawsze bezpośrednio dostępnych.

Choć zamknął oczy, oddychał powoli i głęboko i kolejno przebiegał myślą wszystkie szczegóły, nie mógł sobie przypomnieć nic, co wskazywałoby, kto był na łodzi lub z której strony podszedł napastnik. Nie pamiętał nawet dotyku materiału okrywającego rękę, która go dusiła, ani zapachu mężczyzny, 37

który go zaatakował. Nie przypominał sobie, czyjego policzek był zarośnięty, czy ogolony. Za bardzo koncentrował się na tym, by przeżyć.

Nie otwierał oczu. Zamiast rozpamiętywać przeszłość, wybiegł myślą naprzód.

Zostanie w Baku, nie tylko dlatego że prosiła o to zastępczyni ambasadora.

Dopóki nie dowie się, kto go zaatakował, nie odzyska dobrego imienia, a jego życie będzie w rękach tajemniczego napastnika.

Który być może właśnie dlatego go nie zabił.

ROZDZIAŁ 9

Waszyngton

Poniedziałek, 11.55

Hooda zawsze zaskakiwało to, jak bardzo Waszyngton zmieniał się za dnia. Nocą białe fasady były jasno oświetlone i zdawały się stać samotnie, emanując dostojnym blaskiem. Za dnia, wciśnięte między nowoczesne biurowce, wózki handlarzy i wymyślne szyldy restauracji, wśród ryku samolotów i ochronnych barier z betonu i stali budynki te wydawały się wręcz antyczne.

Oto dwa oblicza Waszyngtonu. Z jednej strony stara, coraz bardziej skostniała biurokracja, z drugiej wizja wielkości, której nie sposób lekceważyć czy umniejszać.

Hood zatrzymał wóz na Ellipse, po południowej stronie placu. Przeszedł przez E

Street i skierował się East Executive do Bramy Wschodniej. Wpuszczono go do środka i, sprawdzony wykrywaczem metalu, zczekał na któregoś z asystentów pierwszej damy.

Ze wszystkich budynków Waszyngtonu najbardziej podobał mu się Kapitel. Po pierwsze, tu były trzewia władzy, tu Kongres nadawał wizji prezydenta konkretny kształt. Często kształt ten był dość pokraczny, ale bez niego wizja rozplynęłaby się bez śladu. Po drugie, budynek sam w sobie był wielkim muzeum sztuki i historii, na każdym kroku napotykało się prawdziwe skarby. Tu tabliczka wskazująca miejsce, gdzie stało biurko kongresmana Abrahama Lincolna. Tam posąg generała Lew Wallace'a, niegdyś gubernatora Nowego Meksyku i autora Ben Hura.

Gdzie indziej znowu znak informujący o stanie poszukiwań kamienia węgielnego, który, wmurowany przed przeszło dwustu laty podczas skromnej uroczystości, został zakopany i zniknął pod dobudowanymi fundamentami.

Biały Dom nie prezentował się tak imponująco jak Kapitol. Był o wiele mniejszy, z elewacją pokrytą odłóżką farbą i wypaczonym drewnem. Jednak jego otoczenie, kolumny, pokoje i znajome elementy wystroju niezawodnie przywoływały wspomnienia wielkich przywódców dokonujących

zarówno wielkich, jak i haniebnych, bardzo ludzkich czynów. To tu zawsze będzie biło serce Stanów Zjednoczonych.

Przyszedł młody asystent pierwszej damy. Zaprowadził Hooda do windy wjeżdżającej na drugie piętro. Hood trochę się dziwił, że pierwsza dama chce się z nim spotkać na górze. Zwykle przyjmowała gości w swoim gabinecie na parterze.

Asystent zaprowadził go do jej salonu, sąsiadującego z prezydencką sypialnią.

Był to mały pokój z dwójgim drzwi, z których jedne, większe, prowadziły na korytarz, a drugie najprawdopodobniej do sypialni. Pod przeciwległą ścianą stała złota kanapa, naprzeciwko niej dwa fotele rozdzielone stolikiem. Po drugiej stronie pokoju znajdował się duży sekretarzyk z laptopem. Podłogę przykrywał

biało-czerwono-złoty perski dywan; białe zasłony były zaciągnięte. Mały żyrandol rzucał jasne refleksy światła po całym pokoju.

Hood spojrział na dwa portrety na ścianie. Jeden przedstawiał Alice Roosevelt, córkę Theodore'a, a drugi Hannah Simpson, matkę Ulyssesa S. Granta. Właśnie zastanawiał się, co one tu właściwie robią, kiedy weszła pierwsza dama. Miała na sobie beżowe spodnie i dopasowany do nich sweter. Asystent zamknął za sobą drzwi i zostali sami.

-

Nancy Reagan znalazła je w piwnicy - powiedziała Megan.

-

Słucham?

-

Portrety - powiedziała. - Osobiście je stamtąd wyciągnęła. Nie chciała, by kobiety zostały same i zbierały kurz.

Hood uśmiechnął się. Uściskali się lekko i Megan wskazała mu kanapę.

-

Są tam jeszcze inne skarby - powiedziała, kiedy usiedli. - Meble, książki, dokumenty i różne drobiazgi, na przykład tabliczka do pisania Tada Lin colna i pamiętnik Florence Harding.

-

Myślałem, że większość pamiątek trafiła do Instytutu Smithsonian.

-

Duża ich część, owszem. Ale wiele pamiątek rodzinnych zostało tutaj.

Tyle było tych skandali, że ludzie nabrali cynizmu - powiedziała Megan. -

Zapomnieli, że Biały Dom zawsze był i nadal jest przede wszystkim domem.

Rodziły się tu i wychowywały dzieci, odbywały się śluby, przyjęcia urodzi nowe, spędzano tu wakacje.

Przyniesiono kawę i Megan zamilkła. Hood patrzył na nią. Steward cicho i sprawnie wyłożył srebrną zastawę, napełnił filiżanki i wyszedł.

Megan mówiła z żarem, jak zwykle. W to, co robiła, zawsze wkładała całe serce, czy wygłaszała publiczne przemówienie lub apel o zwiększenie wydatków na edukację, czy też prowadziła rozmowę o Białym Domu ze starym znajomym. Ale tym razem w jej twarzy było coś, czego nigdy wcześniej nie widział. Ten wydawałoby się niegasnący zapał zniknął z jej oczu. Zastąpiło go przerażenie. Zmieszanie.

Wziął filiżankę, napił się kawy i spojrzał na Megan.

-

Cieszę się, że przyszedłeś. - Siedziała ze spuszczoną głową. Filiżankę i spodek trzymała na kolanach.

- Wiem, że jesteś zapracowany i masz swoje problemy. Ale tu nie chodzi o mnie ani o prezydenta, Paul. - Podniosła wzrok.

-

Chodzi o kraj.

-

Co się stało? - spytał Hood.

Odetchnęła głęboko.

-

Mój mąż dziwnie się ostatnio zachowuje.

Zamilkła. Hood nie naciskał. Czekał.

-

Od tygodnia jest coraz bardziej rozkojarzony - powiedziała. - W ogóle nie pytał o naszego wnuka, co jak na niego jest bardzo niezwykle. Mówi, że ma dużo pracy, może to prawda. Ale wczoraj stało się coś bardzo dziwnego.

-

Spojrzała na niego przenikliwie. - To zostanie między nami.

-

Oczywiście.

Megan zaczerpnęła powietrza.

-

Przed kolacją zastałam go siedzącego przy toalecie. Czas naglił, a on nie wziął jeszcze prysznic ani się nie ubrał. Wpatrywał się tylko w lustro, czer wony na twarzy. Wyglądał, jakby płakał. Kiedy spytałam, co się stało, po wiedział, że ćwiczył. Że ma przekrwione oczy, bo mało spał. Nie uwierzy

łam mu, ale dałam temu spokój. Potem, na przyjęciu przed kolacją, był jakiś nieswój. Uśmiechał się, zachowywał uprzejmie, ale nie miał w sobie krzty zapału. Do chwili, kiedy ktoś do niego zadzwonił. Odebrał telefon w gabi necie i wrócił po dwóch minutach zupełnie odmieniony. Wylewny, pewny siebie.

-

Takie sprawiał wrażenie na kolacji - powiedział Hood. - Co miałaś na myśli, mówiąc, że był nieswój?

Megan zamyśliła się.

-

Wiesz, jak to jest po długiej podróży samolotem? - spytała. - Człowiek ma szkliste oczy, na wszystko reaguje z opóźnieniem.

Hood skinął głową.

-

Tak właśnie z nim było do chwili, kiedy dostał ten telefon - powiedziała Megan.

-

Nie wiesz, kto dzwonił? - spytał Hood.

-

Mówił, że Jack Fenwick.

Fenwick, cichy i kompetentny, w czasie pierwszej kadencji prezydenta odpowiadał

za wykonanie budżetu. Potem został członkiem instytutu American Sense i tam zajął się sprawami wywiadu. Po ponownym wyborze Lawrence'a został mianowany szefem NSA, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, stanowiącej odrębną komórkę wywiadowczą Departamentu Obrony. W odróżnieniu od innych agencji wywiadu wojskowego, NSA zapewniała

wsparcie także tym działaniami prezydenta, które nie wiązały się z obronnością kraju.

-

Co powiedział mu Fenwick? - spytał Hood.

-

Że wszystko się ułożyło - odparła. - Tylko tyle się od niego dowiedzia łem.

-

Nie wiesz, o co może chodzić?

Potrząsnęła głową.

-

Pan Fenwick dziś rano wyjechał do Nowego Jorku. Kiedy spytałam jego asystentkę, w jakiej sprawie dzwonił, powiedziała, że nic nie wie o żadnym telefonie.

-

Sprawdziłaś billing?

Megan skinęła głową.

-

Dzwoniono z hotelu Hay-Adams.

Elegancki stary hotel znajdował się po drugiej stronie Lafayette Park, dokładnie naprzeciwko Białego Domu.

-

Dziś rano wysłałam do hotelu jednego z naszych ludzi - ciągnęła Me gan. - Wziął nazwiska pracowników nocnej zmiany, odwiedził ich i pokazał

im zdjęcia Fenwicka. Nie widzieli go na oczy.

-

Mógł wejść tylnymi drzwiami - zauważył Hood. - Sprawdziłaś księgę meldunkową?

-

Tak - powiedziała. - Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Mógł zamieścić się pod fałszywym nazwiskiem. Kongresmani często umawiają się tam na prywatne spotkania.

Hood wiedział, że Megan nie chodziło tylko o spotkania polityczne.

-

Ale to nie wszystko - ciągnęła. - Kiedy zeszliśmy do Pokoju Błękitnego, Michael podszedł do senatora Fox i jej podziękował. Wyglądała na bardzo zdziwioną. Spytała, za co. Odpowiedział: „Za wygospodarowanie środków na inicjatywę”. Widziałam po niej, że nie ma pojęcia, o co mu chodzi.

Hood skinął głową. To wyjaśniało, dlaczego senator Fox była wczoraj taka zmieszana. Wszystko powoli stawało się jasne. Fox pracowała w kongresowej komisji do spraw nadzoru nad tajnymi służbami. Gdyby podjęto jakąś operację wywiadowczą, musiałaby o tym wiedzieć. A tymczasem była równie zaskoczona inicjatywą prezydenta, jak Hood. A mimo to prezydent sądził bądź został poinformowany, prawdopodobnie przez Jacka Fenwicka, że pomogła doprowadzić ją do skutku.

-

A jak prezydent zachowywał się po kolacji? - spytał Hood.

-

To właśnie jest najgorsze - odparła Megan. Coraz trudniej jej było zachować spokój. Odstawiła filiżankę, Hood zrobił to samo. Przysunął się do niej. - Kiedy kładliśmy się spać, do Michaela zadzwonił Kirk Pike.

Pike, były szef wywiadu marynarki, nowy dyrektor CIA.

-

Odebrał w sypialni - ciągnęła Megan. - Rozmawiali krótko. Kiedy odłożył słuchawkę, długo siedział na łóżku i patrzył przed siebie. Jakby był w szoku.

-

Czego chciał Pike?

-

Nie wiem - odparła Megan. - Michael nie powiedział. Może nie było to nic ważnego, może po prostu coś dało mu do myślenia. Ale zdaje się, że w ogóle nie spał. Kiedy wstałam, nie było go już w łóżku, przez cały dzień miał spotkania. Zwykle widzimy się o jedenastej, choćby po to, by zamienić parę słów, ale nie dziś.

-

Rozmawiałaś z jego lekarzem? - spytał Hood.

Megan pokręciła głową.

-

Jeśli doktor Smith niczego nie wykryje, może wysłać Michaela do doktora Benna.

-

Psychiatry ze Szpitala imienia Waltera Reeda - odpowiedział Hood.

-

No właśnie - powiedziała Megan. - Doktor Smith blisko z nim współpracuje.

Paul, wiesz, co się stanie, jeśli prezydent Stanów Zjednoczonych pójdzie do psychiatry. Nawet gdybyśmy robili wszystko, by zachować to w tajemnicy, ryzyko jest zbyt duże.

-

Byłoby jeszcze większe, gdyby z prezydentem było coś nie tak - zauważył Hood.

-

Wiem - powiedziała Megan. - I dlatego właśnie chciałam spotkać się z tobą. Paul, dzieje się dużo

dziwnych rzeczy. Jeśli mój mąż jest chory, wy ślę go do doktora Benna bez względu na konsekwencje. Ale zanim to zrobię, chcę wiedzieć, czy coś się za tym nie kryje.

-

Usterki w systemie łączności albo sztuczki jakiegoś hakera - powiedział

Hood. - Może to robota chińskich szpiegów.

-

Otóż to - powiedziała Megan.

Widział, jak bardzo jej ulżyło. Gdyby wszystko można było złożyć na karb działania kogoś z zewnątrz, problem dałoby się rozwiązać bez szkody dla prezydenta.

-

Spróbuję czegoś się dowiedzieć - obiecał Hood.

-

Tylko po cichu - powiedziała Megan. - Proszę, nie pozwól, żeby to wyszło na jaw.

-

Nie wyjdzie - zapewnił ją. - Tymczasem porozmawiaj z Michaeliem.

Może się przed tobą otworzy. Wszelkie informacje, nazwiska, poza tymi, które mi podałaś, bardzo się przydadzą.

-

Dobrze - powiedziała Megan. Uśmiechnęła się. - W tej sprawie tobie jednemu mogę zaufać, Paul. Dziękuję, że jesteś przy mnie.

Odwzajemnił uśmiech.

-

Mogę zrobić coś dla przyjaciółki i dla ojczyzny. Niewielu ludzi ma taką okazję.

Wstali i uścisnęli sobie dłonie.

-

Wiem, że ty też przeżywasz trudne chwile - powiedziała pierwsza dama.

- Daj znać, gdybyś czegoś potrzebował.

-

Dobrze - obiecał Hood.

Pierwsza dama wyszła i po chwili zjawił się jej asystent, by odprowadzić Hooda.

ROZDZIAŁ 10

Baku, Azerbejdżan

Poniedziałek, 21.21

Pat Thomas przeżył cud dwa razy jednego dnia. Po pierwsze, TU-154, który miał

odlecieć z Moskwy o szóstej po południu, wystartował o czasie. A z wyjątkiem Królewskich Linii Lotniczych Ugandy, Aeroflot był najbardziej niepunktualnym przewoźnikiem, jakiego znał. Po drugie, wylądował w Baku o 20.45, pięć minut przed czasem. Coś takiego spotkało go po raz pierwszy, odkąd przed pięcioma laty rozpoczął służbę w ambasadzie w Moskwie. Co więcej, choć samolot był prawie pełny, linie lotnicze nie zrobiły podwójnej ani potrójnej rezerwacji na jego miejsce.

Szczupły, wysoki, czterdziestodwuletni Thomas zajmował stanowisko zastępcy dyrektora działu informacji ambasady. Tak naprawdę oznaczało to, że jest szpiegiem: sam siebie nazywał detektywem-dyplomata. Rosjanie rzecz jasna wiedzieli o tym i dlatego rosyjscy agenci nawet na chwilę nie spuszczaali go z oka. W Baku z pewnością też ktoś będzie na niego czekał. Teoretycznie KGB już nie istniało. Ale personel i infrastruktura pozostały i nadal były wykorzystywane przez Federalną Służbę Bezpieczeństwa i inne „służby”.

Thomas był w trzyczęściowym, szarym, zimowym garniturze, który miał go ochronić od mroźnego powietrza nadciągającego znad zatoki Baku. Wiedział, że będzie potrzebował czegoś więcej - mocnej gruzińskiej kawy albo jeszcze mocniejszego rosyjskiego koniaku - by rozgrzać się po zimnym przyjęciu, jakiego spodziewał

się w ambasadzie. Niestety, szpieg czasem nie może powiedzieć wszystkiego nawet swoim. Cóż, przy odrobinie szczęścia dadzą upust złości, Thomas okaże skruchę i będzie można przejść do poważniejszych spraw.

Przysłano po niego wóz z ambasady. Spokojnie schował torbę do bagażnika. Nie chciał, by obserwujący go rosyjscy czy azerscy agenci myśleli, że mu się spieszy. Zatrzymał się, włożył do ust lizaka i wsiadł do samochodu. Nie rób nic ciekawego. To podstawowa zasada, kiedy podejrzewasz, że jesteś śledzony. Potem w razie czego łatwiej zaskoczyć i zgubić „opiekuna”.

Z lotniska w Baku do dzielnicy ambasad i sklepów jechało się pół godziny. Thomas nigdy nie miał okazji posiedzieć tu dłużej niż dzień, dwa, choć bardzo chciałby.

Był na miejscowych bazarach, w świątyni czcicieli ognia, w Państwowym Muzeum Dywanów - nie można nie zobaczyć muzeum o takiej nazwie - i w najsłynniejszym zabytku Baku, Wieży Dziewicy. Stojąca w starym mieście nad zatoką, licząca co najmniej dwa tysiące lat, siedmiopiętrowa wieża została zbudowana przez dziewczynę, która chciała zamknąć się w niej albo rzucić się do morza - nikt nie był pewien, która wersja jest prawdziwa. Thomas wiedział, co ta biedaczka musiała czuć.

Zaprowadzono go do zastępczyni ambasadora Williamson, która właśnie wróciła z kolacji i czekała na niego za biurkiem. Uścisnęli sobie dłonie i powiedzieli kilka banałów. Wzięła długopis i zapisała godzinę w notesie. Po chwili weszli Moore i Battat. Szyja agenta była pokryta czarnymi i szarymi plamami. Wyglądał

na bardzo zmęczonego.

Thomas podał mu rękę.

-

Wszystko w porządku?

-

Trochę jestem poobijany - powiedział Battat. - Przykro mi z powodu tego wszystkiego, Pat.

Thomas skrzywił się.

-

Niektórych rzeczy nie można przewidzieć, David. Zobaczymy, co się da zrobić.

Spojrzał na Moore'a, stojącego obok Battata. Spotkał go na kilku konferencjach i przyjęciach w azjatyckich ambasadach. Moore był przyzwoitym człowiekiem, jednym z tych, którzy pracują dwadzieścia cztery godziny dziennie, siedem dni w tygodniu. W tej chwili nawet nie próbował ukryć gniewu.

Ale rękę mu podał.

-

Co słyhać? - spytał Thomas.

-

Nieważne - powiedział Moore. - Jestem zły. To wcale nie musiało tak się skończyć.

-

Ma pan rację - powiedział Thomas, puszczać jego dłoń. - Z perspektywy czasu widzę, że należało to inaczej rozegrać. Pytanie brzmi: jak ten błąd naprawić?

Moore prychnął.

-

Nie wykręci się pan tak łatwo - powiedział. - Pańscy ludzie przeprowadzili tu małą operację bez naszej wiedzy. Podobno obawiał się pan o ich bezpieczeństwo. Co pan sobie myśli, panie Thomas? Że Azerowie podłączyli się do naszego systemu? Że wiedzą o każdej, nawet najbliższej akcji?

Thomas podszedł do fotela stojącego naprzeciwko Williamson.

-

Panie Moore, pani Williamson, mieliśmy mało czasu, musieliśmy szybko podjąć decyzję. Fakt, okazała się błędna. Pytanie brzmi: co teraz? Jeśli Harpunnik jest tutaj, jak możemy go znaleźć i nie dopuścić, by uciekł?

-
Innymi słowy, jak mamy panu ocalić skórę, tak? - spytał Moore.

-
Można i tak to ująć - przyznał Thomas. Wszystko, byleby ruszyć z miej sca.

Moore westchnął.

-
Nie będzie łatwo - powiedział. - Łódź, którą widział pan Battat, zniknę-

ła bez śladu, nasz człowiek obserwuje lotnisko. Żaden z odlatujących pasa żerów nie odpowiadał rysopisowi Harpunnika.

-
Może zacznijmy od początku? - zaproponował Thomas. - Czego Harpunnik szuka w Baku?

-
Dla terrorystów jest tu wiele potencjalnych celów - powiedział Moore. -

A może zatrzymał się w drodze do innego kraju. Wie pan, jacy są ci ludzie.

Rzadko wybierają najprostszą trasę.

-
Gdyby Baku miało być tylko przystankiem, Harpunnika już dawno by tu nie było - powiedział Thomas. - Skupmy się na możliwych celach i powo dach ataku.

-
Najbardziej niepokojąca jest sytuacja w Górnym Karabachu i Iranie -

powiedziała Williamson. - Górny Karabach ogłosił niepodległość, Armenia i Azerbejdżan zgłaszają do niego pretensje. Cały region prawdopodobnie sta nie w ogniu, kiedy tylko Azerbejdżan zbierze dość pieniędzy na zakup no woczesnej broni. Już to byłoby fatalne dla obu krajów, ale biorąc pod uwagę, że sporny region leży dwadzieścia kilometrów od granicy z Iranem, grozi to prawdziwą katastrofą. Co się tyczy samego Iranu, to nawet pomijając spra wę Górnego Karabachu, Teheran i Baku od lat zrą się o dostęp do wszystkie go, co jest w Morzu Kaspijskim, od ropy naftowej po

jesiotry i ikrę. Wcześniej rządzili tu Sowieci i brali, co chcieli. Niektóre problemy ściśle wiążą się ze sobą - dodała Williamson. - I tak, w wyniku niefachowo prowadzonych przez Azerbejdżan wierceń irańskie łowiska jesiotrów pokrywa półcentymetrowa warstwa ropy. Zanieczyszczenia powodują wymieranie ryb.

-

A jak właściwie jest z ropą? - spytał Thomas.

-

Są cztery główne pola naftowe - powiedziała Williamson. - Azeri, Czi-rag, Giunieszli i Azerbejdżan. Władze kraju i członkowie zachodniego koncernu finansującego poszukiwania ropy twierdzą, że zgodnie z prawem międzynarodowym mają do tych pól wyłączne prawa. Jednak powołują się przy tym na przebieg granic strefy rybołówstwa, które zdaniem Iranu i Rosji nie mają w tym przypadku zastosowania. Dotąd wszystkie spory miały charakter dyplomatyczny.

-

Ale gdyby ktoś dokonał zamachu - powiedział Thomas - na przykład wysadził ambasadę lub zabił któregoś z polityków...

-

Mogłoby to wywołać reakcję łańcuchową obejmującą kilka sąsiednich krajów, wpłynąć na podaż ropy i wciągnąć Stany Zjednoczone w konflikt zbrojny na dużą skalę - powiedziała Williamson.

-

I właśnie dlatego chcemy być informowani o wszelkich tajnych działaniach na naszej małej, zacofanej placówce - dodał Moore sarkastycznym tonem.

Thomas pokręcił głową.

-

Mea culpa. A teraz może byśmy spojrzeli w przyszłość zamiast ciągle oglądać się za siebie?

Moore popatrzył na niego i skinął głową.

-

Wygląda to tak - powiedziała Williamson, zaglądając do notatek. - Jeśli dobrze rozumiem, są dwie możliwe wersje wydarzeń. Pierwsza jest taka, że to nie Harpunnik napadł na pana Battata, co oznaczałoby, iż mamy do czy nienia ze zwyczajnym przemytnikiem narkotyków lub broni, któremu udało się podejść pana Battata,

-

Zgadza się - powiedział Thomas.

-

Czy to możliwe? - spytała Williamson.

-

Raczej nie - powiedział Thomas. - Wiemy, że Harpunnik tu jest. Wi dział go urzędnik z biura wywiadu i analiz Departamentu Stanu lecący sa molotem tureckich linii lotniczych z Londynu do Moskwy. Próbował go śledzić, ale stracił go z oczu.

-

Jak to? Pracownik Departamentu Stanu dziwnym trafem leciał jednym sa molotem z najbardziej poszukiwanym terrorystą świata? - powiedział Moore.

-

Nie mogę mówić w imieniu Harpunnika, powtarzam tylko słowa tego urzędnika - odparł Thomas. - Ale ostatnio coraz więcej terrorystów i szpiegów podróżuje tymi samymi samolotami, co dyplomaci.

Próbują ściągać dane z ich laptopów i podsłuchiwać rozmowy telefoniczne. Departament Stanu już kilka razy wydawał w związku z tym ostrzeżenia. Może to zbieg okoliczności, a może Harpunnik liczył na to, że ukradnie jakąś dyskietkę czy numer telefonu, kiedy urzędnik pójdzie do ubikacji. Nie wiem.

-

Na jakiej podstawie ten urzędnik rozpoznał Harpunnika? - spytała Wil liamson.

-

Widział jego jedyne znane zdjęcie - powiedział Thomas.

-

Jest dobre, wyraźne - zapewnił ją Moore.

-

Jak tylko dostaliśmy tę wiadomość, zaczęliśmy węszyć - ciągnął Thomas. - Potwierdziły ją informacje uzyskane z innych źródeł. Pasażer podróżyował pod przybranym nazwiskiem, miał fałszywy paszport brytyjski. Sprawdziśmy taksówki, okazało się, że jedna z nich zabrała go spod hotelu Kensington Hilton w Londynie. Spędził tam tylko jedną noc i spotkał się z kilkoma osobami, które według odzwieretnia wyglądały na Arabów. Próbowaliśmy namierzyć Harpunnika w Moskwie, ale nikt nie widział, by opuścił terminal. Sprawdziliśmy więc inne loty. Człowiek odpowiadający jego rysopisowi wylegitymował się rosyjskim paszportem na nazwisko Gardner i poleciał do Baku.

-

To jest łódź Harpunnika - powiedziała nagle zastępczyni ambasadora. -

Musi być.

Wszyscy spojrzeli na nią.

-

Słyszała pani o niej? - spytał Thomas.

-

Tak. Na studiach powiedziała Williamson. - Gardner to kapitan „Rachel” w Moby Dicku. Tak nazywał się jeden ze statków polujących na nie uchwytne białego wieloryba. Dodam tylko, że go nie złapał.

Thomas spojrział na Battata z żalem.

-

Harpunnik - powiedział. - Cholerny świat. Przecież to oczywiste. Sam się nam wystawił.

-

Spryciarz z niego, trzeba przyznać - zauważył Moore. - Gdybyście zro zumieli aluzję, pomyślelibyście, że to żart, i machnęlibyście na to ręką. Za to gdybyście uznali informację za wiarygodną, Harpunnik wiedziałby, gdzie będziecie go szukać. I czekałby tam na was.

-

Ale ta łódź była prawdziwa - powiedział Battat. - Widziałem nazwę...

-

Którą tam umieścili, by zwrócić twoją uwagę - powiedział Thomas. -

Cholera. Ale daliśmy się nabrać.

-

Co czyni drugą wersję wydarzeń bardziej prawdopodobną - powiedziała Williamson. - Jeśli Harpunnik był w Baku, musimy jak najszybciej do wiedzieć się dwóch rzeczy. Po pierwsze, czego

chciał, i po drugie, gdzie jest teraz. Zgadza się?

Thomas skinął głową. Moore wstał.

-

Założę się, że nie posługuje się już rosyjskim paszportem. Dostanę się do komputerów hotelowych i porównam nazwiska gości z rejestrem wyda nych paszportów. Może któregoś w nim nie będzie.

-

Jeśli ma tu współników, nie musi mieszkać w hotelu - zauważył Thomas.

-

Dam panu listę komórek zagranicznych organizacji, o których wiemy lub których istnienie podejrzewamy - powiedział Moore. - Może znajdzie cie któregoś z dawnych współpracowników Harpunnika.

Battat przytaknął.

-

Jeszcze jedno - powiedział Thomas. - Przed przyjazdem pana Battata praktycznie wyczerpaliśmy nasze moskiewskie źródła. Niewiele nam to dało, ale nie mieliśmy czasu. Co z innymi państwami regionu?

-

Nasza obecność w nich jest znikoma - przyznała zastępczyni ambasado ra. - Mamy za mało ludzi, by kultywować kontakty, a większość republik, w tym Azerbejdżan, nie dysponuje wystarczającymi środkami ze względu na problemy wewnętrzne. Wszyscy zajęci są szpiegowaniem siebie nawza jem, a szczególnie Czeczenii.

-

Czemu? - spytał Battat.

-

Bo choć powołano tam rząd koalicyjny, to istnieje on tylko na papierze, a w rzeczywistości Czeczenie kontrolują islamiści dążący do zdestabilizowania sytuacji w innych republikach, w tym w Rosji - powiedziała. - Mam nadzieję, że inicjatywa zgłoszona wczoraj przez prezydenta pomoże to zmienić.

-

Jaka inicjatywa? - spytał Battat.

-

Współpraca wywiadu z ONZ - wyjaśnił Moore. Ogłosił ją wczoraj w Waszyngtonie.

Battat przewrócił oczami.

-

Wiecie, jest ktoś, z kim można by się skonsultować - powiedział Thomas. - Parę lat temu słyszałem, że Centrum Szybkiego Reagowania współ

pracuje z rosyjską agencją z Sankt Petersburga.

-

Rosyjska grupa zarządzania kryzysowego - powiedział Moore. - Tak, też coś o niej słyszałem.

-

Zadzwoń do Waszyngtonu, niech skontaktują się z Centrum - powie dział Moore. - Może nadal współpracują z Rosjanami.

-

Przy okazji każ im pogadać z Bobem Herbertem - zasugerował Thomas.

- To szef ich komórki wywiadowczej, z tego, co słyszałem, naprawdę dobry.

Podobno ten ich nowy dyrektor, generał Rodgers, to niezła piła.

-

Już nie jest dyrektorem - wtrąciła zastępczyni ambasadora.

-

Kto go zastąpił? - spytał Thomas.

-

Paul Hood - odparła. - Dostaliśmy wiadomość dziś rano. Wycofał rezygnację.

Moore parsknął śmiechem.

-

Założę się, że nie będzie się pakował we współpracę z ONZ-etem.

-

Mimo wszystko - podjął Thomas - niech się skontaktują z Herbertem.

Harpunnik może próbować uciec na północ, do Skandynawii. A wtedy po moc Rosjan mogłaby się przydać.

Moore przytaknął. Wszyscy wstali, a Thomas podał rękę zastępczyni ambasadora.

-

Dziękuję za wszystko. Naprawdę mi przykro, że tak to wyszło.

-

Na razie nie stało się nic złego.

-

I dopilnujemy, żeby nic się nie stało - zapewnił Thomas.

-

Każę przygotować wam pokój - powiedziała Williamson. - Żadne luk susy, ale przynajmniej będziecie mieli gdzie spać.

-

Dzięki - odparł Thomas - ale dopóki nie znajdziemy Harpunnika, raczej mało będę spał.

-

Jak my wszyscy, panie Thomas. Proszę wybaczyć, ale ambasador Smali o dziesiątej wraca z Waszyngtonu. Będzie chciał jak najszybciej zapoznać się z sytuacją.

Thomas poszedł korytarzem do gabinetu Moore'a. Był wściekły, że zgubili Harpunnika. Drań pewnie teraz śmiał się z nich, że dali się nabrać na ten 48

numer z wielorybem. Ciekawe, czy mógł wiedzieć, że Battat przyjechał z Moskwy.

Może pozostawił go przy życiu właśnie po to, by skłócić ze sobą komórki CIA z Moskwy i Baku. A może chodziło o to, by ich zdeorientować, zmusić, by tracili czas na zastanawianie się, czemu go nie zabił.

Thomas potrząsnął głową. Myślisz o zbyt wielu rzeczach naraz, skarcił się.

Przestań. Musisz się skupić. Ale wiedział, że to nie będzie łatwe, bo Harpunnik lubił mieszać gierki z prawdą, by zmylić trop.

I dotąd świetnie mu to wychodziło.

ROZDZIAŁ 11

Waszyngton

Poniedziałek, 15.00

Zadzwonił telefon komórkowy. Rudowłosy mężczyzna wygonił ze swojego gabinetu dwóch młodych asystentów. Obrócił krzesło tak, by być plecami do drzwi. Wyrzał

przez okno, wyjął komórkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i odebrał po piątym dzwonku. Gdyby telefon zginął albo został skradziony i ktoś odebrałby wcześniej, jego rozmówca miał się rozłączyć.

-

Tak? - powiedział rudowłosy cicho.

-

Pierwszy etap zakończony. Wszystko idzie zgodnie z planem.

-

Dziękuję. - Rudowłosy rozłączył się. Wystukał numer.

-

Halo? - odezwał się chropawy głos po piątym sygnale.

-

Wszystko gra - rzucił rudowłosy.

-

To dobrze.

-

Benn się odezwał?

-

Jeszcze nie. Ale to już tylko kwestia czasu.

Rozłączyli się.

Rudowłosy mężczyzna schował telefon z powrotem do kieszeni. Ogarnął wzrokiem gabinet. Zdjęcia z prezydentem i głowami innych państw. Pochwały. Mała amerykańska flaga, którą dostał od matki. Nosił ją, złożoną, w tylnej kieszeni podczas służby w Wietnamie. Teraz, oprawiona w ramki, wisiała na ścianie, wciąż pomięta i brudna od potu i błota z pól bitwy.

Zawołał asystentów. Ta zwyczajna, rutynowa czynność podkreślała niezwykle złożoną naturę przedsięwzięcia jego i jego współpracowników. Zmienić polityczną i gospodarczą mapę świata to jedno. Ale zrobić to szybko, za jednym zamachem, to coś bez precedensu.

Trudne, ale jakże fascynujące zadanie. Gdyby operacja kiedykolwiek wyszła na światło dzienne, niektórzy uznaliby ją za godną potępienia. Z drugiej strony, to samo mówiono o rewolucji amerykańskiej i o wojnie domowej.

I o udziale Stanów Zjednoczonych w II wojnie światowej przed Pearl Harbor.

Rudowłosy mężczyzna miał tylko nadzieję, że jeśli ich działania zostaną ujawnione, ludzie zrozumieją, czemu były konieczne. Że świat diametralnie się zmienił. Że aby się rozwijać, czasem trzeba niszczyć. Czasem prawa, czasem ludzi. A czasem jedno i drugie.

ROZDZIAŁ 12

Camp Springs, Maryland

Poniedziałek, 15.14

Po powrocie z Białego Domu Paul Hood zadzwonił do senator Fox. Przyznała, że słowa prezydenta były dla niej kompletnym zaskoczeniem i zamierzała z nim porozmawiać. Hood poprosił, żeby wstrzymała się z tym do czasu, aż on sam zapozna się z sytuacją. Zgodziła się. Zadzwonił do Boba Herberta. Przekazał mu treść rozmowy z pierwszą damą i poprosił go, by sprawdził ten telefon z hotelu Hay-Adams i dowiedział się, czy ktoś jeszcze zauważył dziwne zachowanie prezydenta. Ponieważ Herbert utrzymywał kontakty z wieloma osobami - o nic nie prosił, pytał tylko, co u nich słychać, jak się ma rodzina i tak dalej - mógł

bez trudu wpleść ważne pytania w niezobowiązującą rozmowę tak, by nie wzbudzić podejrzeń.

A teraz siedzieli razem w gabinecie Hooda. Ale Herbert nie był już tym samym człowiekiem, co przed kilkoma godzinami.

-

Wszystko w porządku? - spytał Hood.

Herbert, zazwyczaj gadatliwy, nie odpowiedział od razu. Patrzył niewidzącym wzrokiem przed siebie. Był wyraźnie przygaszony.

-

Bob? - naciskał Hood.

-

Myśleli, że już go mają - powiedział Herbert.

-

O czym ty mówisz?

-

Znajomy z CIA przekazał mi wiadomości z ambasady w Moskwie -
powiedział Herbert.

-No i?

Herbert odetchnął głęboko.

-

Harpunnik był w Baku.

-

Jezu - powiedział Hood. - Po co?

-

Nie wiedzą. Zgubili go. Wysłali jednego człowieka na zwiad i... co za niespodzianka!... dostał po
łbie. Nie dziwię się, że chcieli działać dyskretnie, ale mając do czynienia z kimś takim jak
Harpunnik, trzeba mieć wsparcie.

-

Gdzie jest teraz? - spytał Hood. - Możemy cokolwiek zrobić?

-

Nie mają pojęcia. - Herbert powoli pokręcił głową i uniósł monitor komputera zamontowany w poręczy wózka. - Prawie dwadzieścia lat marzę o tym, by złapać drania za gardło, ścisnąć mocno i patrzeć mu w oczy, kiedy będzie zdychał. A jeśli nie będzie mi to dane, to chcę chociaż wiedzieć, że gnije w jakimś lochu, gdzie nigdy nie zobaczy słońca. Chyba nie proszę o zbyt wiele, co?

-

Biorąc pod uwagę, co zrobił, nie - powiedział Hood.

-

Niestety, Święty Mikołaj mnie nie słyszy - stwierdził Herbert z goryczą.

Przechylił monitor do siebie. - Ale dość już gadania o tym sukinsynu. Po rozmawiajmy o prezydencie. - Herbert poruszył się na siedzeniu. Jego oczy rzucały gniewne błyski, miał zaciśnięte zęby, sztywno poruszał palcami. -

Matt Stoll sprawdził billingi hotelu Hay-Adams.

Matt Stoll był specem od komputerów w Centrum.

-

Włamał się do bazy Bell Atlantic - powiedział Herbert. - Dzwoniono z hotelu, owszem, ale nie z któregoś z pokoi. Telefon wykonano z same go systemu.

-

To znaczy?

-

To znaczy, że ten, kto dzwonił, nie wynajął pokoju. Może chciał pozo stać niezauważony - wyjaśnił Herbert. - Dobrał się do kabelków gdzie indziej.

-

Jak to dobrał? - spytał Hood.

-

Wykorzystał modem, by przełączyć rozmowę z innej linii - powiedział

Herbert. - To się nazywa „kradzież impulsów”. Tę samą technikę stosuje się do generowania fałszywego sygnału w automatach telefonicznych, by zdobyć numery kart kredytowych i kont bankowych. Trzeba tylko uzyskać dostęp do kabli w dowolnym punkcie sieci. Ściągnęliśmy z Mattem plan hotelu. Najłatwiej dostać się do skrzynki w piwnicy, bo tamtędy biegną wszystkie kable. Ale jest tylko jedno wejście, a pomieszczenie obserwuje kamera, więc ryzyko byłoby za duże. Przepuszczamy, że ten, kto podcze pił się do tej linii, skorzystał z jednego z automatów pod barem Off the Record.

Hood dobrze znał ten bar. Telefony znajdowały się w budkach przy wyjściu na H Street. Nie zamontowano tam kamer. Można było wejść i wyjść niezauważonym.

-

Czyli z pomocą hakera Jack Fenwick mógł dzwonić do prezydenta, skąd chciał - powiedział Hood.

-

No właśnie - odparł Herbert. - Z tego, co wiemy, Fenwick w tej chwili jest w Nowym Jorku, gdzie ma się spotkać z ambasadorami przy ONZ. Zdo byłem numer jego komórki i próbowałem się do niego dodzwonić, ale za każdym razem włącza się poczta głosowa. Zostawiłem wiadomość, by do mnie zadzwonił w pilnej sprawie. Nagrałem mu się też na automatyczną 51

sekretarkę w domu i w biurze. Ale dotąd się nie odezwał. Ja i Mike rozmawialiśmy z innymi agencjami wywiadowczymi. Wszystkie były zaskoczone oświadczeniem prezydenta. Tylko jedna współpracuje z Organizacją Narodów Zjednoczonych.

-

Agencja Bezpieczeństwa Narodowego - powiedział Hood.

Herbert skinął głową.

-

Co znaczy, że pan Fenwick musiał wcisnąć prezydentowi niezły kit, by przekonać go, że poradzą sobie sami.

Herbert miał rację, choć w pewnym sensie Agencja Bezpieczeństwa Narodowego najlepiej nadawałaby się do współpracy z nowymi partnerami. Jej główne zadania związane są z kryptologią, a także zabezpieczaniem i przechwytywaniem komunikacji. W odróżnieniu od CIA i Departamentu Stanu, NSA nie wolno prowadzić działań w obcych krajach. Dlatego też zagraniczne rządy nie reagują na nią tak alergicznie. Gdyby Biały Dom szukał agencji mogącej współdziałać z ONZ, NSA

byłaby w sam raz. Zaskakujące jednak było to, że prezydent nie uprzedził o tym innych służb. A powinien powiadomić przynajmniej senator Fox. Komisja do spraw nadzoru nad tajnymi służbami musi aprobować wszelkie programy związane z kontrwywiadem, walką z terroryzmem, rozpowszechnianiem broni masowego rażenia czy narkotykami i tajne operacje prowadzone za granicą. Propozycja prezydenta bez wątpienia leżała w jej kompetencjach.

Ponieważ jednak NSA działa niezależnie, jest też najgorzej przygotowana do organizacji i nadzoru nad tak szeroko zakrojonym przedsięwzięciem, jakie zaproponował prezydent. Dlatego właśnie Hood nie uwierzył w inicjatywę Lawrence'a. I nadal nie do końca w nią wierzył.

-

Rozmawiałeś o tym z Donem Roednerem? - spytał Hood. Roedner był

zastępcą doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, podlegał bezpo średnio Fenwickowi.

-

Jest z Fenwickiem, nie mogłem go złapać - powiedział Herbert. - Roz mawiałem za to z jego zastępcą, Alem Gibbonsem. Dziwna sprawa, Gibbons mówi, że był na spotkaniu w NSA w niedzielę po południu i Fenwick wtedy ani słowem nie wspomniał o współpracy z wywiadami innych krajów.

-

A prezydent był przy tym?

Herbert zaprzeczył.

-

Ale kilka godzin później Fenwick przekazał mu wiadomość, że dogadał

się w tej sprawie z rządami kilku państw.

Herbert skinął głową.

Hood zamyślił się. Możliwe, że o inicjatywie ONZ wiedziało ograniczone grono osób, do którego Gibbons nie należał. A może to skutek rywalizacji między różnymi wydziałami NSA. Nie byłoby to nic nowego. Po przyjsciu do Centrum Hood przestudiował dwa raporty, z 1997 roku, które de facto

52

upoważniały Kongres do powołania Centrum. Raport 105-24 wydany przez senacką komisję do spraw wywiadu i raport 105-135 opublikowany przez komisję Izby Reprezentantów do spraw

nadzoru nad tajnymi służbami - razem tworzące kongresową komisję do spraw służb specjalnych - stwierdzały, że wszystkie agencje cierpią na przerost biurokracji, czego konsekwencją są „wewnętrzne spory, marnotrawstwo, niedoinformowanie personelu, a skutkiem tego brak rzeczowych, wyczerpujących analiz politycznych, gospodarczych i wojskowych”, jak to podsumowała senacka komisja. Mocne słowa. Kiedy uchwałą Kongresu powołano Centrum Szybkiego Reagowania, Hood dostał zadanie wyszukania najlepszych i najbystrzejszych ludzi, podczas gdy CIA i inne agencje miały robić porządki we własnych szeregach.

Obecna sytuacja była jednak niezwykła, nawet jak na standardy obowiązujące w służbach specjalnych, skoro wysocy rangą pracownicy NSA nie wiedzieli, co się dzieje.

-

To bez sensu - powiedział Herbert. - Centrum i CIA koordynują działania wywiadu z dwudziestoma siedmioma krajami. Z jedenastoma innymi współpracujemy nieoficjalnie, poprzez kontakty z członkami władz. Wywiad wojskowy pomaga siedmiu obcym państwom. Ktokolwiek namówił prezydenta na coś takiego, prowadzi jakąś grę.

-

Albo chce go ośmieszyć - podsunął Hood.

-

Jak to?

-

Przekonać go do jakiegoś planu, wmówić mu, że wszystko jest obgadane z innymi agencjami i rządami, i doprowadzić do jego publicznej kompromitacji.

-

Po co?

-

Nie wiem - odparł Hood.

Rzeczywiście nie wiedział, ale nasuwały mu się niepokojące przypuszczenia.

Centrum Operacyjne prowadziło kiedyś ćwiczenia o nazwie Alternatywna Rzeczywistość, których celem było wywołanie u Saddama Husajna tak daleko posuniętej paranoi, by zwrócił się przeciwko najbardziej zaufanym doradcom. A jeśli któryś z obcych rządów robi coś podobnego prezydentowi USA?

To dość naciągany pomysł, ale to samo można by powiedzieć o zabójstwie dysydenta dokonanym

przez KGB przy użyciu zatrutego parasola i próbach podrzucenia Fidelowi Castro przez CIA zatrutego cygara. A to wszystko zdarzyło się naprawdę.

I jeszcze jedna możliwość, której nie chciał brać pod uwagę: że nie stoi za tym obcy rząd, tylko rząd amerykański. Nie można tego wykluczyć.

A może znalazłoby się bardziej prozaiczne wyjaśnienie. Pierwsza dama mówiła, że jej mąż jest nieswój. Więc może tu tkwi problem? Lawrence spędził cztery trudne lata w Białym Domu, a potem przez osiem lat ciężko 53

walczył, by do niego wrócić. Teraz znów wszystko spoczywa na jego barkach. Żyje w ciągłym stresie.

Niejeden prezydent był bliski załamania: Woodrow Wilson, Franklin Roosevelt, Richard Nixon, Bill Clinton. Co się tyczy Nixona, najbliżsi doradcy sugerowali mu, by podał się do dymisji nie tylko dla dobra kraju, ale i dla ratowania własnego zdrowia psychicznego. Pracownicy i przyjaciele Clintona natomiast postanowili nie ściągać lekarzy i psychiatrów, mieli go tylko na oku i modlili się, by jakoś przetrwał proces o odsunięcie od władzy. Udało się.

Ale przynajmniej w dwóch przypadkach pozostawienie prezydenta na stanowisku nie skończyło się dobrze. Wilson dostał udaru, próbując nakłonić Kongres do wyrażenia zgody na przystąpienie USA do Ligi Narodów. A współpracownicy Roosevelta, na którego barkach spoczywało prowadzenie wojny i przygotowywanie planów organizacji powojennego ładu, pod koniec II wojny światowej bardzo obawiali się o jego zdrowie. Gdyby przekonali go, że musi trochę przystopować, może nie umarłby na wylew.

Każde z przypuszczeń mogło okazać się trafne, ale równie dobrze wszystkie mogły być chybione. Hood jednak zawsze uważał, że lepiej rozważyć wszystkie ewentualności, nawet te najmniej prawdopodobne, niż dać się zaskoczyć. Zwłaszcza że gdyby jego najgorsze podejrzenia się potwierdziły, konsekwencje mogłyby być katastrofalne. Będzie musiał działać ostrożnie. Gdyby zobaczył się z prezydentem, miałby okazję wyłożyć karty na stół, przyjrzeć mu się z bliska, sprawdzić, czy obawy Megan są uzasadnione. Najgorsze, co mogło go spotkać, to to, że prezydent zażąda jego rezygnacji. Na szczęście jeszcze nie zabrał z akt poprzedniej.

-

O czym myślisz? - spytał Herbert.

Hood sięgnął do telefonu.

-

Muszę spotkać się z prezydentem.

-

Słusznie - powiedział Herbert. - Trzeba od razu przejść do sedna. Też tak zawsze robię.

Zamiast przebijać się przez centralę, Hood wystukał numer łączący go bezpośrednio z sekretarką prezydenta, Jamie Leigh. Poprosił ją, by załatwiła mu kilkuminutowe spotkanie z prezydentem. Spytała, w jakiej sprawie; musiała to wpisać do terminarza, by prezydent wiedział, o co chodzi. Hood odparł, że ma parę pytań dotyczących roli Centrum Szybkiego Reagowania w programie współpracy wywiadowczej z ONZ.

Pani Leigh lubiła Hooda i poprosiła, żeby przyszedł o czwartej dziesiątej, będzie miał pięć minut na rozmowę z prezydentem.

Hood podziękował jej i spojrzał na Herberta.

-

Muszę lecieć - powiedział. - Mam spotkanie za czterdzieści minut.

-

Nie wyglądasz na zadowolonego - zauważył Herbert.

-

Bo nie jestem zadowolony - odparł Hood. - Mamy kogoś, kto mógłby sprawdzić, z kim Fenwick spotyka się w Nowym Jorku?

-

Mike skaptował kogoś z Departamentu Stanu, kiedy tam byliście - po wiedział Herbert.

-

Kogo?

-

Lisa Baroni. Była łącznikiem z rodzicami zakładników.

-

Nie znam. Jak Mike ją znalazł?

-

Jak każdy dobry szpieg - powiedział Herbert. - Kiedy trafia w nowe miejsce, szuka niezadowolonego pracownika i obiecuje mu jakieś korzyści w zamian za współpracę. Zobaczymy, czy można na tej Baroni polegać.

-

Dobrze więc. - Hood wstał. - Boże, czuję się jak przed pasterką.

-

To znaczy jak? Masz wyrzuty sumienia, że tak rzadko bywasz w kościele le?

-

Nie - odparł Hood. - Czuję, że dzieje się coś, co mnie przerasta. I boję się, że kiedy to zrozumiem, zesram się ze strachu.

-

A nie na tym polega religia? - spytał Herbert.

Hood zamyślił się. Wreszcie uśmiechnął się szeroko i ruszył do wyjścia.

-

Fakt - powiedział.

-

Powodzenia! - Herbert ruszył na wózku za nim.

ROZDZIAŁ 13

Gobustan, Azerbejdżan

Poniedziałek, 23.56

Gobustan to mała, zapadła wioska sześćdziesiąt kilometrów na południe Pod Baku.

Region ten został zasiedlony około 8000 roku p.n.e. i jest pełen jaskiń i strzelających w niebo skał. Ściany jaskiń pokrywają prehistoryczne rysunki, a także nieco świeższe formy artystycznego wyrazu - graffiti pozostawione przed dwoma tysiącami lat przez legionistów rzymskich.

Nisko na przedgórzu, poniżej jaskiń, stoi kilka pasterskich chat. Rozrzucone po setkach hektarów pastwisk wzniesione zostały na początku wieku i w większości wciąż są zamieszkałe, choć niekoniecznie przez pasterzy. Jedna z nich schowana jest za skałą, z której roztacza się widok na całą wieś. Dostać się tam można tylko zrytą koleinami drogą wytyczoną wśród wzgórz przez setki nóg i erozję.

W chacie tej, przy rozklekotanym drewnianym stole na środku małego pokoju siedziało pięciu mężczyzn. Szósty zajął krzesło pod oknem, z którego miał widok na drogę. Na kolanach trzymał uzi. Siódmy mężczyzna został

w Baku i obserwował szpital. Nie wiedzieli, kiedy pacjent zostanie przywieziony, ale Maurice Charles chciał, by jego człowiek był przygotowany.

Przez otwarte okno wpadał chłodny wiatr. Nie licząc pohukiwania sów i turkotu kamieni obruszanych przez lisy polujące na polne myszy, na zewnątrz panowała cisza - cisza, jaką Harpunnik rzadko mógł się cieszyć podczas swoich podróży po świecie.

Wszyscy oprócz Charlesa byli w samych szortach. Oglądali zdjęcia, które dostali przez łącze satelitarne, dzięki przenośnej antenie zamontowanej na dachu chaty, gdzie nic nie przesłaniało południowo-wschodniej części nieba i Horizonta T3.

Umieszczony trzydzieści pięć tysięcy siedemset trzydzieści sześć kilometrów nad punktem o współrzędnych $21^{\circ} 25'$ szerokości geograficznej północnej i $60^{\circ} 27'$

długości geograficznej wschodniej satelita był wykorzystywany przez amerykański wywiad do obserwacji Morza Kaspijskiego. Charles dostał od swojego amerykańskiego łącznika adres zastrzeżonej strony internetowej i kod dostępu i ściągnął z niej wykonane przez Horizonta zdjęcia z ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Używany przez nich dekodery, StellarPhoto Judge 7, także został dostarczony przez łącznika Charlesa za pośrednictwem jednej z ambasad. Było to małe urządzenie, wielkością i konfiguracją zbliżone do faksu. SPJ 7 drukował zdjęcia na grubym papierze sublimacyjnym, śliskim, oleistym arkuszu, którego nie dawało się przefaksować ani zeskanować. Adresat dostałby tylko rozmazaną plamę. Urządzenie powiększało obrazy z dokładnością do dziesięciu metrów. W połączeniu z działającą w podczerwieni soczewką satelity pozwoliło to Charlesowi odczytać numery na skrzydle samolotu.

Uśmiechnął się. Na zdjęciu był jego samolot. Czy raczej kupiony przez nich azerbejdżański samolot.

-

Jesteś pewien, że Amerykanie to znajdą? - spytał jeden z ludzi, niski, krępy, śniady mężczyzna o ogolonej głowie i ciemnych, głęboko osadzonych oczach. Z jego wykrzywionych ku dołowi ust zwisał skręt. Na lewym przedramieniu widniał tatuaż: rysunek zwiniętego węża.

-

Nasz przyjaciel tego dopilnuje - powiedział Charles.

Oni zresztą też. Właśnie w tym celu szykowali zamach na irańską platformę wiertniczą. Kiedy go przeprowadzą, amerykańskie Narodowe Biuro Zwiadowcze dokładnie obejrzy satelitarne zdjęcia pola naftowego Giunieszli. Eksperci sprawdzą, kto w ciągu poprzedzających atak kilku dni mógł odbyć rekonesans w pobliżu platformy. Znajdą zdjęcia samolotu Charlesa. A potem coś jeszcze.

Zaraz po zamachu wpadnie do morza rosyjski terrorysta, Siergiej Czerkasow. A właściwie jego

ciało. Czerkasowa schwytały wojska Azerbejdżanu w Górnym Karabachu, a ludzie Charlesa uwolnili go z więzienia i w tej chwili przetrzymywali na pokładzie „Rachel”. Tuż przed akcją Rosjanin zginie
56

od kuli z irańskiego karabinu gewehr 3. Takiej samej amunicji używają strażnicy platformy. Kiedy jego ciało zostanie odnalezione - dzięki informacjom przekazanym CIA - Amerykanie znajdą w jego kieszeni fotografie, te same, które Charles zrobił z pokładu samolotu. Na jednej z nich widać będzie kawałek skrzydła i numery widoczne także na zdjęciu satelitarnym. Na innym będą naniesione ołówkiem znaki wskazujące cel ataku.

Po odnalezieniu tych zdjęć i ciała terrorysty Stany Zjednoczone i reszta świata dojdą do wniosku zgodnego z oczekiwaniami Charlesa i jego mocodawców.

Mylnego.

Że Rosja i Azerbejdżan chcą odebrać Iranowi platformy wiertnicze w Giunieszli.

ROZDZIAŁ 14

Nowy Jork

Poniedziałek, 16.01

Departament Stanu ma dwa biura w pobliżu siedziby ONZ na nowojorskiej East Side: biuro misji zagranicznych oraz biuro bezpieczeństwa dyplomatycznego.

Czterdziestotrzyletnia mecenas Lisa Baroni była zastępcą dyrektora działu roszczeń dyplomatycznych w biurze do spraw kontaktów z dyplomatami. Oznaczało to, że ilekroć jakiś dyplomata miał kłopoty z amerykańskim wymiarem sprawiedliwości, Lisa wkraczała do akcji. Kłopoty mogły być różne: od rzekomo bezprawnego przeszukania bagażu dyplomaty na jednym z krajowych lotnisk czy potrącenie pieszego przez samochód dyplomaty, po niedawne opanowanie Rady Bezpieczeństwa przez terrorystów.

Przed dziesięcioma dniami Baroni miała pomagać dyplomatom, ale skończyło się na tym, że musiała pocieszać rodziców, których dzieci zostały zakładnikami terrorystów. Wtedy właśnie poznała generała Mike'a Rodgersa. Po akcji odbył z nią krótką rozmowę. Powiedział, że jest pod wrażeniem jej spokoju, komunikatywności i odpowiedzialności. Wyjaśnił, że jako nowy szef waszyngtońskiego Centrum Szybkiego Reagowania szuka dobrych fachowców. Zaprosił

ją na rozmowę kwalifikacyjną. Sprawiał wrażenie rzeczowego oficera, bardziej zainteresowanego jej talentem i kwalifikacjami niż urodą czy długością spódnicy.

To jej się spodobało. Podobnie jak perspektywa powrotu do Waszyngtonu. Baroni spędziła tam dzieciństwo, studiowała prawo międzynarodowe na Uniwersytecie Georgetown i wciąż mieszkali tam wszyscy jej krewni i znajomi. Po trzech latach spędzonych w Nowym Jorku nie mogła się doczekać powrotu do domu.

Ale kiedy generał Rodgers w końcu zadzwonił, nie powiedział jej tego, czego oczekiwała.

To było wczesnym popołudniem. Rodgers wyjaśnił, że jego przełożony, Paul Hood, wycofał rezygnację. On jednak wciąż szuka fachowców, w związku z czym ma dla niej pewną propozycję. Przejrzał jej akta w Departamencie Stanu i stwierdził, że byłaby dobrą kandydatką na stanowisko oficera politycznego, które pozostawało nieobsadzone od śmierci Marthy Mackall, zabitej w Hiszpanii. Obiecał Lisie, że ściągnie ją do Waszyngtonu na rozmowę kwalifikacyjną, jeśli ona pomoże mu rozwiązać pewien kłopot w Nowym Jorku.

Spytała, czy ta pomoc będzie zgodna z prawem. Rodgers zapewnił ją, że tak. Skoro tak, odparła, to chętnie pomoże. Tak właśnie zawierało się znajomości w Waszyngtonie. Pomoc wzajemna to podstawa.

Rodgers wyjaśnił, że potrzebny mu jest rozkład dnia szefa NSA, Jacka Fenwicka, który pojechał do Nowego Jorku na spotkania z delegatami ONZ. Dodał, że nie chodzi mu o harmonogram oficjalny. Chciał wiedzieć, gdzie Rodgers faktycznie był.

To powinno być stosunkowo łatwe. Fenwick miał w jej budynku gabinet, w którym urzędował podczas każdego pobytu w Nowym Jorku. Mieścił się on na szóstym piętrze, wraz z gabinetem sekretarza stanu. Jednak nowojorski zastępca Fenwicka powiedział, że jego szef tym razem się tam nie zjawi, wszystkie spotkania odbędzie w konsulatach.

Baroni sprawdziła więc listę rządowych numerów rejestracyjnych. Przechowywano ją na wypadek uprowadzenia któregoś z dyplomatów. Szef NSA zawsze jeździł po Nowym Jorku tym samym wozem. Baroni spisała jego numer rejestracyjny i poprosiła znajomego, detektywa Steve'a Mitchella z Midtown South, by spróbował go namierzyć. Potem zdobyła numer elektronicznej przepustki umieszczonej na przedniej szybie samochodu. Pozwalała ona na szybki wjazd do garaży ambasad i budynków rządowych, co dawało potencjalnym zamachowcom mniej czasu na zorganizowanie zasadzki.

Przepustka nie pojawiła się w żadnym z rządowych punktów kontrolnych, z których dane niezwłocznie przesyłano do akt Departamentu Stanu. To znaczyło, że Fenwick jest w którejś z ambasad. Przeszło sto z nich także przesyłało dane o gościach do Departamentu Stanu. Większość to przedstawicielstwa bliskich sojuszników Stanów Zjednoczonych, na przykład Wielkiej Brytanii, Japonii i Izraela. Fenwick nie odwiedził żadnego z nich. Baroni przesłała Rodgersowi zabezpieczonym e-mailem informację o tym, gdzie Fenwicka na pewno nie było.

Wreszcie kilka minut po czwartej zadzwonił detektyw Mitchell. Jeden z jego ludzi zauważył wóz szefa NSA ruszający spod budynku na 622 Third Ave-58

nue, tuż przy Czterdziestej Drugiej. Baroni sprawdziła adres w wykazie stałych misji

dyplomatycznych. Zdziwiła się, kiedy zobaczyła, kto tam urzęduje.

ROZDZIAŁ 15

Waszyngton

Poniedziałek, 16.03

Paul Hood przybył do Białego Domu o czwartej. Zanim ochrona skończyła go sprawdzać, przyszedł po niego stażysta, który miał go zaprowadzić do Gabinetu Owального. Hood widział po nim, że był tu co najmniej od kilku miesięcy. Jak większość doświadczonych stażystów, wymuskany młodzieniec emanował pewnością siebie. I trudno się dziwić: w końcu miał ledwo dwadzieścia parę lat, a już pracował w Białym Domu. Identyfikator na szyi był poważnym atutem w oczach kobiet zaczepianych w barze, rozgadanych sąsiadek w samolocie i braci i kuzynów na zjazdach rodzinnych. Chłopak codziennie stykał się z prezydentem, wiceprezydentem, członkami administracji i przywódcami Kongresu. Poznawał

mechanizmy władzy, wiedział, co naprawdę dzieje się na świecie, i stale był na oczach mediów, dla których miny i wypowiedzi nawet takich ludzi jak on mogły mieć historyczne znaczenie. Hood pamiętał, że czuł się podobnie, kiedy za młodu pracował zaledwie w biurze gubernatora Kalifornii. Aż trudno sobie wyobrazić, jak przeżywał to ten dzieciak, który znalazł się w samym centrum wielkiego świata.

Gabinet Owalny mieści się w południowo-wschodniej części Zachodniego Skrzydła.

Hood w milczeniu szedł za młodym stażystą, mijając pracowników, którzy nie sprawiali wrażenia zarozumiałych. Wyglądali raczej jak pasażerowie, którzy spóźnili się na samolot. Przeszedł obok biur doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego i wiceprezydenta, minął gabinet rzecznika prasowego. Obok sali posiedzeń skręcili na południe. Przez cały ten czas nie odzywali się do siebie.

Hood był ciekaw, czy stażysta milczy, bo jest dobrze wychowany, czy też po prostu nie chce mu się otwierać ust do kogoś tak niskiego rangą.

W gabinecie za salą posiedzeń urzędowała pani Leigh. Siedziała za biurkiem. Za nim znajdowały się jedyne drzwi prowadzące do Gabinetu Owального. Stażysta przeprosił i wyszedł. Hood i wysoka, siwowłosa sekretarka prezydenta uśmiechnęli się do siebie. Pani Leigh pochodziła z Teksasu i miała nerwy ze stali, zimną krew, cierpliwość i złośliwe poczucie humoru, cechy niezbędne u strażniczki najważniejszych wrót w kraju. Jej mężem był nieżyjący już senator Titus Leigh, legendarny hodowca bydła.

-

Prezydent spóźni się kilka minut - uprzedziła pani Leigh. - Ale nic to.

Przez ten czas może mi pan powiedzieć, co u pana słychać.

-

Jakoś sobie radzę - odparł Hood. - A pani?

-

Wszystko w porządku - powiedziała beznamiętnym tonem. - Mam siłę dziesięciu, bo serce moje jest czyste.

-

Skądś to znam. - Hood podszedł do jej biurka.

-

To z Tennysona - wyjaśniła. Jak się miewa pańska córka?

-

Też jest silna - powiedział Hood. - I może liczyć na pomoc wielu osób.

-

W to nie wątpię. - Pani Leigh wciąż się uśmiechała. - Proszę dać znać, gdybym mogła coś dla pana zrobić.

-

Oczywiście. - Hood spojrzał w jej szare oczy. - Właściwie to rzeczywiście może mi pani pomóc.

-Jak?

-

To pozostanie między nami?

-

Oczywiście - zapewniła.

-

Pani Leigh, czy pani zdaniem z prezydentem jest wszystko w porządku?

- spytał.

Jej uśmiech zgasł. Spuściła głowę.

-

To dlatego chce się pan z nim spotkać?

-Nie.

-

Czemu pan w ogóle o to pyta?

-

Bliscy martwią się o niego - wyjaśnił.

- I wysłali pana do jaskini lwa?

-

Nie, aż tak wyrachowani nie są - powiedział Hood i wtedy zadzwoniła jego komórka. Wyjął ją z kieszeni i odebrał. - Mówi Paul.

-

Cześć Paul, tu Mike.

-

Mike, co się dzieje? - Skoro Rodgers dzwoni do niego tu i teraz, musi chodzić o coś ważnego.

-

Przed trzema minutami obiekt opuścił misję irańską przy ONZ.

-

Nie wiesz, gdzie był przez resztę dnia?

-

Nie - powiedział Rodgers. Sprawdzamy to. Jak dotąd, jego samo chód nie pokazał się w żadnej z ambasad naszych najważniejszych sojuszników.

-

Dzięki. Daj znać, gdybyś czegoś się dowiedział. - Hood rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

Dziwne. Prezydent zgłasza inicjatywę adresowaną do ONZ, a jednym z pierwszych przedstawicieli odwiedzonych przez doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego jest misja irańska. To bez sensu. Iran wspiera terroryzm.

Drzwi Gabinetu Ovalnego otworzyły się.

-

Pani Leigh, mogłaby pani coś dla mnie zrobić? - poprosił znowu Hood.

-

Oczywiście.

-

Może pani zdobyć harmonogram wizyty Jacka Fenwicka w Nowym Jorku?

-

Fenwicka? Po co?

-

To między innymi z jego powodu zadałem pani tamto pytanie - odparł

Hood.

Pani Leigh spojrzała na niego.

-

Dobrze. Przynieść to panu, kiedy będzie pan u prezydenta?

- Jak najszybciej - powiedział Hood. - A kiedy zdobędzie pani numer akt, proszę sprawdzić, co jeszcze w nich jest. Nie chodzi mi o konkretne dokumenty, tylko o daty ich złożenia.

-

Dobrze - powiedziała. - Aha, a co do pańskiego pytania... Tak, zauważyłam, że prezydent się zmienił.

Uśmiechnął się do niej.

-

Dzięki. Gdyby były jakieś kłopoty, postaramy się szybko i dyskretnie im zaradzić, jakiegokolwiek jest ich źródło.

Skinęła głową i usiadła do komputera. Z Gabinetu Ovalnego wyszedł wiceprezydent, Charles Cotten, wysoki, tęgim mężczyzna o szczupłej twarzy i rzadziejących siwych włosach. Przywitał Hooda uśmiechem i ciepłym uściskiem dłoni, ale nie zamienił z nim ani słowa. Pani Leigh wcisnęła guzik interkomu. Odebrał prezydent.

Powiedziała, że przyszedł Paul Hood. Prezydent poprosił, by go wpuściła. Hood okrążył biurko i wszedł do Gabinetu Owalnego.

ROZDZIAŁ 16

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 0.07

David Battat leżał na łyce i wpatrywał się w ciemny sufit zawilgoconej komórki. Pat Thomas spał po drugiej stronie, oddychał cicho, równo. Za to Battat nie mógł zasnąć.

Wciąż bolała go szyja i był na siebie zły, że dał się zaskoczyć, ale nie dlatego nie mógł zmrużyć oka. Wieczorem przejrzał informacje CIA o Harpunniku. I od tej pory o niczym innym nie mógł myśleć. Wszystkie znaki na niebie i ziemi - i wiarygodny świadek - wskazywały, że „Rachel” czekała właśnie na Harpunnika. A skoro tak, skoro zrobił sobie przystanek w Baku, to pozostawało jedno pytanie, wciąż niedające Battatowi spokoju: „Dlaczego żyję?”

Po co terrorysta-psyhopata, w dodatku znany ze stosowania taktyki spalonej ziemi, miałby zostawić wroga przy życiu? Dla zmyłki? Po to, by 61

pomyśleli, że to nie on go napadł? Taka była pierwsza myśl Battata. Ale może chodzi o coś innego. Leżał więc i myślał.

Przychodziło mu do głowy tylko jedno wyjaśnienie: że miał dostarczyć przełożonym nieprawdziwe informacje. Tyle że żadnych informacji nie zdobył, poza tą jedną, i tak już dobrze znaną: że „Rachel” była tam, gdzie być miała. Ale nie wiadomo, kto wszedł na pokład i dokąd popłynęła, więc i ta wiadomość na nic się nie przyda.

Ubranie Battata zostało skrupulatnie przeszukane. Ponieważ nie znaleziono w nim elektronicznego nadajnika ani radioaktywnego wskaźnika, zostało spalone. Gdyby coś takiego wpadło w ich ręce, mogliby to wykorzystać do dezinformowania nieprzyjaciela lub sprowadzenia go na fałszywy trop. Moore przeczesał włosy Battata, zajrzał mu pod paznokcie, do ust i w inne miejsca, szukając mikronadajnika, który mogli to zostawić terroryści. Nic nie znalazł.

Nic a nic, pomyślał. I to go dręczyło. Bo Harpunnik na pewno nie odwalił

fuszerki. Pozwolił mu żyć, bo miał w tym jakiś cel.

Battat zamknął oczy i przewrócił się na bok. Niczego nie wymyśli, kiedy jest taki zmęczony. Musi się przespać. Zmusił się, by pomyśleć o czymś przyjemnym: na przykład o tym, co zrobi Harpunnikowi, kiedy go znajdzie.

Od razu się odprężył. Zaczęło mu się robić ciepło. To pewnie przez słabą wentylację i wzburzenie wywołane wszystkim, co tego dnia przeszedł.

Po kilku minutach już spał.

Po kilku następnych zaczął się pocić.

A kilka minut później ocknął się, z trudem łapiąc dech.

ROZDZIAŁ 17

Waszyngton

Poniedziałek, 16.13

Kiedy Hood wszedł, prezydent właśnie coś notował. Poprosił gościa, by usiadł; sam musiał jeszcze zapisać sobie parę rzeczy. Hood cicho zamknął drzwi za sobą i podszedł do brązowego skórzanego fotela przed biurkiem. Wyłączył komórkę i usiadł.

Prezydent miał na sobie czarny garnitur z krawatem w srebrne i czarne prążki. Za jego plecami jaskrawe żółte światło odbijało się od kuloodpornych szyb, zza których wyłaniał się bujny, pełen życia Ogród Różany. Wszystko zdawało się w jak najlepszym porządku. Hood aż zaczął się zastanawiać, czy aby nie przesadza z podejrzeniami.

Ale trwało to tylko chwilę. To dzięki instynktowi zaszedł tak wysoko; nie miał powodu, by teraz weń zwątpić. Poza tym bitwy nie toczą się w namiocie dowódcy.

Prezydent odłożył długopis i spojrział na niego. Twarz miał ściągniętą i bladą, ale oczy nie straciły swojego blasku.

-

Słucham, Paul - powiedział.

Hoodowi zrobiło się gorąco. Czeką go trudna rozmowa. Nawet jeśli ma rację, niełatwo mu będzie przekonać prezydenta, że podwładni mogą knuć coś za jego plecami. W gruncie rzeczy sam niewiele wiedział i w głębi duszy żałował, że przed przyjściem tutaj nie spotkał się z pierwszą damą. Lepiej byłoby, gdyby to ona porozmawiała z mężem w cztery oczy. Jeśli jednak potwierdzą się informacje zdobyte przez Herberta, raczej nie starczy na to czasu. Jak na ironię, Hood nie mógł mieszać do tego Megan Lawrence. Nie chciał, by prezydent wiedział, że żona mówi o nim za jego plecami.

Wychylił się do przodu.

-

Panie prezydencie, mam pewne obawy w kwestii współpracy wywiadu z Organizacją Narodów Zjednoczonych.

-

Zajął się tym Jack Fenwick - powiedział prezydent. - Po powrocie z Nowego Jorku zreferuje sytuację.

-

Czy to NSA poprowadzi ten projekt?

-

Tak - potwierdził prezydent. - Jack będzie mi bezpośrednio podlegał.

Paul, mam nadzieję, że nie przyszedłeś tu z powodu jakiegoś chorego sporu kompetencyjnego między Centrum a NSA...

-

Nie, panie prezydencie - zapewnił Hood.

Zabrzączał interkom. Prezydent odebrał. To była pani Leigh. Powiedziała, że ma coś dla Paula Hooda. Prezydent zmarszczył brwi i poprosił, by to przyniosła.

Spojrzał na Hooda.

-

Paul, co jest grane?

-

Miejmy nadzieję, że nic - odparł Hood.

Weszła pani Leigh i wręczyła Hoodowi kartkę.

-

To wszystko? - spytał.

Skinęła głową.

-

A co z aktami?

-

Puste - odparła.

Hood podziękował jej i wyszła.

-

Jakie akta są puste? - Prezydent nie krył irytacji. - Paul, co jest grane, do cholery?

-

Zaraz wszystko wyjaśnię, panie prezydencie. - Hood spojrzał na kartkę.

- Dziś między jedenastą a szesnastą Jack Fenwick miał spotkanie z wysłanikami irańskiego rządu w siedzibie ich stałej misji w Nowym Jorku.

-

To niemożliwe.

-

Panie prezydencie, pani Leigh dostała to z biura NSA. - Hood podał

prezydentowi kartkę. - Na górze jest ich numer referencyjny. Nasi informatorzy potwierdzają, że Fenwick po południu był w misji irańskiej.

Prezydent długo milczał, wpatrzony w tekst. Wreszcie powoli pokręcił głową.

-

Fenwick miał spotkać się z Syryjczykami, Wietnamczykami i przedstawić wicelami jeszcze kilku krajów. Tak mówił wczoraj wieczorem. Przecież nie zamierzamy podpisywać umowy o współpracy z wywiadem irańskim.

-

Wiem - powiedział Hood. - Ale Fenwick tam był. A to jest jedyny dokument w aktach. Z punktu widzenia NSA inicjatywa w sprawie ONZ nie istnieje.

-

To jakieś brednie - mruknął prezydent lekceważącym tonem. - Kolejne brednie. - Wcisnął guzik interkomu. - Pani Leigh, proszę mnie połączyć z Jackiem Fenwickiem...

-

Panie prezydencie - przerwał mu Hood - uważam, że nie powinien pan rozmawiać z nikim.

-

Słucham?

-

Przynajmniej na razie - uściślił Hood.

-

Chwileczkę, pani Leigh - powiedział prezydent. - Paul, z tego, co mi wiłeś, wynika, że mój doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego coś majstruje na boku. A teraz nie chcesz, żebym to sprawdził?

-

Wcześniej musimy porozmawiać.

-

O czym?

-

Nie sądzę, by cała ta sprawa była wynikiem zwykłego nieporozumienia

- powiedział Hood.

-

Ja też nie - odparł prezydent. - Kiedy rozmawiałem z Jackiem, wydawało mi się, że wszystko jest jasne. Dlatego muszę się z nim skontaktować.

-

A jeśli chodzi o coś poważnego?

-O co?

-

Na przykład o samowolnie podjętą operację?

-

Zwariowałeś - powiedział prezydent w oszołomieniu. - Chryste, Paul, większość tych ludzi znam od piętnastu, dwudziestu lat. To moi przyjaciele!

Hood zrozumiał.

-

Et tu, Brute? - to były pierwsze słowa, jakie przyszły mu do głowy.

Prezydent spojrzał na niego.

-

Paul, o czym ty mówisz?

-

Juliusz Cezar zginął w senacie z rąk zwolenników republiki. Głównym organizatorem zamachu był jego najbliższy przyjaciel.

Prezydent spojrzał na niego. Po chwili powiedział pani Leigh, by nie łączyła go z Fenwickiem. Powoli pokręcił głową.

-

Słucham - powiedział w końcu. - Ale lepiej, żebyś miał dobre argumenty.

Hood był tego świadom. Nie wiedział tylko, od czego zacząć. Czy wszystkiemu winien był spisek, czy choroba psychiczna prezydenta? A może jedno i drugie?

Postanowił zacząć od początku.

-
Panie prezydencie, po co Fenwick dzwonił do pana wczoraj wieczorem?

-

spytał.

-

Spotkał się z ambasadorami w hotelu Hay-Adams - wyjaśnił prezydent.

-

Rządy kilku państw wyraziły zdecydowany sprzeciw wobec mojej inicjatywy. Miał dać znać, kiedy osiągnie porozumienie.

-

Panie prezydencie, jesteśmy przekonani, że Jacka Fenwicka wczoraj wieczorem nie było w hotelu Hay-Adams. Telefon do pana prawdopodobnie został przekierowany z innego miejsca.

-

To znaczy skąd?

-

Nie wiem - przyznał Hood. - Może z Nowego Jorku. Czy Fenwick zajmował się kontaktami z komisją do spraw służb specjalnych?

-

Nie - odparł prezydent. - Za uzyskanie jej aprobaty dla mojego planu odpowiadali Don Roedner, zastępca Fenwicka, i w moim imieniu Rudy, to znaczy Gable.

Hood słabo ich znał. Nawet nie wiedział, że Gable ma przydomek.

-

Panie prezydencie - ciągnął Hood - senator Fox dowiedziała się o istnieniu inicjatywy pana Fenwicka dopiero wczoraj wieczorem, kiedy podziękował jej pan za wygospodarowanie na nią środków.

Prezydent Lawrence zamarł, ale tylko na chwilę. Jego twarz powoli się zmieniła.

Przez ułamek sekundy wyglądał jak starzec i zagubione dziecko jednocześnie.

Odchylił się na oparcie.

-

Gable nie zrobiłby czegoś takiego za moimi plecami - powiedział sła bym głosem. - Na pewno. A nawet gdyby, wyczytałbym to z jego twarzy.

-

Kiedy widział go pan ostatni raz? - spytał Hood.

Prezydent zastanowił się.

-

W piątek, na posiedzeniu gabinetu.

-

Było dużo ludzi, dużo spraw do załatwienia - przekonywał Hood. -

Mógł pan tego nie zauważyć. A może wykiwała go NSA.

-

W to też nie wierzę - powiedział prezydent.

-

Rozumiem. Cóż, jeśli Fenwick i Gable są czysti, przychodzi mi do gło wy tylko jedno wyjaśnienie.

-

To znaczy?

Hood musiał ostrożnie dobierać słowa. Tym razem nie snuł rozważań o prezydenckim personelu, tylko o samym prezydencie.

-

Może to się w ogóle nie zdarzyło - podsunął w końcu. - Inicjatywa na rzecz ONZ, spotkania z przedstawicielami zagranicznych rządów... nic.

-

A ja wszystko sobie uroiłem - powiedział prezydent.

Hood milczał.

-

Wierzysz w to? - spytał prezydent.

-

Nie - odparł Hood zgodnie z prawdą. W końcu prezydent nie mógł uroić sobie przekierowanego telefonu z Hay-Adamsa. - Ale będę z panem szczerzy 65

-

ciągnął. - Ostatnio wydaje się pan spięty, powściągliwy, rozkojarzony. Nie jest pan sobą.

Prezydent odetchnął głęboko. Zaczął coś mówić i urwał w pół słowa.

-

No dobrze, Paul. Zamieniam się w słuch. Co zrobimy?

-

Przede wszystkim musimy przyjąć, że sprawa jest poważna - zaczął Hood.

-

Ja będę kontynuował śledztwo. Sprawdzimy irański wątek. Spróbujemy się dowiedzieć, co ostatnio robił Fenwick, z kim rozmawiał.

-

W porządku - zgodził się Lawrence. - Fenwick wraca wieczorem. Nie powiem nic ani jemu, ani Rudemu, dopóki się do mnie nie odezwiesz. Daj znać, jak tylko będziesz coś wiedział.

-

Dobrze, panie prezydencie.

-

Wyjaśnisz wszystko senator Fox?

Hood przytaknął i wstał. Prezydent też podniósł się zza biurka. Wydawał się silniejszy, bardziej opanowany. Ale Hood nie mógł zapomnieć słów Megan.

-

Panie prezydencie? Mam jeszcze jedno pytanie.

Lawrence spojrział na Hooda przenikliwym wzrokiem i skinął głową.

-

Mówił pan przed kilkoma minutami, że to „kolejne brednie” - powie dział Hood. - Co pan miał na myśli?

Prezydent dalej wpatrywał się w niego.

-

Pozwól, że zanim odpowiem, też cię o coś spytam.

-

Słucham.

-

Naprawdę nie wiesz? - zdziwił się prezydent.

Hood nie miał pojęcia, o co może chodzić.

-

Przyszedłeś do mnie tylko z powodu tego, co stało się wczoraj? - upewnił się prezydent.

Hood zmieszał się. Prezydent wiedział, że pierwsza dama jest jego dobrą znajomą.

Nie mógł powiedzieć mu wprost, że żona się o niego martwi. Ale nie chciał też być kolejnym kłamcą w jego otoczeniu.

-

Nie - odparł szczerze. - Nie tylko.

Prezydent uśmiechnął się słabo.

-

To wystarczy, Paul. Nie będę cię ciągnął za język.

-

Dziękuję, panie prezydencie.

-

Ale coś ci powiem o tych bredniach - powiedział. - To nie jest jedyne nieporozumienie w ostatnich tygodniach. Strasznie to denerwujące. - Wy ciągnął rękę nad biurkiem. - Dziękuję za wizytę, Paul. I za motywację.

Hood uśmiechnął się i ucisnął dłoń prezydenta. Odwrócił się i wyszedł.

Pod drzwiami czekała grupa podekscytowanych skautów z fotografem. Sądząc po szarfach, którymi byli przewiązani, musieli być zwycięzcami jakiegoś konkursu.

Hood mrugnął do nich, ciesząc się widokiem ich rozanielonych, niewinnych twarzy.

Przechodząc obok biurka pani Leigh, podzięko-

wał jej. Kiedy zerknęła na niego z niepokojem, gestem dał jej znać, że zadzwoni.

Powiedziała bezgłośnie „dziękuję” i wpuściła skautów do Gabinetu Owalnego.

Hood szybkim krokiem poszedł do samochodu. Zapalił silnik, wyjął komórkę, sprawdził pocztę głosową. Była tylko jedna wiadomość, od Boba Herberta. Ruszając w stronę Piętnastej ulicy, oddzwonił do niego.

-

Bob, tu Paul. Co się dzieje?

-

Dużo - powiedział Herbert. - Po pierwsze, Mart namierzył telefon z Hay-Adamsa.

-No i?

-

Dzwoniono z komórki Fenwicka.

-

Wiedziałem! - wykrzyknął Hood.

-

Zaraz, to nie wszystko.

-Mów jaśniej.

-

Kilka minut temu dzwoniła do mnie ostatnia osoba, której bym się spo dziewał - powiedział Herbert.

-Kto?

-

Fenwick. Był bardzo rozmowny i zaskoczony tym, co mu powiedziałem.

Twierdził, że wczoraj wieczorem nie dzwonił do prezydenta. Wyjaśnił, że ukradziono mu teczkę i dlatego nie mógł odebrać moich wiadomości. Dostał

tylko tę, którą zostawiłem w jego biurze.

-

Nie wierzę - odparł Hood. - Przecież nie zmyśliłem sobie ani tego telefonu, ani tego, że został przekierowany przez Hay-Adamsa.

-

Zgadza się - przytaknął Herbert. - Ale pamiętasz Martę Streeb?

-

Tę, która miała romans z senatorem Lancasterem?

-Tak.

-

A co ona ma do tego?

-

Telefony od niej były przekierowywane przez automaty na stacji Union, by nie dało się ich namierzyć - przypomniał Herbert.

-

Pamiętam. Ale prezydent nie ma romansu.

-

Jesteś pewien? Jego żona mówiła, że zachowuje się dziwnie. Może to przejaw wyrzutów sumienia...

-

Może, ale najpierw ustalmy, czy bezpieczeństwo narodowe nie jest zagrożone - warknął Hood.

-

Oczywiście - odparł Herbert.

Hood odczekał chwilę, by ochłonąć. Był zaskoczony swoim wybuchem. Sam nigdy nie miał romansu, ale z jakiegoś powodu uwaga Herberta obudziła w nim poczucie winy wobec Sharon.

-

Co jeszcze Fenwick miał do powiedzenia? - spytał.

-

Że ni cholery nie wie o żadnej inicjatywie ONZ - powiedział Herbert. -

Nikt do niego w tej sprawie nie dzwonił, on sam nie czytał nic w gazetach.

Powiedział, że został wysłany do Nowego Jorku, by pomóc Irańczykom, którzy boją się, że Harpunnik i azerscy terroryści coś szykują w rejonie Morza Kaspijskiego. Coś może być na rzeczy - zauważył. - Gdyby CIA miała tam kłopoty, Irańczycy musieliby zwrócić się o pomoc do kogoś innego. Kogoś, kto mógłby jak najszybciej zapewnić im środki do prowadzenia elektronicznego nasłuchu.

-

Współpracowali z CIA?

-

Sprawdzam to - powiedział Herbert. - Wiesz, jakie są chłopaki z Agencji. Niechętnie dzielą się informacjami. Ale sam pomyśl. Centrum współpracowało z różnymi rządami, w tym wrogo do nas nastawionymi. Poszlibyśmy do łóżka i z Teheranem, gdyby było wiadomo, że skończy się na delikatnych pieściznach.

Hood musiał przyznać, że to prawda.

-

A Fenwick był w ich przedstawicielstwie - ciągnął Herbert. - Przynajmniej to jest pewne.

- I nic poza tym - odparł Hood. - Bob, mówiłeś, że Fenwick został wysłany do Nowego Jorku. Powiedział ci, przez kogo?

-

Tak. I nie będziesz zadowolony. Fenwick mówił, że wysłał go tam prezydent.

-

Ustnie? - domyślił się Hood. Ustne polecenia wydawano tylko w sytuacji, kiedy nie chciano, by pozostał po nich jakikolwiek ślad w dokumentach.

-Tak.

-

Jezu! Słuchaj... przecież ktoś jeszcze musiał wiedzieć o tej sprawie z Iranem.

-

Jasne - przytaknął Herbert. - Na przykład wiceprezydent. Szef persone lu...

-

Zadzwoń do Cottena - polecił Hood. - Zobaczymy, co powie. Przyjadę, jak tylko będę mógł.

-

Czekam - odparł Herbert.

Hood rozłączył się. Musiał skupić się na prowadzeniu samochodu, bo ruch był coraz większy, jak to w godzinach szczytu. I dobrze. Przynajmniej mógł czymś zająć myśli.

ROZDZIAŁ 18

Gobustan, Azerbejdżan

Wtorek, 1.22

Wszyscy spali na wytartych pledach kupionych na bazarze w Baku. Jeden Charles wciąż siedział przy drewnianym stole w pasterskiej chacie. Choć przed żadną z akcji nie miał kłopotów ze snem, irytowało go cze-68

kanie, aż inni zrobią, co do nich należy. Zwłaszcza wtedy, kiedy od tego zależało powodzenie całej misji. Na razie więc nie zamierzał - nie mógł -

odpocząć.

Kiedy wreszcie zapikał telefon, Charles poderwał się jak rażony prądem.

Nareszcie. Ostatnia niezłałatwiona sprawa przed wybiciem godziny zero.

Podszedł do stołu. Obok StellarPhoto Judge 7 leżał aparat Zet-4, wyprodukowany przez KGB w 1992 roku. Bezpieczny telefon wielkością i kształtem przypominał

zwykłą książkę w twardej oprawie. Mała, płaska słuchawka idealnie mieściła się w bocznej ścianie. To duży postęp w porównaniu z dwukierunkowymi radiostacjami, których Charles używał w początkach swojej działalności. Miały zasięg czterech kilometrów. Zet-4 wykorzystywał łącza satelitarne do odbierania sygnałów komórkowych z całego świata. Zamontowane w nim wzmacniacze praktycznie eliminowały zakłócenia.

Do kodowania większości rozmów przez zabezpieczone telefony, w tym amerykańskie aparaty Tac-

Sat, wykorzystywano stu pięćdziesięciopięciocyfrową liczbę. Żeby złamać kod, trzeba ją było rozłożyć na czynniki pierwsze. Nawet za pomocą potężnych komputerów, jak Cray 916, trwało to całymi tygodniami. CIA udało się skrócić ten czas dzięki podkradaniu pamięci z komputerów osobistych. W 1997 roku Agencja zaczęła wykorzystywać w tym celu serwery Internetu. Ilość podkradanej pamięci była tak znikoma, że użytkownicy nawet nie zauważali jej braku. I tak, dzięki milionom komputerów osobistych, CIA uzyskała dodatkowe gigabajty pamięci.

Przy okazji sprawiła kłopot swoim przeciwnikom, jako że utworzonego przez nią systemu, zwanego Stealth Field System, nie dało się wyłączyć. W Zet-4 natomiast zastosowano kod złożony z trzystu dziewięciu cyfr. Nawet SFS nie miał dość mocy, by go w miarę szybko złamać.

Charles odebrał po trzecim dzwonku.

-

Bis. - Taki był jego kryptonim.

-

Ces - powiedział rozmówca.

-

Mów - rzucił Charles.

-

Widzę obiekt - informował rozmówca. - Właśnie wynoszą go bocznymi drzwiami.

-

Nie ma karetki?

-Nie.

-

Kto jest z nim? - spytał Charles.

-

Dwaj mężczyźni - odparł rozmówca. - Bez mundurów.

Charles uśmiechnął się. Amerykanie byli tacy przewidywalni. Jeśli tylko nie musieli działać w pojedynkę, niezawodnie trzymali się podręcznikowych zasad.

Reguła pięćdziesiąta trzecia: Człowiek jest ważniejszy od zadania. Takie myślenie sięgało co

ścigała co bardziej agresywne plemiona, na przykład Apaczów, ci atakowali osadników. Gwałcili jedną z kobiet i zostawiali ją w dobrze widocznym miejscu, by znaleźli ją żołnierze. A ci pod eskortą odsyłali ją do najbliższego fortu. To nie tylko opóźniało pościg, ale i przerzedzało ich szyki.

-

Macie wsparcie?

-

Tak jest.

-

No to zdejmijcie ich - powiedział Charles.

-

Już się robi - powiedział rozmówca hardym tonem. - Bez odbioru.

Połączenie zostało przerwane. Charles odłożył słuchawkę.

Nareszcie. Ostatni element układanki. Zarazki wywołujące zapalenie płuc zrobiły swoje. Charles pozwolił agentowi przeżyć, by wyciągnąć pozostałych z ukrycia. Jeden zastrzyk w szyję i cała miejscowa załoga z głowy. Teraz już nikt nie skojarzy faktów, nie przeszkodzi mu w wykonaniu zadania.

Przed snem musiał wykonać jeszcze jeden telefon. Zadzwonił na bezpieczną linię w Waszyngtonie, do jednej z niewielu osób, które wiedziały o jego udziale w tej operacji.

Do człowieka, który nie postępował według reguł.

Do autora jednego z najbardziej śmiałych planów w ostatnich czasach.

ROZDZIAŁ 19

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 1.35

Dojazd do szpitala dla VIP-ów zajął niecałe dziesięć minut. Był to jedyny szpital, który amerykańska ambasada uznała za spełniający zachodnie standardy.

Mieli układ z doktorem Kanibowem, jednym z nielicznych w mieście lekarzy znających angielski. Płacili mu po cichu za to, by był do dyspozycji przez całą dobę i w razie potrzeby kierował chorych do właściwych specjalistów.

Tom Moore nie wiedział, czy specjalista będzie potrzebny. Wiedział tylko, że Pat Thomas obudził go przed dwudziestoma minutami, kiedy usłyszał jęki Davida Battata. Gdy Moore poszedł sprawdzić, co się z nim dzieje, zobaczył, że Battat jest mokry od potu i drży. Pielęgniarka z ambasady obejrzała go i zmierzyła mu temperaturę. Miał ponad czterdzieści stopni gorączki. Powiedziała, że podczas ataku mógł uderzyć się w głowę albo doznać uszkodzenia naczyń włosowatych.

Zamiast czekać na karetkę, Thomas i Moore wpakowali Battata do jednego z wozów ambasady i sami zawieźli go do szpitala. Pielęgniarka zadzwoniła do doktora Kanibowa i dała mu znać, że to prawdopodobnie wstrząs neurogeny.

Jednego człowieka mniej. Tylko tego nam jeszcze brakowało, myślał Thomas, jadąc ciemnymi, opustoszałymi ulicami dzielnicy ambasad i sklepów. Nawet rutynowe zadania sprawiały kłopoty, gdy miało się za mało ludzi. A co dopiero polowanie na Harpunnika, jednego z najbardziej nieuchwytnych terrorystów świata. Oby tylko Waszyngton załatwił im wsparcie Rosjan.

Doktor Kanibow, wysoki, starszy mężczyzna z siwą bródką, mieszkał w pobliżu szpitala i kiedy przyjechali, już na nich czekał. Battat szczykał zębami i kasłał. Kiedy sanitariusze przenieśli go na wózek, jego wargi i paznokcie były już sine.

-

Kłopoty z krążeniem. Tlen - rzucił Kanibow do jednego z sanitariuszy.

Zajrzał Battatowi do ust. - Ślady śluzu. Usuńcie to, potem zmierzcie temperaturę w ustach.

-

Jak pan sądzi, co mu jest? - spytał Thomas.

-

Na razie nie wiem - powiedział Kanibow.

-

Pielęgniarka mówiła, że to może być wstrząs neurogeny.

-

Gdyby tak było, byłby blady, a nie czerwony - zirytował się lekarz. Spoj rzał na Thomasa i Moore'a.
- Mogą panowie tu poczekać albo wrócić do ambasady i...

-

Zaczekamy tutaj - zdecydował Thomas. - Przynajmniej dopóki nie po stawi pan diagnozy.

-

Jak chcecie - powiedział lekarz, a sanitariusze wwieźli Battata na od dział.

Dziwnie tu cicho, pomyślał Thomas. Sale przyjęć szpitali w Waszyngtonie i Moskwie, które odwiedzał, ile razy jego trzej synowie coś sobie zrobili, przypominały Zachodnie Skrzydło Białego Domu: niby panował tam hałas i zamieszanie, ale tak naprawdę nic nie działo się przypadkowo. Tak samo pewnie było w klinikach uboższych dzielnic Baku. Mimo to panująca tu cisza wydała mu się

niepokojąca, złowieszcza.

Spojrzał na Moore'a.

-

Nie ma sensu, żebyśmy obaj tu siedzieli - powiedział. - Choć jeden z nas powinien się przespać.

-

I tak nie spałem - odparł Moore. - Dzwoniłem po różnych ludziach i przeglądałem akta.

-

I znalazł pan coś?

-Nic.

-

Tym bardziej powinien pan wrócić do ambasady - stwierdził Thomas. -

Ja odpowiadam za Davida. Zaczekam tu.

Moore zastanowił się.

-

Dobrze - powiedział. - Zadzwoń pan, jak tylko czegoś się dowie?

-

Oczywiście.

Moore poklepał go po ramieniu, by dodać mu otuchy, po czym ruszył do wyjścia.

Pchnął drzwi i obszedł samochód od przodu, kierując się ku fotelowi kierowcy.

Nagle głowa odskoczyła mu w bok i runął na asfalt.

ROZDZIAŁ 20

Waszyngton

Poniedziałek, 18.46

Paul Hood przyjechał do Centrum Szybkiego Reagowania, gdzie umówił się z Bobem Herbertem i Mikiem Rodgersem. Zadzwoił też do Liz Gordon. Poprosił, by nie szła jeszcze do domu, bo chciał z nią później porozmawiać. Był ciekaw, co, jako specjalistka, sądziła o możliwych przyczynach dziwnego zachowania prezydenta.

W drodze do gabinetu spotkał Ann Farris. Poszła z nim przez ciasny, kręty labirynt boksów do pomieszczeń kierownictwa, o których Herbert mawiał, że to też boksy, tylko z sufitami.

-

Dzieje się coś ciekawego? - spytała Ann.

-

Chaos, jak zawsze - powiedział Hood. - Tyle że tym razem dla odmiany w Waszyngtonie, nie za granicą.

-

Coś groźnego?

-

Jeszcze nie wiem. Zdaje się, że ktoś z NSA coś chachmęci. - Hood nie chciał mówić o swoich podejrzeniach co do stanu zdrowia prezydenta. Nie to, żeby nie ufał Ann, ale Megan Lawrence prosiła go o dyskrecję. Na razie chciał więc ograniczyć liczbę wtajemniczonych do minimum. - A co tam u was?

-

Jak zawsze praca wre. - Uśmiechnęła się rozbrajająco.

-

Czyli nic się nie dzieje.

-

No właśnie. - Ann odczekała chwilę, po czym dodała: - Długo tu bę dziesz?

-

Parę godzin - powiedział. - Nie mam po co wracać do hotelu. Siedział
bym tylko i oglądał jakiś kiepski sitcom.

-

To może dasz się zaprosić na kolację? - spytała.

-

Zanosi się na ciężką noc - mruknął.

-

Ja też nie mam żadnych planów. Mój syn wyjechał do ojca. W domu czeka na mnie tylko
rozpieszczony kot i sitcomy, o których mówiłeś.

Serce Hooda zabiło nieco szybciej. Bardzo chciał powiedzieć „tak”. Ale wciąż jeszcze był żonaty, a
spotkanie z rozwiedzioną współpracowniczką mogłoby mu przysporzyć kłopotów, zarówno z
prawnego, jak i z etycznego punktu widzenia.

Pracownicy Centrum muszą skupić się na swoich zada-72

niach, nie na plotkowaniu. A byli dobrzy w zbieraniu informacji, już jutro wiedzieliby, że szef był na
kolacji u Ann Farris. Zresztą, on sam też musiał się skoncentrować na kryzysie w Białym Domu.

-

Ann, bardzo chciałbym - wyznał szczerze - ale nie wiem, kiedy skończę pracę. Może kiedy indziej?

-

No jasne. - Uśmiechnęła się smutno. Dotknęła jego dłoni. - Miłego spotkania.

-

Dzięki.

Poszli każde w swoją stronę.

Czuł się okropnie. Postąpił wbrew swojej woli. I zranił uczucia Ann.

Zatrzymał się. Chciał pobiec za nią i powiedzieć, że przyjmuje zaproszenie.

Jeśli jednak zrobi ten krok, nie będzie miał odwrotu. Ruszył dalej.

Wezwał przez interkom Rodgersa i Herberta. Rodgers zapewnił, że zaraz będzie.

Herbert akurat robił coś przy komputerze i powiedział, że przyjdzie za pięć minut.

Rodgers był skupiony i rzeczowy, jak zwykle. Zawsze chciał być szefem Centrum.

Jeśli dotknęło go, że stracił to stanowisko, ledwie zdążył je objąć, nie dawał

tego po sobie poznać. Nade wszystko był przyzwoitym człowiekiem i przedkładał

dobro grupy nad własne.

Przez większą część dnia nadzorował prace Centrum pod nieobecność Hooda. Kiedy Hood relacjonował mu rozmowę Herberta z Fenwickiem, do pokoju wjechał Herbert we własnej osobie, zaczerwieniony i lekko spocony. Wyraźnie mu się spieszyło.

-

Jakie masz układy z Siergiejem Orłowem z rosyjskiego Centrum Opera cyjnego? - wydyszał.

Pytanie to zaskoczyło Hooda.

-

Nie rozmawiałem z nim jakieś pół roku. A co?

-

Właśnie dostałem wiadomość z Ambasady Amerykańskiej w Baku - po wiedział Herbert. - Jeden z działających tam agentów CIA, Tom Moore, jest przekonany, że Harpunnik był w Baku. Nie ma pojęcia, czego tam szukał...

-

To może mieć związek z tym, o czym przed chwilą mówiłeś - powie dział Rodgers do Hooda. - Ta rozmowa Boba z Fenwickiem...

-

O obawach Iranu dotyczących ataków terrorystycznych ze strony Azer bejdżanu - powiedział Hood.

Rodgers skinął głową.

-

Tak, to możliwe - przyznał Herbert. - Jeśli to rzeczywiście Harpunnik, to Moore chce go złapać, kiedy będzie próbował dostać się na teren byłego ZSRR, a jeśli to się nie uda, po prostu go stamtąd nie wypuścić. Liczy na pomoc rosyjskiego Centrum.

-

Niby jak? - spytał Hood. - Kilka lat temu wymieniliśmy się z Orłowem aktami. Nie było tam nic o Harpunniku.

-
Wtedy jego agencja dopiero zaczynała działalność - powiedział Herbert. - On albo jego ludzie mogli od tego czasu znaleźć coś w starych aktach KGB. Coś, o czym być może nam nie powiedzieli.

-
Możliwe - przytaknął Hood. Nawet amerykańskie Centrum cierpiało na niedobór personelu, a sytuacja w rosyjskim Centrum musiała być jeszcze gorsza. Trudno w takich warunkach utrzymać ciągły przepływ informacji.

-
Informacje o Harpunniku to nie wszystko - ciągnął Herbert. - Moore liczy na to, że ludzie Orłowa podejmą się obserwacji północnej i północno-zachodniej części Rosji. Myśli, że Harpunnik może próbować ucieczki przez Skandynawię.

Hood spojrział na zegarek.

-
U nich jest trzecia w nocy - powiedział.

-
Mógłbyś zadzwonić do niego do domu? - spytał Herbert. - To ważne.

Zresztą sam wiesz.

Miał rację. Choć osobiście wolał, by Harpunnik został schwytany żywcem i postawiony przed sądem, to wyeliminowanie go też było nie najgorszym rozwiązaniem.

-
Dobrze, zadzwonię.

-
A co z prezydentem? - spytał Rodgers. - Jak poszło spotkanie?

-
Zaraz, najpierw zadzwonię do Orłowa. - Hood otworzył listę telefonów w komputerze. Znalazł

właściwy numer. - Ale wygląda na to, że tak czy tak mamy przechłapanie. Albo prezydent jest wyczerpany psychicznie, albo grupa pa wysokich rangą urzędników prowadzi jakąś brudną operację...

-

Albo jedno i drugie - Herbert wpadł mu w słowo.

-

Albo jedno i drugie - przytaknął Hood. - Umówiłem się z Liz Gordon na rozmowę o możliwych przyczynach stanu prezydenta.

Przed wykręceniem domowego numeru Orłowa Hood zadzwonił do wydziału lingwistycznego. Odebrała Orły Tumer. Orły była jedną z czwórki tłumaczy zatrudnionych w Centrum. Jej specjalnością była Europa Wschodnia i Rosja. Hood przełączył ją na tryb telekonferencji, by mogła uczestniczyć w rozmowie. Choć Orłow dobrze mówił po angielsku, Hood chciał dopilnować, by nie było żadnych nieporozumień ani opóźnień, gdyby trzeba było objaśniać terminy techniczne czy akronimy.

-

Chcesz wiedzieć, co mi podpowiada instynkt? - spytał Herbert.

-

Co? - Hood wystukał numer Orłowa.

-

Że wszystko to się wiąże ze sobą- powiedział Herbert. - Fakt, że prezydent nic nie wie, Fenwick potajemnie rozmawia z Iranem, a Harpunnik zjawia się w Baku. To wszystko tworzy jedną całość, której na razie nie może my ogarnąć.

Herbert opuścił gabinet. Hood nie mógł się z nim nie zgodzić. Co więcej, jego instynkt podpowiadał mu coś jeszcze gorszego.

Że „całość”, o której mówił Herbert, przekracza ich najśmielsze wyobrażenia.

ROZDZIAŁ 21

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 3.58

Kiedy Tom Moore upadł, Pat Thomas rzucił się do drzwi szpitala. Otworzywszy je, zobaczył krew tryskającą ze skroni Moore'a. Zatrzymał się i wskoczył z powrotem do środka. W tej samej chwili kula wybiła szybę w drzwiach i trafiła go w lewe udo. Upadł, a drugi pocisk roztrzaskał zieloną płytkę przy jego nodze.

Pośpiesznie zaczął się wycofywać, podpierając się rękami. Rana potwornie go piekła, każdy ruch sprawiał ból. Długa smuga krwi ciągnęła się za nim po podłodze.

Dopiero po dłuższej chwili personel szpitala zauważył, co się stało. Młoda pielęgniarka podbiegła do Thomasa i pociągnęła go w tył. Kilku sanitariuszy zawlokło go za stanowisko dyżurnej. Inna pielęgniarka dzwoniła na policję.

Ukląkł przy nim łysy lekarz w białych rękawiczkach chirurgicznych. Zaczął

wydawać po azersku polecenia innym pracownikom szpitala, zgromadzonym wokół

stanowiska dyżurnej. Jednocześnie wyjął z kieszeni kitla scyzoryk i ostrożnie rozciął ubranie Thomasa wokół rany.

Thomas skrzywił się, kiedy lekarz oderwał kawałek materiału w kolorze khaki i odsłonił ranę.

- Będę żył? - spytał.

Lekarz nie odpowiedział. Nagle zaczął się podnosić, ale zamiast wstać, usiadł mu okrakiem na nogach, dokładnie na wysokości rannego uda. Thomas poczuł

przeszywający ból. Chciał krzyknąć, ale nie mógł. Lekarz podtrzymał mu głowę i wbił nóż w gardło. Ostrze przebiło skórę tuż pod brodą, po czym szło dalej w górę, aż Thomas poczuł je pod językiem.

Zachłysnął się własną krwią, wypełniającą mu usta. Podniósł ręce i spróbował

odepchnąć łysego mężczyznę. Był jednak za słaby. Mężczyzna spokojnie przechylił

nóż do tyłu, po czym pociągnął go w dół, aż do krtani. Szybkim ruchem ręki rozplątał gardło wzdłuż szczęki aż po uszy. Wyjął ostrze z rany, wstał i puścił

Thomasa. Schował nóż do kieszeni i odszedł, nie oglądając się za siebie.

Amerikanin nie miał siły ruszyć ręką, jego palce drgały bezradnie. Czuł, jak ciepła krew leje mu się z gardła, a skóra wokół niej staje się zimna. Próbował

krzyknąć, ale z jego ust dobył się tylko cichy bulgot. Zauważył, że pierś mu faluje, ale powietrze nie wpływało do płuc. Krew wypełniała mu gardło.

Miał mętlik w głowie. Robiło mu się ciemno przed oczami. Myślał o locie do Baku, o spotkaniu z Moore'em. Był ciekaw, co z nim. Potem pomyślał o swoich dzieciach.

Przez chwilę znów grał z nimi w piłkę na trawniku przed domem.

I nagle zniknęły.

ROZDZIAŁ 22

Sankt Petersburg, Rosja

Wtorek, 4.01

Generał Siergiej Orłow stał w śniegu w małej miejscinie Narjan Mar położonej nad Oceanem Arktycznym, gdy nagle nad uchem zaświergotał mu ptak. Obejrzał się i zobaczył budzik. Leżał w łóżku, w swoim mieszkaniu w Sankt Petersburgu.

-

A niech cię szlag - warknął Orłow, kiedy telefon znów zadzwonił. Były kosmonauta rzadko śnił o rodzinnym mieście. Tęsknił za nim i za kochającymi go rodzicami.

-

Siergiej? - odezwała się Masza zaspanym głosem.

-

Już odbieram. - Orłow podniósł słuchawkę telefonu bezprzewodowego.

Przycisnął ją do piersi, by stłumić brzęczenie. - Śpij.

-

Dobrze - wymamrotała.

Z zazdrością słuchał szelestu pościeli, gdy jego żona przewracała się na drugi bok. Wstał, ściągnął szlafrok z krawędzi drzwi i włożył go, wchodząc do salonu.

Nawet jeśli to tylko pomyłka, nieprędko uda mu się znów zasnąć.

-

Halo - powiedział z nutą irytacji.

-

Generał Orłow? - spytał męski głos w słuchawce.

-

Tak. - Orłow energicznie przecierał oczy wolną dłonią. - Kto mówi?

-

Generale, tu Paul Hood.

Oprzytomniał natychmiast.

-

Paul! - niemal krzyknął. - Paul Hood, przyjacielu, co u ciebie? Podobno złożyłeś dymisję. Słyszałem o tym, co się stało w Nowym Jorku. Wszystko w porządku?

Orłow podszedł do fotela, podczas gdy tłumaczka tłumaczyła jego słowa. Generał

nauczył się przyzwoicie mówić po angielsku, kiedy po odejściu z lotnictwa przez kilka lat pełnił funkcję ambasadora dobrej woli rosyjskiego programu kosmicznego. Ale nie miał nic przeciwko udziałowi tłumaczki w rozmowie, bo nie chciał, by cokolwiek mu umknęło.

Usiadł. Niewielkiego wzrostu, wąski w ramionach i dobrze zbudowany idealnie nadawał się na kosmonautę. Robił niezwykle wrażenie. Jego niesamowite brązowe oczy, wysokie kości policzkowe i ciemna cera były, podob-76

nie jak niespokojny duch, częścią jego mandżurskiej spuścizny. Mocno utykał.

Pamiętka po jego, jak się okazało, ostatnim locie kosmicznym; przy lądowaniu nie otworzył się spadochron i Orłow doznał skomplikowanego złamania lewej nogi i biodra.

-

Tak, u mnie wszystko gra - odparł Hood. - Wycofałem rezygnację.

Podczas kiedy Turner tłumaczyła jego słowa, Orłow włączył lampkę przy fotelu i usiadł. Wziął długopis i notes z małego stolika.

-

Świetnie, świetnie! - powiedział.

-

Generale, przepraszam, że wyrywam z łóżka o tak wczesnej porze -
ciągnął Hood.

-

Nie ma sprawy, Paul. Co mogę dla ciebie zrobić?

-

Chodzi o terrorystę nazywanego Harpunnikiem. Kiedyś o nim rozma wialiśmy.

-

Pamiętam - odparł Orłów. - Szukaliśmy go kilka lat temu w związku z zamachami bombowymi w Moskwie.

-

Generale, sądzimy, że Harpunnik jest w Azerbejdżanie.

Orłów zacisnął usta.

-

Nie zdziwiłbym się - mruknął. - Przedwczoraj myśleliśmy, że wreszcie wpadł w nasze ręce. Strażnik z Mauzoleum Lenina był przekonany, że go widział. Wezwał policję, ale zanim przyjechali, podejrzany zniknął.

-

To znaczy zgubiła go policja czy on zgubił policję? - spytał Hood.

-

Policja na ogół dobrze sobie radzi z obserwacją - odparł Orłów. - Podej rzany wszedł za róg i zniknął. Może się przebrał, nie wiem. Ostatnio widzia no go w pobliżu stacji metra Kijowskaja. Możliwe, że tam poszedł.

-

Więcej niż możliwe - powiedział Hood. - Tam właśnie widział go jeden z pracowników naszej ambasady.

-

Proszę jaśniej.

-

Słyszeliśmy, że był w Moskwie. Pracownik ambasady wsiadł za czło wiekiem, którego wziął za Harpunnika, do metra. Pojechali na stację prze siadkową i Harpunnik wysiadł. Wsiadł do innego pociągu, wysiadł na stacji Paweleckaja i dosłownie zniknął.

Orłów był coraz bardziej zaintrygowany.

-

Jesteś pewien, że to była stacja Paweleckaja? - spytał.

-

Tak. Czy to ważne?

-

Być może.

-

Generale Orłów, jeśli Harpunnik wydostał się z Moskwy, możliwe że zamierza tam wrócić lub pojechać do Sankt Petersburga. Może pan pomóc nam go znaleźć?

-

Z chęcią schwytam tego potwora - zapewnił Orłów. - Pogadam z Mo skwą, zobaczę, co mają. Tymczasem proszę przesłać wszelkie informacje do mojego biura. Będę tam za godzinę.

-
Dziękuję, generale - powiedział Hood. - I jeszcze raz przepraszam, że obudziłem. Nie chciałem stracić ani chwili.

-
Dobrze zrobiłeś. Miło było z tobą porozmawiać. To do usłyszenia później.

Orłow wstał i wrócił do sypialni. Odłożył słuchawkę, pocałował swoją ukochaną Maszę w czoło i po cichu wyjął z szafy mundur. Zaniósł go do salonu i wrócił po resztę ubrania. Ubrał się szybko i bezszelestnie i napisał kartkę do żony. Po trzydziestu prawie latach małżeństwa Masza przywykła do jego nagłych zniknięć. Kiedy był pilotem myśliwca, często wzywano go na lotnisko o najdziwniejszych porach. Gdy miał lecieć w kosmos, kombinezon wkładał w nocy.

Przed pierwszym lotem zostawił żonie list o treści: Najdroższa - opuszczam Ziemię na kilka dni. Mogłabyś w niedzielę rano przyjść po mnie na kosmodrom?

Twój kochający mąż, Siergiej. PS Spróbuję przywieźć Ci gwiazdkę z nieba.

Masza, oczywiście, przyszła.

Zszedł schodami na podziemny parking. Wreszcie, po trzech latach, rząd dał mu samochód, bo na komunikacji miejskiej nie można było polegać. A przy wszystkim, co działo się w Rosji i wokół niej, od wrzenia w republikach po gangsterskie porachunki w wielkich miastach, Orłow musiał być w stanie jak najszybciej dostać się do kwatery głównej Centrum Operacyjnego.

Zwłaszcza w takich sytuacjach jak ta. Harpunnik wrócił.

ROZDZIAŁ 23

Waszyngton

Poniedziałek, 19.51

Liz Gordon weszła do gabinetu Hooda, kiedy skończył rozmawiać z Orłowem.

Masywnie zbudowana, miała błyszczące oczy i kręcone brązowe włosy. Żuła gumę nikotynową, w

ręku trzymała nieodłączny kubek kawy. Mike Rodgers został z nimi.

Hood opisał zachowanie prezydenta. Pokrótkie opowiedział jej też o domniemanych tajnych działaniach, które mogłyby wyjaśnić rzekome urojenia prezydenta.

Kiedy skończył mówić, Gordon dołała sobie kawy z dzbanka stojącego w kącie gabinetu. Choć przychodząc do Centrum Hood był nieufny wobec psychologii, sporządzane przez Liz portrety psychologiczne zrobiły na nim wrażenie.

Przekonała go też do siebie swoją starannością. Pracowała jak matematyk, pilnowała, by wszystkie fakty logicznie się ze sobą wiązały. To, w połączeniu z jej dobrym sercem, czyniło ją cennym i szanowanym członkiem zespołu. Hood bez wahania powierzył jej swoją córkę.

-

Zachowanie prezydenta nie wydaje się niezwykle - powiedziała - co pozwala nam wykluczyć poważną demencję, powodującą zupełną lub prawie zupełną utratę władz umysłowych. Pozostają więc urojenia. Można je podzielić na sześć kategorii. Po pierwsze: urojenia organiczne, związane z chorobą, na przykład padaczką czy zmianami w mózgu. Po drugie: wywołane chemicznie, to znaczy przez leki. Trzecie to urojenia somatyczne, które powodują coś w rodzaju nadwrażliwości - jak anoreksja czy hipochondria.

Sądząc z twojej relacji, nie mamy do czynienia z żadną z tych przypadłości.

Poza tym na pewno wykryłby je lekarz prezydenta w czasie regularnych badań. Możemy też wykluczyć manię wielkości, czyli megalomanię, bo jej objawy byłyby widoczne.

Zostają dwie możliwości: urojenia odniesienia i urojenia prześladowcze -

ciągnęła. - Urojenia odniesienia to w gruncie rzeczy łagodna postać urojeń prześladowczych powodująca, że chory przywiązuje wielką wagę do nawet najbardziej błahych uwag. Tu chyba nie mamy z tym do czynienia. Ale urojeń prześladowczych wykluczyć nie mogę.

-

Dlaczego? - spytał Hood.

-

Bo chorzy usilnie starają się maskować - wyjaśniła. - Wierzą, że inni próbują im w czymś przeszkodzić lub w jakiś sposób ich skrzywdzić. Często wyobrażają sobie, że zawiązał się przeciwko nim jakiś spisek. Jeśli prezydent boi się, że ktoś chce mu się dobrać do skóry, nikomu tego nie zdradzi.

-

Ale od czasu do czasu mogą mu puścić nerwy - zauważył Rodgers.

-

Otóż to. Typowe objawy to płacz, zamykanie się w sobie, rozkojarzenie, wybuchy gniewu, wszystko to, co opisywał Paul.

-

Prezydent sprawiał wrażenie, jakby chciał mi zaufać - powiedział Hood.

-

To też typowe - stwierdziła Gordon. - Urojenia prześladowcze są rodza jem paranoi. Ale jak ktoś mądry kiedyś powiedział: „Czasem nawet parano-icy mają wrogów”.

-

Czy powinniśmy coś zrobić? - spytał Hood. - Pomijając uczucia pierw szej damy, musimy jakoś zareagować, jeśli prezydent nie jest w stanie nor malnie funkcjonować.

-

Cokolwiek się z nim dzieje, wydaje się, że to wczesne stadium choroby

- powiedziała Gordon. - Skutki raczej nie będą trwałe.

Zadzwonił telefon Hooda.

-

Jeśli jest jakiś spisek i możecie go szybko ujawnić - ciągnęła Gordon -

prezydent będzie mógł dalej pełnić urząd po krótkim odpoczynku. Cokol wiek się stało, prawdopodobnie nie będzie miało żadnych następstw ani dłu go-, ani krótkofalowych.

Hood skinął głową i odebrał telefon.

-

Tak?

-

Paul, tu Bob Herbert.

-

Co się stało?

-

Poważna sprawa. Właśnie dzwonił człowiek z CIA, ten sam, który prze kazał mi prośbę Toma Moore'a z Baku. Ktoś załatwił Moore'a i agenta CIA z Moskwy, Pata Thomasa. Zdarzyło się to, kiedy zawieźli do szpitala Davida Battata, tego gościa, na którego napadł Harpunnik. Moore'a zastrzelił snaj per przed budynkiem, a Thomasowi ktoś poderżnął gardło w holu szpitala.

-

Kto? - spytał Hood.

-

Nie wiemy.

-

Nikt nie widział mordercy?

-

Nie - odparł Herbert. - A jeśli nawet, to tylko przez chwilę.

-

Gdzie Battat?

-

Nadal leży w szpitalu. Dlatego właśnie ten agent do mnie dzwonił -

powiedział Herbert. - Ambasada poprosiła o policyjną ochronę, ale nie wie my, czy można ufać policji. CIA brakuje ludzi, a boją się, że Battat będzie następnym, i to już wkrótce. Nie mamy w Baku nikogo, ale pomyślałem...

-

Orłow - rzucił Hood bez namysłu. - Już do niego dzwonię.

ROZDZIAŁ 24

Chaczmas, Azerbejdżan

Wtorek, 4.44

Maurice Charles nie lubił się powtarzać.

Jeśli przyjeżdżał gdzieś samochodem, to wracał autobusem lub koleją. Jeśli na zachód leciał samolotem, to na wschód podróżował samochodem lub autobusem. Jeśli rano nosił kapelusz, to po południu go zdejmował. Albo zakładał inny czy farbował włosy. Jeśli wysadził samochód przy użyciu bomby, to na następną akcję zabierał C-4. Po obserwacji wybrzeża wycofywał się na jakiś czas w głąb lądu.

Powtarzalność jest zgubna w każdej branży. Schematy pozwalają nawet mniej rozgarniętym osobom przewidzieć twój następny ruch. Jedynym wyjątkiem były duże miasta. Jeśli w którymś znajdował stosunkowo dobrze ukrytą trasę, to przez jakiś czas z niej korzystał. Bezpieczniej było przemykać się nieużywanymi drogami lub tunelami, niż narażać się na to, że ktoś go wypatrzy w tłumie.

Charles obserwował platformę wiertniczą z powietrza, dlatego postanowił do niej wrócić łodzią. Amerykańskie satelity - i rosyjskie pewnie też -w tej chwili wypatrywały już podejrzanego samolotu. Popłynię ze swoimi ludźmi jachtem, na którego burcie widnieć będzie inna nazwa niż wczoraj. Jeden z członków jego grupy wszystko załatwił w Baku. Jacht będzie czekał w Chaczmasie, nadmorskim mieście położonym jakieś siedemdziesiąt kilometrów na północ od Baku. Załoga została wynajęta w Baku i przyплы-80

nęła z jednym z irańskich marynarzy Charlesa. W Chaczmasie będą bliżej celu, a poza tym mało prawdopodobne, by ktokolwiek mógł tam rozpoznać ich albo ich łódź.

Po krótkim śnie, który jednak w zupełności mu wystarczył, Charles wsiadł z towarzyszami do furgonetki stojącej za chatą. Sprzęt załadowali już wcześniej.

Pojechali z Gobustanu w stronę Baku drogami, które o tej porze były całkowicie opustoszałe. Choć Charles nie prowadził, przez całą drogę nie zmrużył oka.

Siedział z tyłu z czterdziestkąpiątką na kolanach. Chciał być gotowy na wypadek, gdyby ktoś próbował ich zatrzymać.

Furgonetka przyjechała do uspiętego Chaczmasu tuż przed wpół do piątej. Jechali sto kilometrów non stop. Nikt im nie przeszkodził.

„Rachel” - teraz zwana „Święty Elmo” - czekała na pochylni w zaniedbanej przystani, blisko brzegu. Wynajęta załoga została zwolniona. Odpłynęła własną łodzią, kutrem rybackim, który towarzyszył jachtowi w rej się na północ.

Charles stał na straży, obserwując okolicę przez noktowizor, gdy jego ludzie przenosili sprzęt na „Świętego Elma”. Potem jeden z nich odjechał furgonetką.

Miała zostać przemalowana i przewieziona do innego miasta. Wreszcie jacht odbił od brzegu.

Rejs potrwa pięćdziesiąt minut. O wschodzie słońca dotrą na miejsce. To ważne.

Charles nie lubił pracować na morzu w świetle reflektorów. Za łatwo je było wypatrzeć w ciemnościach, to po pierwsze, a po drugie, odbijały się w lustrze wody. Z kolei za dnia mokre kombinezony błyszczały w świetle słońca. Akcję najlepiej przeprowadzić o świcie. Będzie dość czasu, by zrobić, co trzeba, i niepostrzeżenie odpłynąć.

A potem wyjedzie z Azerbejdżanu i przez miesiąc, dwa będzie cieszył się życiem.

Delektował się konsekwencjami swojego czynu. I jak zawsze rozkoszował się faktem, że żaden przywódca, żadna armia, żadna firma nie miała na sytuację międzynarodową większego wpływu niż on.

ROZDZIAŁ 25

Sankt Petersburg, Rosja

Wtorek, 4.47

Po upadku Związku Radzieckiego wielu członków nowych władz bało się Ministerstwa Biezopasnosti Rassiji, czyli MBR, Ministerstwa Bezpieczeństwa Rosji, jeszcze bardziej niż w czasach, kiedy agencja wywiadowcza znana była jako KGB i rutynowo podsłuchiwała ich telefony i otwierała listy. Obawiali się, że szefowie byłego sowieckiego wywiadu poprą komunistów w dążeniu do odzyskania władzy lub sami po nią sięgną. Z tego powodu

nowi panowie na Kremlu stworzyli autonomiczną agencję wywiadowczą, niezależną od MBR. Jej siedzibę ustanowili w Sankt Petersburgu. A zgodnie z zasadą, że najciemniej jest pod latarnią, Centrum Operacyjne umieścili w jednym z najczęściej odwiedzanych miejsc w Rosji: Ermitażu.

Ermitaż, zbudowany przez Katarzynę Wielką, miał jej służyć jako miejsce odpoczynku. Wielki, biały, neoklasycystyczny gmach oficjalnie nosił miano Pałacu Zimowego. Tam Katarzyna mogła podziwiać zgromadzone przez siebie skarby, obrazy, szkice i rzeźby starych mistrzów. W latach 1762-1772 dosłownie co drugi dzień kupowała nowe dzieło. Kiedy otworzyła podwoje swojego pałacu szlachetnie urodzonym gościom, stwierdziła tylko, że mają go zwiedzać w radosnym nastroju.

Zastrzegła jednak, że nie wolno im niczego „uszkodzić, zniszczyć ani obgryźć”.

Ermitaż pozostawał magazynem carskiej kolekcji aż do 1917 roku. Po rewolucji październikowej udostępniono go szerokiemu ogółowi. Obecnie zawiera przeszło osiem tysięcy obrazów, czterdzieści tysięcy sztychów i pół miliona rycin. Tylko Luwr może poszczycić się większą kolekcją sztuki.

Rosyjskie Centrum Operacyjne zbudowano pod autentycznym studium telewizyjnym.

Choć miało ono służyć głównie do ukrycia centrum wywiadu, zamontowane w nim anteny satelitarne wysyłały znane programy o Ermitażu na cały świat. Jednak podstawowym ich zadaniem było zapewnienie Centrum łączności z satelitami umożliwiającymi komunikację elektroniczną z krajem i zagranicą. Krzątający się personel muzeum i turyści umożliwiali pracownikom Centrum zachowanie anonimowości. Poza tym Kreml uznał, że w razie wojny czy rewolucji nikt nie zbombarduje Ermitażu. Nawet jeśli nieprzyjacielowi nie będzie zależało na dziełach sztuki z pobudek estetycznych, to mogły się one przydać jako karta przetargowa.

Orłow dotarł na miejsce jeszcze przed świtem. Ponieważ Ermitaż był o tej porze zamknięty, wszedł niepozornym wejściem od północnego wschodu. Spojrzał na drugi brzeg Newy. Dokładnie naprzeciwko wznosiły się majestatyczne budynki Akademii Nauk i Muzeum Antropologii. Kawalek dalej była Akademia Marynarki imienia Frunzego. Oprócz tego, że szkolili się tam kadeci, na jej terenie stacjonowało też kilkunastu żołnierzy z oddziału sił specjalnych będącego do dyspozycji Centrum, zwanego „Młot”.

W studiu telewizyjnym za biurkiem siedział strażnik. Orłow skinął mu głową.

Starszy mężczyzna wstał i zasalutował. Generał wstukał kod w zamku szyfrowym.

Przeszedł przez pogrążoną w mroku recepcję i zszedł schodami na dół. Tam czekał

kolejny zamek szyfrowy. Generał wcisnął cztery guziki i drzwi się otworzyły. Kod zmieniał się co dzień; Orłow co wieczór dostawał nowy od szefa ochrony Centrum.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, automatycznie zapaliły się światła. Przed nim były kolejne schody. Zszedł

na dół i następny zamek szyfrowy dał mu dostęp do Centrum Operacyjnego.

Centrum składało się z bardzo długiego korytarza z gabinetami po bokach. Gabinet Orłowa był na samym końcu, dosłownie na brzegu Newy. Czasami słyszał nad głową przepływające barki.

Zwykle przychodził tu nie wcześniej niż o dziewiątej. Pracownicy nocnej zmiany byli zaskoczeni jego widokiem. Przywitał ich, nie zatrzymując się. Wszedł do swojego małego, wyłożonego boazerią gabinetu, zamknął drzwi i skierował się do biurka, zwróconego przodem do drzwi. Na ścianach wisiały oprawione zdjęcia, które zrobił z kosmosu. Nie było za to żadnych fotografii jego samego. Generał, choć dumny ze swoich dokonań, nie lubił rozpamiętywać przeszłości. Widział w niej tylko niespełnione marzenia. Chciał stanąć na Księżycu, dowodzić misją załogową na Marsa. Marzył mu się dynamiczny rozwój programu kosmicznego. Może gdyby bardziej konstruktywnie i agresywnie wykorzystał swoją sławę, pomógłby osiągnąć ten cel. Albo gdyby otwarcie sprzeciwił się wojnie w Afganistanie... a tak... ten konflikt kosztował kraj utratę pieniędzy i honoru i przyspieszył

rozpad ZSRR.

Generał Orłow nie trzymał w gabinecie swoich zdjęć, bo wolał patrzeć przed siebie. Przyszłość nie niosła żalu, tylko nadzieję.

Na automatycznej sekretarce miał wiadomość od Paula Hooda. Paul powiedział

tylko, że chodzi o coś pilnego. Orłow usiadł i włączył komputer. Kiedy otworzył

listę bezpiecznych telefonów i wykręcił numer Hooda, przypomniał sobie, jak amerykańskie Centrum Szybkiego Reagowania pomogło mu udaremnić zamach stanu szykowany przez grupę twardogłowych urzędników. Hood stracił wtedy jednego ze swoich najlepszych agentów, podpułkownika Charlesa Squiresa. Od tamtej pory oba centra od czasu do czasu wymieniały się informacjami. Nigdy jednak nie zostały w pełni zintegrowane, choć Orłowowi i Hoodowi bardzo na tym zależało. Niestety, jak wiele innych postępowych propozycji Orłowa, także i ta nie spotkała się z przychylnością biurokratów. Między dwoma mocarstwami wciąż panowała głęboka nieufność.

Hood odebrał po pierwszym dzwonku.

-

Halo?

-Paul, tu Siergiej.

Tłumaczka Centrum była w pogotowiu. Po chwili włączyła się do rozmowy.

-

Generale, proszę, by mi pan zaufał. To sprawa niecierpiąca zwłoki. -

Naglący ton wskazywał, że każda chwila jest na wagę złota.

-

Oczywiście - powiedział Orłow.

-
Nasi ludzie szukający Harpunnika padli ofiarą zamachu pod szpitalem w Baku - powiadomił go Hood. - Nieco ponad godzinę temu. Dwaj zginęli.

Jeden od kuli snajpera pod szpitalem, drugiemu poderżnięto gardło w holu szpitala. Trzeci jest pacjentem, nazywa się David Battat, dziś nagle zachorował.

Orłow zapisał sobie jego nazwisko.

-
Policja pilnuje szpitala, ale nie wiemy, kim jest zabójca - ciągnął Hood.

- Może nadal tam być.

-
Może nawet jest policjantem - zauważył Orłow.

-
No właśnie - powiedział Hood. - Generale, macie kogoś w Baku?

-
Tak - odparł Orłow bez wahania. - W którym pokoju leży pan Battat?

-
Numer 157 - odparł Hood.

-
Zaraz kogoś tam wyślę - obiecał Orłow. - Tylko nikomu nic nie mów.

Odłożył słuchawkę.

Trzy największe rosyjskie instytucje zajmujące się wywiadem miały własny personel. Instytucje te to MBR, GRU - wojskowe Głównoje Razwiedy-watielnoje Uprawljenje, czyli Główny Zarząd Wywiadu i MWD - Ministerstwo Wnutriennych Dieł, czyli Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Rosyjskiego Centrum Operacyjnego nie stać było na utrzymywanie własnej siatki wywiadu i kontrwywiadu, dlatego też musiało korzystać z zasobów innych, mniejszych agencji. Nadzorowała je Sistiema Objediniennowo Uczotja Danych o Protiwniku, w skrócie SOUD, czyli Ujednolicony

System Rozpoznawania Wrogów. SOUD dostarczał też personelu Służbie Wniesznej Razwiedki (SWR), czyli Służbie Wywiadu Zagranicznego, Federalnej Służbie Bezopasnosti (FSB), czyli Federalnej Służbie Bezpieczeństwa, Federalnej Służbie Kontrrazwiedki (FSK), czyli Federalnej Służbie Kontrwywiadu i Federalnej Służbie Ochrony (FSO).

Orłow szybko dostał się do akt SOUD. Wprowadził kod o najwyższym priorytecie, Czerwony-13. To oznaczało, że prośbę zgłasza wysoki rangą urzędnik - poziomu trzynastego - w związku ze sprawą o nadzwyczajnym znaczeniu dla bezpieczeństwa narodowego: schwytaniem Harpunnika. Kod Czerwony-13 dawał Orłowowi dostęp do nazwisk, adresów i numerów telefonów agentów rozlokowanych na całym świecie.

Miał prawo nimi dysponować, nawet gdyby akurat wykonywali inne zadania.

Orłow zajrzał do akt dotyczących Baku.

Znalazł to, czego szukał.

Zawahał się.

Za chwilę miał poprosić głęboko ukrytego agenta, by pomógł amerykańskiemu szpiegowi. Gdyby Amerykanie szykowali jakąś operację w Baku, byłby to doskonały sposób na zdemaskowanie i zneutralizowanie rosyjskiej 84

siatki. Ale Orłow musiałby przyjąć założenie, że Paul Hood mógłby go zdradzić.

Wykręcił numer.

ROZDZIAŁ 26

Waszyngton

Poniedziałek, 21.00

Paul Hood był zły.

Zły na system, na społeczność wywiadowczą i na samego siebie. Zabici nie byli jego ludźmi. Człowiek, któremu wciąż groziło niebezpieczeństwo, nie był jego agentem. Jednak zawiedli, a Harpunnik wygrał, po części dzięki warunkom, w jakich szpiegzy musieli działać. Harpunnik miał do dyspozycji grupę ludzi, większość amerykańskich agentów też pracowała w zespołach. Teoretycznie to powinno zapewnić im wsparcie, a w praktyce zmuszało ich do funkcjonowania w ramach

biurokratycznej maszyny, gdzie najważniejsze są przepisy i posłuszeństwo wobec przełożonych, przebywających z dala od pól bitwy. Nie sposób stawić czoła człowiekowi pokroju Harpunnika z takim brzemieniem na barkach. A Hood wspierał

ten system. Był winny, tak samo winny jak jego koledzy z CIA, NSA i innych agencji.

Jak na ironię, Jack Fenwick wyłamał się z obowiązujących reguł, a zadaniem Hooda było stwierdzenie, czemu to zrobił.

Biurokraci sprawdzają biurokratów, pomyślał z goryczą. Chyba na razie lepiej, by w ogóle dał sobie spokój z myśleniem. Zmęczony i zirytowany nawet nie zadzwonił

do domu, by spytać, co u Harleigh.

Rodgers był u Hooda, kiedy ten czekał na telefon od Orłowa. Teraz, korzystając z tego, że Bob Herbert jeszcze nie wrócił, wyszedł po coś do picia. Hood postanowił zadzwonić do domu. Nie poprawiło mu to nastroju.

Znow, jak dawniej, pracował do późna i dzwonił do domu niejako dla świętego spokoju. Sharon tego nie znosiła. Słyszał gniew w jej głosie, w wypowiedzianych przez zaciśnięte usta krótkich, zwięzłych odpowiedziach na pytania.

-

Piore - powiedziała Sharon. - Harleigh stawia pasjansa na komputerze.

Alexander odrabia lekcje i uczy się do klasówki z historii.

-

W jakiej formie jest Harleigh? - spytał Hood.

-

A jak myślisz? - powiedziała Sharon. - Nawet ta twoja psycholog mó wiała, że minie sporo czasu, zanim zauważymy jakiegokolwiek zmiany. O ile w ogóle nastąpią - dodała. - Ale nie martw się, Paul, dam sobie radę.

-

W razie czego możesz na mnie liczyć - powiedział Hood. - Nigdzie się nie wybieram.

-

Cieszę się. Zawołać Alexandra?

-

Jeśli się uczy, to nie - odparł. - Powiedz mu tylko, że dzwoniłem.

-

Oczywiście.

-

Dobranoc.

Czuł, że Sharon się waha. Trwało to tylko chwilę, która jednak strasznie się dłużyła.

-

Dobranoc, Paul - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Hood długo siedział ze słuchawką przy uchu. Teraz był nie tylko biurokratą, ale i draniem. Odłożył słuchawkę, splótł dłonie i czekał na Rodgersa. Kiedy tak siedział, coś zaczęło w nim tykać. Nie zegar czy bomba. Raczej jakiś mechanizm.

I z każdym tyknięciem coraz ciaśniej nakręcała się w nim jakaś sprężyna.

Pragnienie, by coś zrobić - nie tylko snuć rozważania czy wzywać Rosjan na pomoc. Chciał działać. Coś tu nie grało, a on musiał się dowiedzieć, co.

Rodgers i Herbert zjawili się razem. Zastali Hooda wpatzonego w ścianę, na której kiedyś wisiały tabliczki i fotografie w ramkach, pamiątki lat spędzonych w rządzie. Zdjęcia z przywódcami, wyborcami. Zdjęcia pokazujące Hooda wmurowującego kamienie węgielne i pracującego w jadłodajni dla bezdomnych.

Całe życie był cholernym urzędasem. Częścią problemu, nie rozwiązaniem.

-

Wszystko w porządku? - spytał Herbert.

-Tak.

-

Dostałeś jakieś wiadomości?

-

Nie - powiedział Hood. - Ale chcę ich poszukać.

-

Wiesz, co o tym sędzę - powiedział Herbert. - O czym tak myślałeś?

-

O Battacie. Nie było to do końca zgodne z prawdą. Hood myślał bo wiem o tym, że nie powinien był wycofywać rezygnacji. Powinien był odejść z Centrum i o nim zapomnieć. Sam już nie wiedział, czy zrezygnował bar dziej dla własnego dobra, czy dla dobra rodziny, jak mu się wydawało. Ale wrócił i nie zamierzał uciekać.

To nasunęło mu myśl o Battacie.

-

Nagle zachorował, zabrali go do szpitala, a tam już czekali zabójcy - powiedział. - To nie wygląda na zbieg okoliczności.

-

Fakt - przyznał Herbert. - Rozmawiałem o tym z moimi ekspertami.

Ekspertami Herberta byli czterej jego zastępcy, ściągnięci do Centrum z wywiadu wojskowego, NSA i CIA. Byli to trzej mężczyźni i jedna kobieta, w wieku od dwudziestu dziewięciu do pięćdziesięciu siedmiu lat. Jeśli dołączyć do tego Darrella McCaskeya, łącznika z FBI i Interpolem, Centrum Szybkiego Reagowania miało najlepszą komórkę wywiadowczą w Waszyngtonie.

-
Oto, co wymyśliliśmy - powiedział Herbert. - CIA jest na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że Harpunnik pojechał przez Moskwę do Baku.

Agent Departamentu Stanu jest przekonany, że widział go w samolocie do Moskwy; możliwe, że to nie przypadek.

-
Czemu? - spytał Rodgers.

-
Nie byłby to pierwszy terrorysta, który specjalnie dał się zauważyć -

powiedział Herbert. - W 1959 roku sowiecki szpieg Igor Sławosk pokazał

się na stacji Grand Central w Nowym Jorku, by zwrócić na siebie uwagę policji i zwabić FBI do swojego mieszkania. Kiedy tam trafili, wybuchła bomba. Sławosk wrócił, zebrał odznaki i legitymacje i kazał zrobić ich wierne kopie. Posługując się nimi, dostał się do kwatery głównej FBI. Dlatego nie można wykluczyć, że Harpunnik nieoficjalnymi kanałami dał komuś znać o swoim przybyciu.

-
Do rzeczy - powiedział Hood cicho. Zaczynał tracić cierpliwość. Nie z winy Boba, oczywiście. Po prostu nie mógł się doczekać, kiedy oddzwoni Orłow. Chciał usłyszeć, że w szpitalu wszystko w porządku. Najwyższy czas, by dla odmiany dostał jakieś dobre wiadomości.

-
Przepraszam - powiedział Herbert. - Czyli Harpunnik dał znać, że leci do Baku. Zaplanował tam jakąś operację. Wiedział, że w ambasadzie są ludzie z CIA. Wiedział też, że CIA może nie chcieć ich eksponować, bo azer-skie Ministerstwo Bezpieczeństwa Wewnętrznego ma na oku personel ambasady. Dlatego CIA ściągnęła kogoś z Moskwy.

-
Battata - powiedział Hood.

Tak - odparł Herbert z lekkim niepokojem. - David Battat był szefem biura CIA w Nowym Jorku. To on zatrudnił Annabelle Hampton.

-

Agentkę, którą zgarnęliśmy w czasie akcji w ONZ? - spytał Rodgers.

-

Tak. Battat był wtedy w Moskwie. Sprawdziliśmy go. Jest czysty. Jeden z moich informatorów z CIA powiedział mi, że wysłano go do Baku, by odpokutował za swoje błędy z Nowego Jorku.

Hood skinął głową.

-

No dobra. Battat przyjeżdża do Baku...

-

.. .Idzie we wskazane miejsce wypatrywać Harpunnika i dostaje w łeb -

dokończył Herbert. - Ale nie ginie, choć Harpunnik bez trudu mógł go zała twić. Najprawdopodobniej wstrzyknął mu jakiegoś wirusa czy związek chemiczny, który po jakimś czasie miał go ściąć z nóg. Na tyle skutecznie, by trzeba go było zabrać do szpitala.

-

Pod strażą agentów CIA - powiedział Hood.

-

Otóż to. Sami się wystawili na strzał.

-

A Harpunnik ma CIA z głowy i może spokojnie robić swoje - podsumował Hood.

-

Na to wygląda - przyznał Herbert. - Szpiegów w Baku mają tylko USA, Rosja i być może Iran.

-

Z powodu kaspijskiej ropy? - spytał Rodgers.

Herbert skinął głową.

- Nie słyszałem, by Harpunnik załatwił agentów Moskwy i Teheranu. - Hood zamyślił się.

-

Iran - powiedział cicho.

-

Słucham?

-

Drugi raz dziś wspominamy o Iranie - zauważył Hood.

-

Ale nie w tym samym... - Herbert urwał w pół zdania.

-

Nie w tym samym kontekście?

-

O, nie - odezwał się Herbert po chwili. - Tylko nie to.

-

Chwila - wtrącił Rodgers. - Co przeoczyłem?

-

Myślisz, że łańcuszek szczęścia może iść od Harpunnika przez Teheran, Jacka Fenwicka, NSA do CIA? - powiedział Herbert.

-

To możliwe - przyznał Hood.

-

To by oznaczało, że Fenwick wszedł z nimi w jakieś układy w sprawie Harpunnika.

-

I nie chce, by prezydent się o tym dowiedział.

Herbert kręcił głową.

-

Powiedz, że to nieprawda, Paul - błagał. - Powiedz, że nie współpracujemy z sukinsynem, który zabił mi żonę.

-

Bob, uspokój się.

Herbert wpatrywał się w jego biurko.

-

Jeśli Harpunnik coś knuje w Baku, możemy go jeszcze dorwać - powie dział Hood. - Ale tylko pod warunkiem że nie stracimy koncentracji.

Herbert nie odpowiedział. -Bob?

-

Słyszę. Jestem skoncentrowany.

Hood wziął głęboki oddech. Jeszcze przed chwilą był bliski wybuchu. Teraz, kiedy jeden z jego przyjaciół cierpiał, złość mu przeszła. Musi pomóc Herbertowi.

Czemu nie reagował tak samo na gniew Sharon?

-

Mike - zwrócił się do Rodgersa - musimy ustalić, co Fenwick knuje, i z kim, jeśli w ogóle z kimkolwiek, współpracuje.

-

Dowiem się - obiecał Rodgers. - Ale jedno mogę powiedzieć już teraz.

Znalazłem na swoim komputerze dwa e-maile sprzed pół roku. Nadawcami byli Jack Fenwick i Burt Gable.

-

Czego dotyczyły? - spytał Hood.

-

Białej Księgi opublikowanej przez Pentagon - poinformował Rodgers.

- Wynikało z niej, że ryzyko zawiązania przez Rosję sojuszy z sąsiadami spoza byłego Związku Radzieckiego jest minimalne. Fenwick i Gable nie zgadzali się z tym.

-

Szef Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i szef personelu prezydenta niezależnie od siebie skrytykowali raport.

-

Otóż to - przytaknął Rodgers. - Notatki wysłali wszystkim kongresmanom i dowódcom wojskowym.

-

Ciekawe, czy spiknęli się przez Internet - zastanowił się Hood. - Kiedy wysłano te e-maile?

-

W odstępie kilku godzin. Nie wyglądało na to, by były częścią skoordynowanej kampanii. Oba jednak zawierały ostrą krytykę raportu.

-

Właściwie to bez znaczenia, czy Fenwick i Gable wysłali te notatki niezależnie od siebie i dopiero po ich przeczytaniu odkryli, że coś ich łączy -

powiedział Hood. - Najważniejsze pytanie brzmi, czy coś w związku z tym zrobili. Czy spotkali się i zaczęli knuć.

-

Skąd te podejrzenia? - spytał Herbert, ponownie włączając się do rozmowy.

-

Prezydent wspominał dziś o Gable'u - wyjaśnił Hood. - On i asystent Fenwicka, Don Roedner, mieli być odpowiedzialni za informowanie komisji do spraw służb specjalnych o inicjatywie współpracy z ONZ.

-

Ale tego nie robili.

-

Zgadza się. - Hood powoli zabębnił palcami w biurko. - Czyli mamy dwie sprawy. Co Fenwick robi w Nowym Jorku i co Harpunnik robi w Baku.

-

Dwie, jeśli założymy, że nie wiążą się ze sobą- zauważył Herbert. - Ale mają jeden element wspólny: Iran. A Harpunnik kiedyś już pracował dla Teheranu.

Hood skinął głową.

-

Może znów dla nich pracuje?

-

Przeciwko Azerbejdżanowi - dorzucił Herbert.

-

To możliwe - powiedział Rodgers. - Irańczycy mają dwa potencjalne pola konfliktu z Azerbejdżanem. Zasoby ropy kaspijskiej i Górny Karabach.

-

Ale po co Fenwick miałby mieszać się w coś takiego? - Herbert pokręcił

głową. - Żeby udowodnić, że Pentagon się myli? I co potem?

-

Nie wiem. - Hood spojrzał na Rodgersa. - Wyciągnij to z niego. Po pierwsze, o czym rozmawia z Irańczykami, i po drugie, czemu okłamał prezydenta.

-

Powiedz, że masz informacje, które możesz mu przekazać tylko osobiście - dodał Herbert.

-

No dobra - powiedział Hood. - Niech Liz przygotuje portret psychologiczny prezydenta. Na podstawie obserwacji z pierwszej ręki, w tym moich.

Niech w nim napisze, że prezydent traci panowanie nad sytuacją. Zanieś go Fenwickowi, niby w tajemnicy. Spytaj, czy coś o tym wie.

Rodgers skinął głową i wyszedł. Hood spojrział na Herberta.

-

Jeśli Iran szykuje akcję zbrojną, może przegrupowywać wojska albo sprzęt. NRO mogło coś zauważyć. Stephen Viens już tam wrócił?

-

W zeszłym tygodniu.

NRO, Narodowe Biuro Zwiadowcze, podlegające Departamentowi Obrony, nadzorujące większość amerykańskich satelitów szpiegowskich. Jej personel wywodzi się z CIA, wojska i Departamentu Obrony, a działalność jest ściśle tajna. Istnienie NRO

ujawniono we wrześniu 1992 roku, trzydzieści lat po jego powołaniu. Stephen Viens był kumplem Matta Stolla, specja od komputerów w Centrum Szybkiego Reagowania. Zнали się jeszcze ze studiów. Stephen dostarczał Centrum informacje, kiedy agencje o bardziej ugruntowanej pozycji, jak wywiad wojskowy, CIA i NSA, walczyły o dostęp do danych satelitarnych. Viensa oskarżono o przywłaszczenie pieniędzy podczas jednej z operacji, ale wkrótce oczyszczono go z zarzutów.

-

To dobrze - powiedział Hood. - Niech trochę powęszy. Może NRO

zauważyło, że w Iranie coś się dzieje, ale to zlekceważyło.

-

Już się robi.

Herbert wyjechał na wózek z gabinetu. Hood spojrział na telefon. Chciał, by Orłow już zadzwonił. Chciał usłyszeć, że któryś z jego ludzi jest już na miejscu i że Battatowi nic nie grozi. Że więcej złych wiadomości już nie będzie i sytuacja od tej pory zacznie zmieniać się na ich korzyść.

Musi, pomyślał Hood. Jednego był pewien - coś się dzieje. Coś zakrojonego na wielką skalę i niebezpiecznego. Nie wiedział, o co chodzi, nie wiedział, kto za tym stoi. Nie miał pojęcia, czy fakty zebrane przez Centrum uda się jakoś ze sobą powiązać. Wiedział tylko jedno: cokolwiek się dzieje, trzeba położyć temu kres.

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 5.01

David Battat dygotał z zimna, kręciło mu się w głowie. Słyszał bicie własnego serca, czuł je w gardle. Dokądś go wieziono. Przed oczami migały mu światła.

Poczuł, że ktoś go podnosi. Położono go na łóżku i znów gdzieś przewieziono. Nie był przypięty pasami, ale łóżko miało po bokach metalowe poręcze.

Zamknął oczy. Nie wiedział, co się stało. Pamiętał, że obudził się w ambasadzie, spocony i dygoczący. Moore z Thomasem zanieśli go do samochodu, potem musiał

zasnąć. Obudził się dopiero na wózku.

Słyszał, jak jacyś ludzie krzątają się wokół niego. Zakaszłał i otworzył oczy.

Zobaczył nad sobą siwowłosego mężczyznę.

-

Panie Battat, słyszy mnie pan? - krzyknął nieznajomy.

Battat skinął głową.

-

Przebierzemy pana w szpitalną koszulę — powiedział mężczyzna. - Po tem musimy podać panu kroplówkę. Rozumie pan?

Battat skinął głową.

-

Co... się stało?

-

Jest pan chory - powiedział lekarz. Podeszło dwóch pielęgniarzy. Za częli go podnosić i rozbierać Battata. - Ma pan bardzo wysoką gorączkę.

Musimy ją obniżyć.

-

Dobrze - powiedział Battat. Co innego miał powiedzieć? Nawet gdyby chciał, nie zdołałby stawić oporu. Nie mieściło mu się jednak w głowie, że mógł tak nagle zachorować. Przecież jeszcze wczoraj czuł się dobrze.

Ekipa medyczna zajmowała się nim przez kilka minut. Nawet nie bardzo zdawał

sobie sprawę, co robią. Ktoś go odwracał, przewracał i opukiwał. Poczł ukłucie w zgięciu łokcia. Drżał, było mu zimno. Pot przesiąkał przez poduszkę. Gorączka szybko ją rozgrzała. Jego głowa zapadła się w puch, tłumiący odgłosy rozmów i krzątania. Znów zamknął oczy i odpłynął myślami.

Wkrótce zrobiło się cicho i ciemno. A także trochę cieplej i wygodniej. Nie słyszał już dudnienia. Był przytomny, ale jego myśli bardziej przypominały senne wizje. Przebiegł pamięcią ostatnie dni.

Przed oczami przewinęła mu się ambasada w Moskwie, podróż do Baku, wybrzeże, niespodziewany napad. Uklucie w szyję. Nie był świadom upływu czasu, nie widział sali szpitalnej. Czuł się dziwnie, jakby się unosił. Całkiem przyjemnie. To pewnie od tej kroplówki. Chyba podali mu coś, co pomagało mu się odprężyć.

Nagle usłyszał trzask, jakby odbezpieczanej broni. Otworzył oczy. Na lewo od łóżka zobaczył zamknięte okno. Spojrzał ku nogom łóżka. Drzwi, wcześniej uchylone, teraz były zamknięte. Pewnie zamknął je lekarz albo pielęgniarka.

Panowała idealna cisza. Jak miło. Znowu zamknął oczy. Tym razem nie było wspomnień, tylko ciemność. Zapadł w kamienny sen.

Obudził go następny trzask. Otworzył oczy. Drzwi nadal były zamknięte, ktoś jednak znajdował się w pokoju. W ciemnościach rysowała się czarna sylwetka.

Battat zamrugał niepewnie. Czy to sen, czy jawa?

-

Cześć - powiedział. Usłyszał własny głos. A więc to nie sen.

Cień powoli podszedł do niego. Pewnie ktoś przyszedł sprawdzić, co z nim.

-

Wszystko gra - wybełkotał Battat cicho. - Możesz włączyć światło. Nie śpię.

Cień nie odpowiedział. Battat nie widział, czy to mężczyzna, czy kobieta. W

każdym razie miał na sobie coś jakby kitel. A w opuszczonej wzdłuż boku ręce trzymał jakiś długi, cienki przedmiot. Nóż?

-

Mówisz po angielsku? - spytał Battat.

Słaba zielona poświata monitora ustawionego za jego plecami padła na nieznanego, który podszedł do łóżka. To był mężczyzna. I miał nóż. Długie ostrze połyskiwało w matowym świetle.

-

O co chodzi? - spytał Battat. Do jego otumanionego umysłu zaczęło docierać, że ten człowiek nie jest lekarzem. Próbował się ruszyć, ale ręce miał bezwładne, jak wypchane mokrym piachem.

Mężczyzna zamierzył się.

-

Pomocy! - Battat próbował krzyczeć. - Pomocy...

I nagle mężczyzna zniknął.

Po chwili z podłogi dobiegły dźwięki: ciche stęknienia, a potem długi, przeciągły jęk. I zapadła cisza.

Battat próbował podnieść się na łokciu. Zadrżała mu ręka i opadł na łóżko. Nagle ktoś wyrósł przy nim.

-

Może ich być więcej - usłyszał. - Musimy stąd wyjść.

Ostry głos, z mocnym akcentem, bez wątplenia należał do kobiety. Straszny tu tłok.

-

Wydawało mi się, że to prywatny pokój - powiedział Battat.

Kobieta szybkimi, pewnymi ruchami rąk opuściła poręcz łóżka, odczepiła kroplówkę i podniosła Battata do pozycji siedzącej. Podtrzymała go.

-

Możesz chodzić? - spytała.

-

Jeśli mnie puścisz... to chyba nie usiedzę - odparł.

Kobieta położyła Battata i odeszła od łóżka. Była wysoka, szczupła, szeroka w ramionach. Miała policyjny mundur. Podeszła do okna, odsłoniła je i otworzyła.

Do środka wpadł chłodny, słony podmuch. Battat zadygotał. Kobieta wyjrzała przez okno. Chwyliła szlafrok wiszący na haku na drzwiach i podeszła do łóżka.

Posadziła Battata i narzuciła mu szlafrok na ramiona.

-

Co robimy? - spytał. Bez kroplówki był w stanie jaśniej myśleć. Głowa bolała go od siedzenia.

-

Bez gadania - powiedziała.

-

Zaraz, zaraz - zaprotestował.

-

Zabili twoich towarzyszy, teraz chcą zabić ciebie - warknęła. - Mam cię stąd zabrać.

-

Zabili ich?

-

Cicho! - syknęła.

Battat zamilkł.

Nieznajoma pomogła mu wstać, po czym wzięła jego ubranie, zarzuciła sobie na ramię jego lewą rękę i zaprowadziła go do okna. Battat próbował

się skupić. Głowa pękała mu z bólu. Moore i Thomas nie żyją? Skoro tak, musiał ich zabić Harpunnik. Może myślał, że wiedzieli więcej, niż naprawdę wiedzieli?

Ale jeśli oni zginęli, to kto przysłał tu tę kobietę? A może ona też jest na usługach Harpunnika? Może chce go zabrać w ustronne miejsce, by morderca z nim skończył?

Ale Battat uznał, że tak czy inaczej nie ma wyjścia. I tak nie dałby jej rady.

Poza tym obchodziła się z nim delikatnie. No i gdyby chciała, mogła go zabić w łóżku. Albo pozwolić, by zrobił to ten drugi.

Kiedy podeszli do okna, kazała mu oprzeć się o parapet. Zrobił to niepewnie.

Podtrzymując go jedną ręką, prześliznęła się obok niego. Wylądowała po cichu w żywopłocie i pomogła mu zejść. Zarzuciła sobie na ramię jego rękę i przykucnęła.

Przez kilka sekund nasłuchiwali.

Battat znów zaczął drżeć, szczękały mu zęby. Dobrze choć, że zdołał trochę oprzytomnieć. Ruszyli naprzód. Czuł się, jakby jakaś siła niosła go przez noc.

Wyszli na tyły szpitala i skierowali się ku jego północnej ścianie. Zatrzymali się przy samochodzie. Ku zaskoczeniu Battata, nie był to radiowóz, tylko mały czarny hyundai.

Pewnie ta kobieta w ogóle nie jest policjantką. Battat nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Ale kiedy położyła go na tylnym siedzeniu i usiadła za kierownicą, jedno wiedział na pewno.

Jeśli pozostanie przytomny, wkrótce się przekona.

ROZDZIAŁ 28

Waszyngton

Poniedziałek, 22.03

Rudowłosa mężczyzna siedział za dużym biurkiem. W gabinecie było ciemno, mrok rozpraszał tylko blask lampki z zielonym abażurem i czerwone światelko w telefonie. To znaczyło, że włączona jest funkcja kodowania.

-

Pewne osoby pytają, co Fenwick robił w Nowym Jorku - powiedział rudowłosey.

-

To znaczy kto? - spytał jego rozmówca.

-

Komórka wywiadowcza Centrum Szybkiego Reagowania.

-

Centrum trzyma się z dala od prezydenta - powiedział ten drugi. - Nie mają takiej pozycji jak CIA...

-

Nie byłbym tego taki pewien.

-

Jak to?

-

Słyszałem, że dyrektor Hood kilka godzin temu spotkał się w cztery oczy z prezydentem.

-

Wiem.

-

Nie wiesz, o czym rozmawiali? - spytał rudowłosy.

-

Nie. Pewnie o wydarzeniach w ONZ. Masz powód, by sądzić inaczej?

-

Paul Hood rozmawiał wczoraj wieczorem z pierwszą damą - powiedział rudowłosy. - Zajrzałem do jego akt. Kiedyś byli dobrymi znajomymi.

-

Można to jakoś wykorzystać?

-

Nie - odparł rudowłosy. - To czysto platoniczna znajomość. Pomyślałem raczej, że pierwsza dama mogła zauważyć zmianę w zachowaniu prezydenta. Może powiedziała coś Hoodowi. Sam nie wiem.

-

Rozumiem.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Rudowłosy czekał. Zaniepokoiło go, że sprawą zainteresowało się Centrum Szybkiego Reagowania. Z pozostałymi agencjami wszystko było załatwione. On i jego współpracownicy liczyli na to, że w okresie przejściowym po rezygnacji Hooda Centrum zajmie się przede wszystkim własnymi sprawami. Niestety, tak się nie stało. A nie mogli pozwolić, by ktoś miał ich teraz na oku, gdy zbliża się godzina zero wyznaczająca początek zagranicznej operacji. Harpunnik zrobił swoje. Teraz kolej na nich.

-

Reszta dokumentów gotowa? - spytał drugi mężczyzna.

Rudowłosy spojrział na zegarek. Bez okularów nie widział wyraźnie z takiej odległości, ale starał się przezwyciężyć tę słabość. Ostatnio ciągle musiał coś przezwyciężać. Odsunął nadgarstek od oczu.

-

Będą za jakąś godzinę - odparł.

-

Dobrze. Nie chcę bezpośrednio atakować Centrum. Nie ma na to czasu.

A nieprzygotowane działanie może przynieść więcej szkód niż korzyści.

-

Fakt - przytaknął rudowłosy.

-

To dalej róbmy swoje - powiedział ten drugi. - Jeśli Centrum obserwuje Fenwicka lub prezydenta, nic nie wiedząc o naszych planach, to będzie miało aż nadto roboty. Dopilnuj tylko, by Fenwick nie zrobił ani nie powiedział

czegoś, co naprowadziłoby ich na trop.

-

Rozumiem - powiedział rudowłosy. - Uprzedzę go.

Drugi mężczyzna podziękował i się rozłączył.

Rudowłosy odłożył słuchawkę. Za chwilę zadzwoni do Fenwicka. To bardzo poważna, bezprecedensowa sprawa. Znowu powiedział sobie w duchu, że ich działaniom przyświeca ważny cel: zapewnienie Stanom Zjednoczonym przetrwania w nowym tysiącleciu.

Dotąd, nie licząc drobnych kłopotów z Centrum, wszystko układało się po ich myśli. Dziennikarze zasypywali jego gabinet pytaniami o nową inicjatywę dotyczącą współpracy z ONZ, o której nie wiedział nikt oprócz prezydenta.

Członkowie komisji do spraw służb specjalnych, ba, nawet pracownicy ONZ nic o niej nie słyszeli. Pewien nieustępliwy reporter telewizyjny zadzwonił wieczorem i spytał wprost, czy „to następny wytwór

wyobraźni prezydenta". A Gable, szef personelu Białego Domu, odpowiedział

nieoficjalnie: „Naprawdę nie wiem, Sam. Nie wiem, co się dzieje z prezydentem”.

Choć telewizja nie przytoczy dosłownie jego wypowiedzi, Gable wiedział, że wyrażona przez niego myśl znajdzie swoje odbicie w wyemitowanym materiale.

Reporter przypomniał mu, że już trzeci raz w tym tygodniu prezydentowi coś się pomyliło. Najpierw, na śniadaniu z dziennikarzami, wspominał o ustawie dotyczącej subsydiów dla rolnictwa, która rzekomo trafiła pod obrady Kongresu, choć wcale tak nie było. Potem, przed dwoma dniami, otwierając konferencję prasową, zaczął mówić o kwestii dotyczącej praw obywatelskich, którą rozpatrywać miał Sąd Najwyższy. Takiej sprawy też w ogóle nie było. Oczywiście, Gable nie powiedział reporterowi, że na codziennych odprawach w ręce prezydenta trafiają niewłaściwe dokumenty. Te właściwe podrzucał do akt już po wydaniu błędnych oświadczeń. Kiedy prezydent ponownie je przeglądał, nie mógł zrozumieć, skąd brały się złe informacje. Dochodzenie przeprowadzone przez Gable'a i jego asystentów nie wykazało niczego podejrzanego.

Gable nie uśmiechnął się. Nie mógł. Sprawa była zbyt poważna. Ale odczuwał

satysfakcję. Reporter i wielu innych dziennikarzy niepokoiło się stanem prezydenta. Jutro po południu ich niepokój podzieli reszta obywateli.

Wydarzenia, które już wkrótce rozegrają się na drugim końcu świata i w Waszyngtonie, były bardzo dokładnie skoordynowane i zostaną mylnie zinterpretowane przez wszystkich oprócz trzeciego, najważniejszego przywódcy spiskowców: wiceprezydenta. Prezydent ogłosi, że Azerbejdżan zaatakował irańską platformę wiertniczą i że nie zamierza mieszać Stanów Zjednoczonych w lokalny konflikt. Kiedy jednak Irańczycy zaczną rozbudowywać swoje siły w regionie, wiceprezydent publicznie zażąda zmiany taktyki. Stwierdzi, że nie można ufać Iranowi, i zaproponuje zwiększenie amerykańskiej obecności wojskowej na Morzu Kaspijskim. Poprzez go Fenwick. Ujawni, że w czasie rozmów, jakie z nimi prowadził, Irańczycy mgliście uprzedzali go o szykujących się wydarzeniach.

Powie, że prosili go, by Stany Zjednoczone nie przeszkadzały Iranowi w umacnianiu kontroli nad złożami ropy w regionie.

Oczywiście, Irańczycy wszystkiemu zaprzeczą. Ale w Ameryce nikt im nie uwierzy.

Zaogni się spór między prezydentem a wiceprezydentem.

A kiedy odnalezione zostaną ciała irańskich współników Harpunnika - zamordowanych przez samego Harpunnika - ze zdjęciami i innymi dowodami sabotażu, okaże się, że wiceprezydent i Fenwick mieli rację.

Dziennikarze zaczną wówczas kwestionować zdrowy rozsądek prezydenta. Po Waszyngtonie rozejdą się plotki, że coś jest z nim nie tak. Senatorowie 95

- na przykład Barbara Fox - nie będą mieli innego wyboru, jak tylko poprzeć wnioski o odsunięcie go od władzy. Skandale obyczajowe to jedno. Choroba psychiczna to już zupełnie inna sprawa. Ze wszystkich stron dobiegną głosy wzywające Lawrence'a do rezygnacji. I dla dobra narodu nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko ustąpić.

Prezydentem zostanie obecny wiceprezydent Cotten. Wiceprezydentem mianuje Jacka Fenwicka. Kongres szybko przyklepie tę nominację. A wojsko amerykańskie wkroczy na Morze Kaspijskie, by pomóc Azerbejdżanowi chronić platformy wiertnicze.

Choć sytuacja będzie coraz gorętsza, prezydent Cotten nie straci zimnej krwi.

A wtedy stanie się coś innego. Coś, co wymagać będzie amerykańskiej reakcji, tak zdecydowanej, tak druzgocącej, że fanatycy religijni już nigdy nie ośmielą się zaatakować obiektu pozostającego pod amerykańską ochroną.

Koniec końców, powiedział sobie Gable, dla takiego celu warto poświęcić karierę jednego prezydenta.

ROZDZIAŁ 29

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 6.15

Kiedy czterdziestosiedmioletni Ron Friday po raz pierwszy przyjechał do Baku, poczuł się, jakby cofnął się do średniowiecza.

Nie chodziło o architekturę. Ambasady mieściły się w nowoczesnej części miasta.

Tamtejsze budynki równie dobrze mogłyby stać w Waszyngtonie, Londynie, Tokio czy jakiegokolwiek innej współczesnej metropolii. Ale Baku nie przypominało żadnego ze znanych Ronowi miast. Wyjeżdżając z dzielnicy ambasad, człowiek zanurzał się w przeszłości. Wiele budynków pamiętało czasy, kiedy Kolumb przybijał do brzegów Ameryki.

Jednak nie z powodu architektury Baku przywodziło na myśl stare, feudalne miasto. Raczej z powodu mieszkańców. Cechował ich bezwład. Azerbejdżan był

zniewolony tak długo, że teraz, kiedy wreszcie odzyskał wolność i niezależność, nie bardzo wiedział, co z tym fantem zrobić. Gdyby nie petrodolary, pewnie stoczyłby się na pozycję kraju Trzeciego

Świata.

Przynajmniej takie wrażenie odniósł Friday. Na szczęście, kiedy były ranger i jego ludzie wykonają swoje zadanie, Azerbejdżan już nie będzie aż tak niezależny.

Wszedł do swojego sześciopiętrowego bloku. Dziesięcioletni budynek z cegły znajdował się dwie przecznice od ambasady. Na górę prowadziły mar-96

murowe schody. Choć Friday mieszkał na ostatnim piętrze, nie lubił jeździć windą. Nawet kiedy był w towarzystwie innych mieszkających tu pracowników ambasady, chodził schodami. Windy wydawały mu się zbyt ciasne, czuł się w nich bezbronny.

Skierował się do swojego mieszkania. Trudno uwierzyć, że siedzi tu już prawie pół roku. Miał wrażenie, że trwało to o wiele dłużej. Dobrze, że wkrótce stąd wyjedzie. Nie dlatego że przestał być potrzebny pani Williamson, zastępczyni ambasadora. Wręcz przeciwnie, służył jej cenną pomocą, zwłaszcza przy podejmowanych przez nią próbach ograniczenia roszczeń Azerbejdżanu do kaspijskiej ropy. Przez wiele lat pracował jako prawnik dla dużej firmy naftowej; teraz doświadczenia z tamtego okresu bardzo się przydały. Wkrótce będzie jednak potrzebny gdzie indziej i jego właściwy szef dopilnuje, by go tam przeniesiono.

Może do Indii albo do Pakistanu. Tam najbardziej chciał pojechać. Trwały spory o ropę w Morzu Arabskim i na granicy między Wielką Pustynią Indyjską w indyjskiej prowincji Radżastan a pustynią Thar w Pakistanie. Co jednak ważniejsze, to właśnie na subkontynencie indyjskim wybuchnie następna wojna, niewykluczone że wywołana atakiem jądrowym. Friday chciał tam być, manipulować polityką regionalną. Marzył o tym od studiów. Od dnia, kiedy zaczął pracować w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Włożył klucz do drzwi i nadstawił uszu. Usłyszał kotkę, jak zawsze witającą go miauczeniem. To znak, że w środku nikt na niego nie czeka.

Friday został zwerbowany przez NSA na studiach prawniczych. Jeden z jego profesorów, Vincent Van Heusen, był w czasie II wojny światowej agentem wywiadu.

Po wojnie Van Heusen uczestniczył w pracach nad ustawą o bezpieczeństwie narodowym, na mocy której powołano Centralną Agencję Wywiadowczą.

Profesor Van Heusen zobaczył we Fridayu siebie samego z lat młodości: odważnego, niezależnego. Friday dorastał w michigańskich lasach, gdzie chodził do jednoizbowej szkoły i co weekend polował z ojcem nie tylko ze strzelbą, ale i z łukiem. Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Nowego Jorku odbył staż w NSA.

Kiedy rok później zaczął pracować w branży naftowej, był już szpiegiem. Oprócz tego, że miał nawiązywać kontakty w Europie, na Bliskim Wschodzie i w rejonie Morza Kaspijskiego, dostał też listę działających tam agentów CIA. Od czasu do czasu proszono go, by rzucił na nich okiem - by

szpiegował szpiegów, upewnił

się, że nie działają na dwa fronty.

Przed pięcioma laty odszedł z prywatnego sektora, znudzony pracą w przemyśle naftowym. Za duży kładziono w nim nacisk na zyski, a za mało uwagi zwracano na dobro Ameryki i jej gospodarki. Nie dlatego jednak zrezygnował. Głównym powodem był jego patriotyzm. Chciał pracować w NSA na 97

pełnym etacie. Na jego oczach zagraniczne operacje wywiadu diabli wzięli.

Elektroniczne urządzenia zastąpiły ludzi. W wyniku tego uzyskiwano coraz mniej informacji. Friday uważał, że to tak jakby brać mięso z rzeźni, zamiast samemu polować. Masowo produkowana żywność smakowała gorzej. Przeżycia nie miały tej intensywności. A myśliwy z czasem miękł.

Friday nie zamierzał stać się mięczakiem. Dlatego kiedy jego znajomy z Waszyngtonu powiedział mu, że Jack Fenwick chce z nim porozmawiać, nie mógł

przepuścić takiej okazji. Spotkali się w barze Off the Record w hotelu Hay-Adams. Było to zaraz po inauguracji prezydenta, więc w lokalu panował tłok i praktycznie nikt nie zwracał na nich uwagi. Wtedy właśnie Fenwick przedstawił

plan tak śmiały, że Friday z początku wziął to za żart. Albo za jakąś próbę.

Zgodził się jednak spotkać z kilkoma innymi członkami grupy Fenwicka. I wtedy uwierzył.

Wysłali go tutaj i za pośrednictwem irańskich łączników zorganizowali mu spotkanie z Harpunnikiem. Iran nie zdawał sobie sprawy, że zostanie wystawiony do wiatru. Że kiedy zdobędzie pretekst, by wkroczyć na Morze Kaspijskie, przeciwstawi mu się nowy amerykański prezydent.

A Harpunnik? Miał to gdzieś. Friday blisko z nim współpracował przy organizacji napadu na Battata i dezinformowaniu CIA.

Wciąż miał na sobie wczorajsze ubranie. Gdyby ktoś go zauważył, to potwierdzi jego wersję wydarzeń. Jedną z wielu historyjek, jakie przygotowywał sobie przez lata, celem zatajenia spotkań z informatorami.

Lub ofiarami.

Dobrze, że Harpunnik na wszelki wypadek zostawił swojego człowieka w szpitalu.

Liczyli, że Friday załatwi Moore'a i Thomasa na zewnątrz. Jednak ci tak zaparkowali wóz, że Thomas był zasłonięty. Friday miał nadzieję, że irański zabójca go dopadł. Oczywiście, łatwiej byłoby zabić ich wszystkich w ambasadzie, ale wtedy mógłby zostać zdemaskowany. Ambasada jest mała, ktoś mógłby ich zauważyć. I wszędzie pełno kamer. A tak... czysta robota.

Po zastrzeleniu Moore'a Friday porzucił broń, którą dostał od Harpunnika. Był to G3, model Heckler & Koch produkcji irańskiej. W razie czego miał do dyspozycji inne karabiny. Ten wrzucił do płytkiego stawu w pobliżu szpitala. Liczył na to, że miejscowa policja go znajdzie. Chciał, by trop prowadził do Teheranu. Friday i jego ludzie robili wszystko, by świat dowiedział się, że Iran zabił dwóch pracowników amerykańskiej ambasady. Irańczycy rzecz jasna temu zaprzeczają, ale Ameryka im nie uwierzy. NSA tego dopilnuje.

Irańczycy współpracujący z Harpunnikiem w ciągu ostatnich kilku dni często rozmawiali ze sobą przez komórkę o ataku na platformę wiertniczą. Dwa wsporniki, które miały zostać zniszczone, nazywali „celem jeden” i „ce-98

lem dwa”. Nie wiedzieli, że Harpunnik dopilnował, by ich rozmowy były podsłuchiwane przez NSA. Nagrania poddano następnie cyfrowej obróbce, tak by wywołać wrażenie, że celami, o których rozmawiali Irańczycy, byli pracownicy ambasady, a nie wsporniki platformy wiertniczej.

Harpunnik też wykonał telefon, w którym powiedział wprost, że zabójstwo to ostrzeżenie dla Amerykanów, by nie podejmowali działań przeciwko Iranowi w czasie zbliżających się wojen o ropę. Dał do zrozumienia, że jeśli Waszyngton jednak się w to wmiesza, ginąć będą amerykańscy urzędnicy na całym świecie.

Rzecz jasna, ta groźba przyniesie odwrotny skutek. Po rezygnacji prezydenta Lawrence'a nowy prezydent wezwie do pomszczenia brutalnych morderstw. Nie będzie miękkim przywódcą jak jego poprzednik. Kimś, kto skłonny był współpracować z Organizacją Narodów Zjednoczonych ze szkodą dla własnego kraju. Zabójstwa wraz z zamachami na platformy wiertnicze przypomną Amerykanom, że zostało im jeszcze kilka niezłatwionych spraw z poprzedniego stulecia, jak choćby konieczność zadania decydującego ciosu terrorystycznym ugrupowaniom i wspierającym je rządowi.

Friday wszedł do mieszkania. Zobaczył migające światełko na automatycznej sekretarce. Odsłuchał wiadomość. Była tylko jedna, od zastępczyni ambasadora, Dorothy Williamson. Prosiła, by natychmiast przyszedł do ambasady. Powiedziała, że dzwoniła do niego na komórkę, ale nie mogła go złapać.

Nic dziwnego. Zostawił telefon w marynarce, która wisiała na krześle w innym pokoju. A on sam był wtedy w sypialni kobiety poznanej w International Bar.

Friday oddzwonił do Williamson. Nawet nie pytała, gdzie się podziewał.

Przekazała mu tylko złe wieści. Tom Moore został zastrzelony przez snajpera pod szpitalem. Pat Thomas zginął w szpitalu. Ktoś poderzwał mu gardło.

Friday uśmiechnął się pod nosem. Człowiek Harpunnika wykonał zadanie.

-

Na szczęście - ciągnęła Williamson - David Battat powstrzymał czło wieka, który próbował go

zabić.

Friday spochmurniał. -Jak?

-

Poderznął mu gardło jego własnym nożem.

-

Ale Battat był chory...

-

Wiem - odparła. - I albo w gorączce nie wiedział, co robi, albo się wystraszył. Po zabiciu napastnika uciekł ze szpitala przez okno. Szuka go policja. Na razie znaleźli tylko karabin, z którego zastrzelono Moore'a. Za pomocą wykrywaczy metali. Był na dnie stawu.

-
Rozumiem - powiedział Friday. Zabójca nie mówił po angielsku. Nawet gdyby Battat był przytomny, nie mógłby się niczego od niego dowiedzieć.

Ale Fenwick i Harpunnik wściekną się, kiedy usłyszą, że Battat żyje. - Po mogę w poszukiwaniach - powiedział.

-
Nie - odparła Williamson. - Jesteś mi potrzebny w ambasadzie. Ktoś musi pośredniczyć w kontaktach między policją z Baku a Waszyngtonem. Ja muszę zająć się politycznymi reperkusjami tego, co się stało.

-
Jakimi politycznymi reperkusjami? - spytał Friday niewinnie. To będzie dobre. E tam, dobre. Doskonale.

-
Policja znalazła karabin, z którego prawdopodobnie strzelano do Moore'a

- powiedziała. - Nie chcę o tym mówić na niezabezpieczonej linii. Powiem ci więcej, jak tu przyjdiesz.

Nareszcie dobra wiadomość. Zastępczyni ambasadora uznała, że zabójstwa miały charakter polityczny i nie były przypadkowe.

-
Już idę - powiedział Friday.

-
Uważaj na siebie - powiedziała Williamson.

-
Zawsze uważam - odparł. Odłożył słuchawkę, odwrócił się i wyszedł

z mieszkania. - Zawsze.

ROZDZIAŁ 30

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 6.16

Harpunnik i jego ludzie dopłynęli do platformy wiertniczej tuż przed świtem.

Silniki zgasili trzysta metrów od najbliższego z czterech filarów. Potem Harpunnik i czterej Irańczycy wskoczyli do wody. Mieli na sobie mokre kombinezony i butle ze sprężonym powietrzem. Wsunęli się pod ciemną powierzchnię morza i popłynęli w stronę platformy.

Dwaj z nich mieli wodoodporne sakwy zawierające materiały wybuchowe w postaci żelu wodnego. Harpunnik osobiście wstrzyknął do niebieskich lasek reagującą na ciepło pentanitroanilinę. Wschodzące słońce ogrzeje je swoim żarem i spowoduje wybuch.

Dwaj pozostali mieli nadmuchiwaną tratwę, która zapewni im stabilne podłoże, kiedy znajdą się pod platformą wiertniczą. Wiele platform miało czujniki na filarach i wykrywacze ruchu na poziomie morza. Najbezpieczniej było więc ominąć filary i przepłynąć pod wykrywaczami ruchu. Kiedy ładunki zostaną rozmieszczone, załoga praktycznie nie będzie miała szans ich w porę rozbroić.

Harpunnik miał kuszę i noktowizor. Za jej pomocą wystrzelił paczki z żelem wodnym pod wspornikami platformy. Wziął ze sobą tylko kilkanaście 100

lasek ładunku wybuchowego. Dawno temu przekonał się, że do zniszczenia dużego celu nie potrzeba dużej siły. W walce wręcz przeciwnika można powalić ciosem sierpowym. Jednak szybciej i skuteczniej jest po prostu przycisnąć mu palec do gardła, tuż pod krtanią i nad obojczykiem. Żeby go przewrócić, nie trzeba od razu sięgać po kij do bejsbola; wystarczy wsunąć mu nogę za kolano i mocno nacisnąć je kantem stopy. A żeby odeprzeć atak napastnika uzbrojonego w kij bejsbolowy, wystarczy podejść blisko niego.

Irańskie platformy wiertnicze na Morzu Kaspijskim w większości są półzanurzalne.

Spoczywają na czterech potężnych nogach z masywnymi pontonami zanurzonymi pod linią wody. Podwodny element platformy, w którego skład wchodzi świder, opuszcza się z wieży zamontowanej na platformie. Kluczem do zniszczenia takiej platformy jest nie złamanie filarów, lecz osłabienie środkowej jej części. Reszty dokona ciężar umieszczonych na niej konstrukcji. Ludziom Harpunnika udało się zdobyć kopie planów platformy. Wiedział więc, gdzie rozmieścić ładunki.

Do podbrzusza platformy dostali się bez trudu. Choć w wodzie było ciemno, wyżej pełgały już pierwsze poblaski jutrzeńki. Podczas gdy Harpunnik obserwował cel, dwaj jego ludzie nadmuchali

tratwę, a pozostali dwaj przyczepili po dwie laski żelu wodnego do trzech harpunów. Ostrożnie sklejali ze sobą dwudziestocentymetrowe laski tak, by harpun zmieścił się w lufie, a jego równowaga pozostała niezachwiana. Choć łatwiej byłoby zrobić to wszystko w łodzi, Harpunnik chciał, by paczki z żelem wodnym jak najdłużej pozostawały suche. Żel co prawda jest odporny na wilgoć, ale mokra folia dłużej się nagrzewa. Ładunki natomiast będą na słońcu tylko przez pół godziny. Muszą być wystarczająco suche - a tym samym rozgrzane - by zdążyły eksplodować.

Sześciokątna tratwa mogła pomieścić sześć osób. Harpunnik wziął ją nie dlatego, że zamierzał zabrać ze sobą sześciu ludzi; po prostu dzięki swoim rozmiarom była bardziej stabilna. Małe fale nie mogły jej poruszyć. To ważne, bo musiał

strzelać, leżąc na plecach. Usunął z tratwy daszek, by zmniejszyć jej ciężar.

Duży pojemnik, w którym była przechowywana, został wyrzucony. Harpunnik wszedł

na tratwę, a jego ludzie przytrzymali ją z boków, by ograniczyć jej ruchy do minimum.

Kusza z nierdzewnej stali została pomalowana na matowy czarny kolor, by odbijała jak najmniej słońca. Harpuny też były czarne. Broń składała się z metrowej czarnej lufy, żółtej rękojeści i cyngla. Z wylotu wystawała tylko końcówka harpuna. Normalnie do harpunów przyczepiało się liny, by wciągnąć zdobycz na pokład. Harpunnik usunął je jeszcze w łodzi.

Pod platformą, na głębokości piętnastu metrów, znajdowały się tłumiki akustyczne. Miały za zadanie wyciszać odgłosy pracy platformy, by chronić jej mieszkańców przed hałasem. Harpunnik wybrał cele po uważnym 101

przestudiowaniu planów. Wystrzelił dwa harpuny. Pierwszy trafił do wygłuszonej wnęki pod wieżą stojącą w południowo-zachodnim kącie platformy. Kiedy nastąpi wybuch, wieża runie ku jej środkowi. Następny harpun będzie wycelowany w platformę, w miejsce gdzie wylądował ciężki rdzeń wieży. Drugi wybuch, w połączeniu z upadkiem wieży, spowoduje, że platforma zapadnie się do wewnątrz.

Wszystko zwałi się do morza.

Trzeci harpun nie będzie potrzebny do zniszczenia platformy, ale Harpunnik nie powiedział tego swoim ludziom.

Nasunął na oczy noktowizor i położył się na plecach. Kusza miała potężny odrzut, niczym strzelba kaliber 12. Ale jego ramię wytrzyma. Wycelował i strzelił.

Rozległo się metaliczne kasznięcie i harpun pomknął w ciemność.

Trafił w cel z głuchym łupnięciem. Harpunnik szybko przyjął pozycję do drugiego strzału. Ten też był

celny. Dał swoim ludziom znak, by wracali do łodzi. Kiedy tylko zniknęli pod wodą, odkleił laski żeluzu wodnego z trzeciego harpuna i schował je do jednej z toreb ze sprzętem. Potem wsunął się do wody i popłynął za swoimi ludźmi do łodzi.

Po wejściu do niej wrzucił do morza szczątki Siergieja Czerkasowa. Przedtem spalili ciało, by wyglądało na ofiarę wybuchu. Zdjęcia wykonane z samolotu były już w jego kieszeni. Irańczycy byli przekonani, że winą za zamach obarczeni zostaną Rosjanie i Azerowie.

Harpunnik wiedział, że się mylą.

Kiedy Czerkasow wpadł do wody, łódź odpłynęła. Już prawie stracili platformę z oczu, kiedy nagle eksplodowała.

Harpunnik obserwował ją przez mocną lornetkę. Zobaczył pod platformą kłęb żółtoczerwonego dymu. Wieża zadrżała, po czym w majestatycznym piruecie upadła na środek platformy. Do łodzi dotarł stłumiony odgłos pierwszego wybuchu.

Irańczycy zaczęli wiwatować. Dziwne, pomyślał Harpunnik. Ci ludzie, przekonani, że działają dla dobra kraju, cieszyli się ze śmierci co najmniej stu rodaków.

Na chwilę przed upadkiem wieży wybuchł drugi ładunek. Harpunnik tak je rozmieścił, by eksplodowały mniej więcej w tym samym czasie. Nie chciał, by upadająca wieża wytrąciła harpun z drugim ładunkiem i zrzuciła go do morza.

Tworząca się druga chmura czerwonożółtego dymu rozproszyła się, kiedy wieża zwała się na platformę z cichym zgrzytem. Kawałki metalu wzbily się w poranne niebo, płosząc mewy.

Drżenie przeszło przez całą platformę. Na ten widok Harpunnikowi przypomniawsię obrazek widziany w dzieciństwie. Uderzona piorunem topola runęła na linię wysokiego napięcia, odbiła się od przewodów, po czym znów na nie spadła.

Przewody przez chwilę wytrzymały jej ciężar, po czym 102

ugięły się i zerwały ze słupów. To samo stało się tutaj. Po upadku wieży platforma stała przez chwilę, po czym konstrukcja z betonu i stali powoli złamała się w miejscu osłabionym przez drugą eksplozję. Platforma wgięła się do wewnątrz. Warsztaty, żurawie, zbiorniki, a nawet helikopter zaczęły zsuwać się w stronę zagłębienia. Harpunnik słyszał dobiegające z oddali odgłosy zderzeń, widział dym i wzlatujące w powietrze pogruchotane kawałki drewna i metalu.

I wtedy to się stało. Platforma nie wytrzymała i pękła. Wszystko runęło do morza. Z daleka Harpunnik nie widział wszystkich szczegółów. Z tej odległości upadek platformy wyglądał jak wodospad, zwłaszcza kiedy kaskada białych i srebrnych fragmentów wpadła do morza, wzbijając fale i pianę.

Platforma zniknęła za linią horyzontu i Harpunnik widział już tylko wielką kulę mgły wiszącą w

powietrzu.

Odwrócił się i przyjął gratulacje od swoich ludzi. Traktowali go jak gwiazdę futbolu, ale on sam czuł się jak artysta. Na płótnie ze stali i betonu stworzył

za pomocą materiałów wybuchowych doskonałe dzieło zniszczenia.

Poszedł na dół się umyć. Zawsze się mył po pracy. Był to symboliczny akt wieńczący dzieło i zarazem początek przygotowań do następnego zlecenia. Które niedługo otrzyma.

Kiedy łódź wpłynęła do portu, Harpunnik powiedział załodze, że zejdzie na ląd pierwszy. Wyjaśnił Irańczykom, że chce sprawdzić, czy azerska policja wie już o zamachu. Jeśli tak, może sprawdzać przyplływające łodzie, szukać na nich terrorystów lub świadków wybuchu.

Dodał jeszcze, że jeśli nie wróci za pięć minut, mają wypłynąć na otwarte morze.

Zapewnił ich, że jeśli policja przesłuchuje wszystkich w porcie i nikogo nie wypuszcza, on jakoś się wymknie.

Jego ludzie zgodzili się. Zszedł na ląd.

Po sześciu minutach w przystani nastąpiła potężna eksplozja. Harpunnik włożył do jednej z lasek żeluz wodnego czasowy detonator. Nastawił go i zostawił pod pokładem, pod jedną z koi. W łodzi były dowody wskazujące na to, że wykorzystano ją do przeprowadzenia zamachu. Zajmie to trochę czasu, ale w końcu policja znajdzie w niej ślady żeluz wodnego i dojdzie do wniosku, że Irańczycy z pomocą rosyjskiego terrorysty zaatakowali własną platformę wiertniczą. Oczywiście, Irańczycy temu zaprzeczą i napięcie wzrośnie. Stany Zjednoczone zaczną podejrzewać, że Rosja w porozumieniu z Iranem chce przejąć zasoby ropy z Morza Kaspijskiego. I nie będzie odwrotu.

Harpunnik wsiadł do przemalowanej furgonetki i wyjechał z przystani. Nie było policji. Jeszcze nie. O tej porze policjanci pewnie kierują ruchem i usuwają skutki wypadków drogowych. Poza tym nic na razie nie wskazywało na to, by platformę zaatakowano z łodzi. To się okaże dopiero później, kiedy znajdą ciało Rosjanina, a Amerykanie prześlą im satelitarne zdjęcia regionu.

Harpunnik skierował się do Starego Miasta. Tam pojechał Inszaczilar Prospekti w stronę hoteli na Bakichanow Kuczasi. Przed dwoma dniami wynajął pokój hotelowy pod przybranym nazwiskiem. Oficjalnie nazywał się Iwan Ganiew, był konsultantem firmy telekomunikacyjnej. Nazwisko i zawód wybrał nieprzypadkowo. Gdyby zatrzymały go służby celne czy policja, będzie miał wyjaśnienie, czemu wozi ze sobą nowoczesny sprzęt. No a to, że uchodził za Rosjanina, dawało mu jeszcze jedną korzyść, istotną zwłaszcza w tej części świata. Dzięki temu, kiedy nadejdzie właściwy czas, będzie mógł się stąd wydostać.

W pokoju miał ubranie, sprzęt i pieniądze, przed wyjściem powiesił na klamce wywieszkę, by mu nie przeszkadzano. Miał zamiar umyć się, ufarbować włosy, a potem się przespać. Kiedy się obudzi, doprawi sobie sztuczne wąsy, włoży kolorowe soczewki kontaktowe i wezwie taksówkę, która zawiezie go na dworzec. W

razie czego, gdyby został rozpoznany i okrążony, mógł wziąć taksówkarza jako zakładnika. Korzystając z lewego paszportu, opuści miasto.

Zaparkował wóz w zaułku przy szpitalu. Wyjął z kieszeni paczkę nici dentystycznej. Pocierał nią dziąsło dotąd, aż usta wypełniły się krwią. Splunął

nią na podłogę, deskę rozdzielczą i poduszkę na siedzeniu. To najszybszy sposób samookaleczenia, w dodatku niezostawiający blizn, w razie gdyby ktoś chciał go potem zatrzymać i sprawdzić, czy jest ranny. Wystarczy tylko trochę krwi.

Specjaliści z ekipy śledczej i tak się nią zainteresują. Kiedy skończył, włożył

do baku plastikowy mikrochip. Zakręcił wlot paliwa.

Wziął plecak z telefonem Zet-4 i poszedł. Kiedy policja znajdzie samochód, odkryje w nim ślady pozostawione przez Irańczyków z łodzi: ich odciski palców na kierownicy, schowku i klamkach. Dojdą do wniosku, że co najmniej jednemu z nich udało się uciec. Na podstawie śladów krwi stwierdzą, że jest ranny. I stracą czas na szukanie podejrzanego po szpitalach.

A Harpunnik wróci do Moskwy. Potem wyjedzie z Rosji i trochę odpocznie. Może wyskoczy na urlop do jakiegoś kraju, w którym nie przeprowadził żadnego zamachu.

W miejsce, gdzie nikt go nie będzie szukał.

Gdzie będzie mógł spokojnie siedzieć i czytać gazety.

I znów cieszyć się wpływem swojej sztuki na świat.

ROZDZIAŁ 31

Waszyngton

Poniedziałek, 23.11

Paul Hood był zaniepokojony, dezorientowany i zmęczony. Bob Herbert rozmawiał przed chwilą ze Stephenem Viensem z Narodowego Biura Rozpoznania Satelitarnego.

Viens pracował do późna, pod-

czas jego nieobecności nazbierało się sporo zaległych spraw. I w tym czasie satelita NRO odnotował wybuch na Morzu Kaspijskim. Viens zadzwonił do Herberta, który wcześniej prosił go o informacje o wszelkich niezwykłych zdarzeniach w regionie. Ten z kolei zadzwonił do Paula Hooda.

-

Z naszych dokumentów wynika, że współrzędne miejsca wybuchu po krywają się ze współrzędnymi irańskiej platformy wiertniczej Madzidi-2 -

powiedział Herbert.

-

Czy to mógł być wypadek? - spytał Hood.

-

Sprawdzamy. Z platformy dochodzą słabe sygnały radiowe, co wskazuje, że ktoś mógł przeżyć.

-

„Mógł”?

-

Platformy często są wyposażone w automatyczne radiolatarnie wzywające okoliczne okręty ratownicze - powiedział Herbert. - Być może to właśnie nie słyszymy. Co chwila są jakieś zakłócenia, więc nie wiemy, czy to nagranie.

-

Rozumiem. Bob, mam złe przeczucia. Fenwick odwiedza irańską placówkę dyplomatyczną i zaraz potem dochodzi do zamachu na irańską platformę.

-

Wiem. Dzwoniłem do niego, nie odbierał. Ciekaw jestem, czy NSA wie działa o tym zamachu i czy Fenwick poszedł z tą informacją do irańskiej misji w Nowym Jorku.

-

Czy gdyby tak było, Iran nie próbowałby zapobiec zamachowi? - spytał

Hood.

-

Niekoniecznie - odparł Herbert. - Iran od dłuższego czasu szuka pretekstu, by wzmocnić swoją obecność wojskową na Morzu Kaspijskim. Napaść ze strony Azerbejdżanu byłaby dla nich jak znalazł. To tak jak z tymi teoriami niektórych historyków uważających, że Roosevelt dopuścił do ataku na Pearl Harbor, by wciągnąć Stany w II wojnę światową.

-

Ale w takim razie po co oszukiwać prezydenta? - spytał Hood.

-

By w razie czego móc się wszystkiego wyprzeć - odparł Herbert. - Prezydent dostaje fałszywe informacje.

-

Jack Fenwick nie posunąłby się do czegoś takiego sam z siebie - powie dział Hood.

-

Czemu nie? - spytał Herbert. - Ollie North prowadził szeroko zakrojoną operację w czasie sprawy Iran-Contras...

-

Może oficer miałby na to dość odwagi, ale nie Fenwick - powiedział

Hood. - Przejrzałem jego akta. Facet jest specem od systemów awaryjnych.

W NSA obsładował systemy awaryjne do systemów awaryjnych. Namówił

Kongres do zwiększenia budżetu agencji o piętnaście procent. CIA dostała tylko osiem procent więcej niż rok temu, my sześć.

-

To robi wrażenie.

-

Tak - przyznał Hood. - A on nie wydaje mi się typem człowieka, który podejmowałby takie ryzyko. Nie bez wsparcia.

-No i? Może je ma.

Cholera, pomyślał Hood. Może rzeczywiście.

-

Pomyśl - ciągnął Herbert. - Załatwił sobie dwa razy większy wzrost budżetu niż wszyscy inni. Kto inny ma takie chody w Kongresie? Na pewno nie prezydent Lawrence. Nie jest wystarczająco konserwatywny dla komisji budżetowej.

-

Fakt - przytaknął Hood. - Bob, niech Matt spróbuje dostać się do billingów i terminarza Fenwicka. Niech sprawdzi, z kim mógł rozmawiać i spotykać się przez ostatnich kilka dni i tygodni.

-

Jasne - powiedział. - Ale ciężko będzie wysnuć z tego jakiegokolwiek wnioski. Szef NSA spotyka się praktycznie z wszystkimi.

-

Otóż to - powiedział Hood.

-

Nie chwytam.

-

Gdyby Fenwick knuł coś na boku, to ze swoimi współnikami spotykałby się poza biurem. Może jeśli zobaczymy, z kim nagle przestał się oficjalnie spotykać, dowiemy się, z kim widywał się w tajemnicy.

-

To dobre, Paul. - Popatrzył na niego z uznaniem. - Ja bym na to nie wpadł.

-

Nie to mnie najbardziej martwi - ciągnął Hood. Zapikał telefon. - Przepraszam, Bob. Mógłbyś przedstawić Mike'owi sytuację?

-

Pewnie.

Hood przełączył się na drugą linię. Dzwonił Siergiej Orłow.

-

Paul? Dobra wiadomość. Mamy twojego człowieka.

-

Jak to „macie”? - spytał Hood. Rosyjski agent miał go tylko pilnować.

-

Nasz agent zjawił się w samą porę i nie pozwolił, by twój człowiek dołączył do swoich towarzyszy - powiedział Orłow. - Zabójca został unieszkodliwiony i pozostawiony w pokoju szpitalnym. Twojego człowieka przenieśliśmy w inne miejsce. Jest tam w tej chwili.

-

Generale, nie wiem, co powiedzieć - odparł Hood. - Dziękuję.

-

To wystarczy. Ale co teraz? Czy twój człowiek może pomóc nam złapać Harpunnika?

-

Mam nadzieję. Harpunnik zapewne nadal jest w Baku. - Hood myślał na głos. - W przeciwnym razie nie musiałby wywabiać tych ludzi z ambasady i ich zabijać. Słyszał pan, co się stało na Morzu Kaspijskim?

-

Tak - odparł Orłow. - Zniszczono irańską platformę wiertniczą. Nie ważne kto to zrobił, obwinia za to Azerów. Znasz bliższe szczegóły?

-

Jeszcze nie. Ale agent, którego uratowaliście, może coś wiedzieć. Trzeba sprawdzić, czy to Harpunnik stoi za tym zamachem. Mógłby mnie pan jakoś skontaktować z Battatem?

-Tak.

Hood podziękował i powiedział, że będzie pod telefonem.

Orłow miał rację. Podejrzenia padną na Azerów. To oni sprzeciwiali się obecności Irańczyków w tej części morza. Mieli najwięcej do zyskania. Ale Harpunnik na ogół pracował dla państw bliskowschodnich. A jeśli to nie Azerbejdżan stoi za zamachem? Jeśli inny kraj chce zrzucić nań winę?

Hood zadzwonił do Herberta. Połączył się też z Mikiem Rodgersem i zreferował im sytuację. Kiedy skończył, przez chwilę panowała cisza.

-

Szczerze mówiąc, nic z tego nie rozumiem. - Pierwszy odezwał się Herbert: - Za mało danych.

-

Fakt - przytaknął Hood. - Ale może mamy ich więcej, niż się nam wyda je.

-

Jak to? - spytał Herbert.

-

Po pierwsze, NSA współpracuje z Iranem - powiedział Hood. - Po drugie, prezydent nie był o tym informowany. Po trzecie, mamy do czynienia z terrorystą, który współpracuje z Iranem i zabija agentów CIA w Azerbejdżanie. Po czwarte, zaatakowana została irańska platforma wiertnicza u wybrzeży Azerbejdżanu. To dużo informacji. Może po prostu nie potrafimy ich ze sobą powiązać.

-

Paul, czy wiemy, kto z CIA pierwszy dowiedział się, że Harpunnik jest w Baku? - spytał Rodgers.

-

Nie - powiedział Hood. - Ale to dobre pytanie.

-

Zaraz każę to sprawdzić. - I Herbert wyłączył się na chwilę.

Hood i Rodgers czekali. Hood usilnie starał się powiązać ze sobą fakty, ale nic mu z tego nie

wychodziło. Był zaniepokojony, zdezorientowany i zmęczony.

Zabójcza mieszanka, zwłaszcza dla mężczyzny po czterdziestce. Dawniej mógł bez trudu pracować całymi nocami. Ale teraz to co innego.

Herbert znów się włączył.

-

Kazałem zadzwonić do biura szefa, kod Czerwony-1 - powiadomił. -

Zaraz powinniśmy być mądrzejsi.

Kod Czerwony-1 oznaczał bezpośrednie zagrożenie narodowych interesów. Mimo rywalizacji między agencjami takich próśb na ogół nie ignorowano.

-

Dzięki.

-

Paul, słyszałeś o Człowieku, Którego Nie Było? - spytał nagle Rodgers.

-

Chodzi ci o tę historię z czasów II wojny? W liceum czytałem książkę o nim. Był częścią kampanii dezinformacji.

-

Zgadza się - powiedział Rodgers. - Brytyjska agencja wywiadowcza wzięła ciało bezdomnego mężczyzny, nadała mu fałszywą tożsamość i zo stawiła przy nim dokumenty wskazujące, że alianci zaatakują Grecję, nie Sycylię. Zwłoki podrzucono w takie miejsce, by Niemcy je znaleźli. Dzięki 107

temu odciągnięto część sił osi z Sycylii. Wspominam o tym, bo kluczowym uczestnikiem operacji był brytyjski generał Howard Tower. Kluczowym w tym sensie, że jemu też podawano fałszywe informacje.

-

Z jakiego powodu? - spytał Hood.

-

Depesze generała Towera przechwytywali Niemcy. Brytyjski wywiad się o to postarał.

-

Czegoś nie rozumiem - mruknął Herbert. - Czemu rozmawiamy o II wojnie światowej?

-

Kiedy Tower dowiedział się o wszystkim, strzelił sobie w łeb - powie dział Rodgers.

-

Bo go wykorzystano? - spytał Hood.

-

Nie - powiedział Rodgers. - Bo myślał, że nawalił.

-

Nadal nic nie rozumiem - wyznał Herbert.

-

Paul, mówiłeś, że prezydent był poruszony, kiedy z nim rozmawiałeś -

ciągnął Rodgers. - A z twojej rozmowy z pierwszą damą wynikało, że on może przeżywać załamanie nerwowe.

-Fakt.

-

To może nic nie znaczyć - zaproponował Herbert. - Jest prezydentem Stanów Zjednoczonych. Ludzie na tym stanowisku szybko się starzeją.

-

Czekaj, Bob. Mike może być na właściwym tropie. - Hood czuł niejasność, że coś mu się wymyka. Dręczyło go to tym bardziej, im dłużej o tym myślał. - Prezydent nie wyglądał na zmęczonego, kiedy się z nim widziałem. Był raczej wzburzony.

-

Nie dziwię się - powiedział Herbert. - Zatajano przed nim informacje i popełnił faux pas w sprawie ONZ. Było mu wstyd.

-

Ale jest w tym coś jeszcze. Chodzi mi o wpływ dezinformacji na psychikę. Może prezydent jest

wprowadzany w błąd, nie tylko dlatego że ktoś chce w razie czego wszystkiego się wyprzeć czy że jakimś urzędasom coś się pomyliło? A jeśli powód jest inny?

-

Na przykład jaki? - spytał Herbert.

-

A jeśli dezinformacja to nie cel, tylko środek do celu? - podsunął Hood.

- Może jacyś ludzie chcą dać Lawrence'owi do zrozumienia, że nie panuje nad sytuacją?

-

Innymi słowy, ktoś próbuje sprawić, by prezydent pomyślał, że zwario wał? - upewnił się Herbert.

-Tak.

-

Nie, tak łatwo mnie nie przekonasz - zaprotestował Herbert. - Po pierwsze, ktokolwiek próbowałby zrobić coś takiego, zaraz zostałby zdemaskowany. W otoczeniu prezydenta jest zbyt wiele osób...

-

Bob, już stwierdziliśmy, że Jack Fenwick nie mógłby zrobić czegoś takiego na własną rękę - powiedział Hood.

-
Tak czy inaczej, musiałyby zapewnić sobie współpracę ludzi z otoczenia prezydenta - powiedział Herbert.

-
To znaczy kogo? - spytał Hood. - Szefa personelu?

-
Na przykład - powiedział Herbert. - Trafiają do niego te same informacje co do prezydenta.

-
No dobra - zgodził się Hood. - Gable już jest na mojej liście podejrzanych. Kto jeszcze byłby potrzebny? Bez kogo taki plan nie mógłby się po wieść?

Zanim Herbert odpowiedział, zapikał jego telefon. Odebrał. Po minucie znów był na linii.

-
Tylko nie mów: „A nie mówiłem” - poprosił.

-
Co się stało? - spytał Hood.

-
Wysoki rangą pracownik CIA z Waszyngtonu dostał informacje o Harpunniku od NSA - powiedział Herbert. - NSA nie miała nikogo w Baku, powiadomili więc CIA. CIA wysłała Davida Battata.

-
A Harpunnik wiedział, gdzie go znaleźć - powiedział Rodgers. - I za miast zabić, otrul go. A potem wykorzystał, by wyciągnąć Moore'a i Thomasa z ambasady.

-
Na to wygląda - powiedział Herbert.

-

Paul, przed chwilą zadałeś pewne pytanie - powiedział Rodgers. - Chciałeś wiedzieć, bez kogo operacja psychologiczna przeciwko prezydentowi nie mogłaby się powieść. To dobre pytanie, ale najpierw trzeba ustalić co innego.

-

Tak? - zdziwił się Hood. - To znaczy co?

-

Kto najbardziej skorzystałby na chorobie psychicznej prezydenta? - spytał

Rodgers. - No i kto zajmuje odpowiednio wysokie stanowisko, by umożliwić bezpieczne prowadzenie kampanii dezinformacji?

Odpowiedź była aż nadto oczywista. Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych.

ROZDZIAŁ 32

Waszyngton

Poniedziałek, 23.24

Wiceprezydent Charles Cotten siedział w salonie na parterze swej wiceprezydenckiej rezydencji. Dom znajdował się na terenach Obserwatorium Astronomicznego Marynarki Stanów Zjednoczonych, rozciągających się wzdłuż Massachusetts Avenue. Dwadzieścia minut jazdy dzieliło dom od obydwu biur wiceprezydenta: jednego w Białym Domu, drugiego w sąsiadującym z nim Old Executive Office Building. Katedra Narodowa była 109

w zasięgu krótkiego spaceru. Cotten spędzał ostatnio w katedrze dużo więcej czasu niż zwykle.

Modląc się.

Jedna z doradczyń zapukała i weszła. Poinformowała wiceprezydenta, że jego samochód już czeka. Podziękował i podniósł się ze skórzanego fotela. Wyszedł na ciemny, wyłożony drewnem korytarz i skierował się do wyjścia. Na górze spała żona i dzieci Cotta.

„Moja żona i dzieci”. Słowa, o których nie myślał, że staną się częścią jego życia. Jako senator ze

stanu Nowy Jork, Cotten był podrywaczem absolutnym. Każde nowe stanowisko oznaczało nową, boską dziewczynę. Prasa nazywała te młode kobiety „cukierczkami Cottena”^{*}.

Stale wracały też żarty na temat tego, co dzieje się poniżej „pasa Cottena”^{**}.

Wtedy na manhattańskim przyjęciu charytatywnym na rzecz Muzeum Sztuki Współczesnej poznał Marszę Arnell i wszystko się zmieniło. Marsha miała dwadzieścia siedem lat, jednaście mniej niż on. Była malarką i historyczką sztuki. Opowiadała właśnie grupie gości o sztuce końca XX wieku i o tym, jak komercyjni artyści w rodzaju Franka Frazetty, Jamesa Bamy i Richa Corbena definiowali nową amerykańską wizualność: siła ludzkiej postaci i twarzy w połączeniu z fantastycznym, onirycznym krajobrazem. Cotten był zahipnotyzowany głosem młodej kobiety, jej ideami, jej żywą i optymistyczną wizją Ameryki.

Cztery miesiące później pobrali się.

Niemal od dziesięciu lat Marsha i ich córki bliźniaczki były fundamentem życia Cottena. Znajdowały się w centrum jego uwagi, w sercu, a ich przyszłość zawsze pozostawała w jego myślach.

To one były powodem, dla którego wiceprezydent wymyślił swój plan. Aby uchronić Amerykę dla swojej rodziny.

Stany Zjednoczone były zagrożone. Nie tylko atakami terrorystycznymi, chociaż to poważna i coraz bardziej realna groźba. Niebezpieczeństwo stojące nad Stanami polegało na tym, że były o krok od stania się nieistotnymi. Nasza armia mogłaby zniszczyć świat kilka razy z rzędu. Inne państwa wiedziały jednak, że nigdy tego nie zrobimy, więc się nas nie obawiały. Nasza gospodarka była względnie silna.

Ale równie silne były gospodarki wielu innych państw i sojuszy. Eurodolar był

mocny, a Liga Południowoamerykańska i jej waluta rosły w siłę i wpływy. Ameryka Środkowa i Meksyk dyskutowały o nowej konfederacji. Kanadę nęciło wejście do europejskiego obszaru gospodarczego. Te organizacje i państwa nie spotykały się z podejrzliwością i niechęcią, jaką wszędzie na świecie budziła Ameryka. Po-

Cotten candy, zamiast cotton candy - wata cukrowa.

^{*} Zamiast cotton belt, „bawełnianych” stanów południa USA.

wód? Ameryka była potęgą, którą każdy chętnie widziałby złamaną. Nie zniszczoną: zbyt byliśmy potrzebni jako globalny policjant. Chcieli tylko, abyśmy byli poniżeni i upokorzeni. Dla naszych wrogów byliśmy wtrącającym się w nie swoje sprawy bandytą, a dla domniemanych sojuszników - rządzącym się starszym bratem.

Nikomu to jednak nie przeszkadzało w czasach międzynarodowego kryzysu czy wojny światowej. Inwazja na Francję w celu oswożenia jej spod władzy Hitlera była w porządku. Ale przelot nad Francją w celu zbombardowania Libii, siedziby innego despoty, już nie był w porządku. Militarna obecność w Arabii Saudyjskiej dla ochrony przed Saddamem Husajnem - w porządku. Ale loty odrzutowców z Rijadu, osłaniające amerykańskie wojska w regionie - nie w porządku.

Nie szanowano nas i nie obawiano się nas. To się musiało zmienić. I to na długo przed planowym odejściem Michaela Lawrence'a z Białego Domu za trzy lata. Wtedy byłoby już za późno na działanie.

To nie Michael Lawrence wywołał ten problem. On był po prostu kolejnym w sztafecie niosących pochodnię aroganckiego izolacjonizmu. Kiedy Cotten był

senatorem, uważał, że potrzebne są Stany Zjednoczone lepiej zintegrowane ze światem. Takie, jakie opisywał Teddy Roosevelt. Takie, które miały gruby kij i nie wahały się go użyć. Ale też takie, które wiedziały, jak przemawiać łagodnie.

Ameryka, która potrafiła wykorzystywać i dyplomację, i nacisk gospodarczy. Taka, która zdobyłaby się na ciche zabójstwo czy szantaż, zamiast rozpętywać głośne i niepopularne miniwojny.

Kiedy zaproponowano mu kandydowanie u boku Michaela Lawrence'a, Cotten się zgodził. Wyborcom podobał się styl i slogan Lawrence'a, „Jestem dla ludzi”, jego image kogoś, kto wrócił z politycznej głuszy, by im służyć. Ten chciał jednak zrównoważyć swój wizerunek człowieka bezpośredniego i niezależnego kimś, kto wiedział, jak zachować się w kuluarach Kongresu i zagranicznych gabinetach.

Cotten wyszedł z rezydencji i wśliznął się do samochodu. Szofer zamknął za nim drzwi. Wytoczyli się w cichą, ciemną noc. Dusza Cottena płonęła. Nie cieszyło go to, co zamierzał zrobić on i jego sojusznicy. Przypominał sobie teraz, jak po raz pierwszy podchodził do każdego z nich z osobna. Padały na pozór banalne uwagi. Jeśli były ignorowane, porzucał temat. Jeśli nie, drażył dalej, mniej ogólnymi wypowiedziami. Cotten pomyślał, że tak właśnie musi wyglądać próba nawiązania romansu przez żonatego mężczyznę. Zrób o krok za dużo z niewłaściwą osobą i wszystko stracone.

Każdy z nich włączył się z tych samych pobudek: patriotycznych. Stworzyć Amerykę, która będzie przewodzić wspólnocie międzynarodowej, a nie tylko reagować. Amerykę, która nagradza pokój dobrobytem, a wojennych podżegaczy karze nie publicznym pobiciem i napiętnowaniem, tylko cichą, samotną śmiercią.

wojną a nielegalnym zabójstwem, pomimo że ocaliłoby to wiele istnień. Tyle że początek XXI wieku to nie czas na prowadzenie wojen. Wojny powodują nieszczęścia na krótką metę, a nienawiść na długą. Świat staje się zbyt mały, zbyt zatłoczony. Dlatego musi nadejść zmiana. Dla Ameryki i dla jej dzieci. Dla jego dzieci.

Samochód szybko przemierzał puste ulice. Waszyngton w nocy zawsze jest taki wyludniony. Tylko szpiegdy i spiskowcy przemykają w ciemności. Dziwnie było myśleć o sobie w ten sposób. Zawsze cenił sobie prostolinijność. Jeśli myślisz o czymś z pasją, mówisz o tym. Jeśli nie myślisz o czymś z pasją, zapewne nie warto się tym zajmować. Ale tym razem było inaczej. Tę operację trzeba trzymać w głębokiej tajemnicy.

Więc to już to, pomyślał Cotten. Ostatnia faza operacji. Zdaniem współpracowników prezydenta upublicznienie nieistniejącej inicjatywy wywiadowczej ONZ poważnie wstrząsnęło Lawrence'em. Bardziej niż poprzednie fałszywki, którymi karmili go Fenwick i Gable, by potem im zaprzeczyć - zwykle podczas posiedzenia gabinetu lub spotkania w Gabinetcie Ovalnym.

- Nie, panie prezydencie - łagodnie mówił wtedy Cotten, wyraźnie zakłopotany pomyłką prezydenta - nie było żadnego raportu Pentagonu o wymianie ognia artyleryjskiego między Rosją i Chinami przez Amur. Nie słyszeliśmy, by dyrektor FBI zagroził dymisją. Kiedy to miało miejsce? Nie przypomina pan sobie, panie prezydencie? Uzgodniliśmy, że pan Fenwick podzieli się tymi nowymi danymi wywiadu z Iranem.

Kwestia podzielenia się informacjami z Iranem była ważna dla końcowej fazy operacji. Jack Fenwick przekazał irańskiemu ambasadorowi, że według amerykańskich źródeł wywiadowczych z terytorium Azerbejdżanu nastąpi atak terrorystyczny, nie wiadomo dokładnie gdzie, ale prawdopodobnie w centrum Teheranu. Fenwick zapewnił Iran, że w wypadku uderzenia odwetowego Stany Zjednoczone nie będą interweniować. Nasz kraj chce zacieśniać stosunki z Islamską Republiką Iranu, a nie osłabiać jej obronność.

Lawrence'a, naturalnie, skłoni się do mniej przyjaznego zachowania. Kiedy uświadomi sobie, do czego przywiódło kraj jego mylne rozeznanie, będzie musiał

ustąpić z fotela.

Fakt, że Lawrence nie wiedział nic o tamtym spotkaniu, nie ma żadnego znaczenia.

Na dzisiejszym zebraniu z tak zwaną grupą do wyłącznej wiadomości - Gable'em, Fenwickiem i wiceprezydentem - przekonają go, że był o wszystkim informowany.

Pokażą mu notatki, które widział i podpisał. Pokażą mu kalendarz prowadzony na komputerze przez jego sekretarkę. (Spotkanie zostało dopisane, kiedy wyszła z pracy). Potem przejdą do obecnego kryzysu. Oni zaufają, a prezydent będzie przewodził. Do rana Michael Lawrence publicznie

zdecyduje o wejściu na ścieżkę konfrontacji z dwoma najbardziej nieobliczalnymi państwami na świecie.

Następnego ranka dzięki anonimowym źródłom z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego

„The Washington Post” zamieści u góry pierwszej strony artykuł

o

kondycji umysłowej prezydenta. Chociaż artykuł skoncentruje się na fiasku z ONZ, znajdą się w nim szczegóły niektórych w pełni udokumentowanych i co raz dramatyczniej szych wpadek. Naród nie zechce tolerować chwiejności swe go naczelnego wodza. Zwłaszcza, że ten będzie właśnie posyłał naród na wojnę.

Po tym wszystko potoczy się bardzo szybko. Konstytucja nie przewiduje sytuacji, w której prezydent idzie na zwolnienie. Nie istnieje też żadna szybka kuracja przywracająca zdrowie psychiczne. Lawrence byłby zmuszony ustąpić, jeśli nie pod wpływem nacisku społecznego, to decyzją Kongresu. Prezydentem zostałby Cotten.

Amerykańskie siły zbrojne natychmiast wycofałyby się z rejonu Morza Kaspijskiego, by uniknąć konfrontacji z Iranem i Rosją. Zamiast tego za pomocą działań wywiadu USA udowodniłyby, że to Iran od początku uknuł tę operację.

Teheran zaprotestuje, ale wiarygodność ich rządu poważnie ucierpi. Wtedy środkami dyplomatycznymi Stany Zjednoczone pomogą umiarkowanym siłom w Iranie uzyskać większe wpływy. Tymczasem Azerbejdżan, uratowany przed laniem od Iranu i Rosji, stanie się dłużnikiem Ameryki.

Kiedy już rozplyną się chmury wojny, prezydent Cotten dopilnuje czegoś jeszcze.

Żeby Azerbejdżan i Ameryka podzieliły się zasobami ropy ze złóż Morza Kaspijskiego. Już nigdy Stany Zjednoczone nie staną się zakładnikiem Bliskiego Wschodu. Ani w swych ambasadach, ani przy dystrybutorze paliwa.

Kiedy wreszcie zapanuje porządek, ugruntują się amerykańskie wpływy i

wiarygodność, prezydent Charles Cotten zwróci się do krajów świata. Zo staną zaproszone, by dzielić ze Stanami trwały pokój i dobrobyt. Kiedy ich obywatele zazną po raz pierwszy pokoju i dostatku, obalą swoje rządy.

W końcu dołączą nawet Chiny. Będą musiały. Ludzie są chciwi, a starzy komuniści nie będą żyli wiecznie. Kiedy Stany Zjednoczone przestaną ich prowokować, zniknie wróg numer jeden i Pekin będzie słabł i ewoluował.

Takiego właśnie świata chciał dla Ameryki Charles Cotten. Takiego świata chciał

dla własnych dzieci. Rozmyślał o nim od lat. Pracował, by go urzeczywistnić.

Modlił się o niego.

I już niedługo będzie go miał.

ROZDZIAŁ 33

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 8.09

David Battat leżał na twardym podwójnym łóżku w niedużym, skąpo umeblowanym mieszkanku. Po lewej miał okno. Chociaż żaluzje były spuszczone, pokój rozjaśniało światło przesączone przez listewki.

Battat cały drżał, ale uwagę miał napiętą. Jego porywaczka, gospodyni, a może wybawicielka - nie potrafił na razie określić - krzątała się w aneksie kuchennym po prawej. Robiła właśnie jajka, kielbaski i herbatę, kiedy zadzwonił telefon.

Battat miał nadzieję, że rozmowa będzie krótka. Jedzenie pachniało dobrze, ale myśl o herbacie była jeszcze lepsza. Potrzebował ogrzać się od środka. Zrobić coś, by zwalczyć dreszcze. Czuł się jak przy ciężkiej grypie, słaby i otumaniony. Niby wszystko widział i słyszał, ale jak we śnie. Do tego niezwykle silny ucisk w głowie i klatce piersiowej. Nigdy w życiu nie czuł czegoś podobnego. Kiedy już napije się herbaty i coś zje, może zdoła się nieco bardziej skoncentrować, spróbuje zrozumieć, co wydarzyło się w szpitalu. Oby.

Kobieta podeszła do łóżka. Niosła ze sobą telefon. Miała jakiś metr siedemdziesiąt pięć i szczupłą, smagłą twarz okoloną grubymi, czarnymi włosami do ramion. Wydatne kości policzkowe, niebieskie oczy... Battat założyłby się, że w jej żyłach płynie litewska krew. Podała mu słuchawkę.

-

Ktoś chce z tobą rozmawiać - powiedziała po angielsku z silnym akcentem.

-

Dziękuję. - Jego głos brzmiał jak cienki skrzek. Wziął bezprzewodowy aparat. Nie chciało mu się pytać, kto dzwoni. I tak się zaraz dowie. - Halo?

-

David Battat?

-Tak...

-

Davidzie, mówi Paul Hood, dyrektor Centrum Szybkiego Reagowania.

-

Paul Hood? - Battat zmieszał się. Ci z Centrum znaleźli go tutaj i dzwoni, żeby zapytać... o tamto? - Przykro mi z powodu tego, co się stało -

powiedział - ale nie wiedziałem, że Annabelle Hampton pracuje z...

-

Nie dzwonię w sprawie wydarzeń w ONZ - przerwał mu Hood. - Davidzie, posłuchaj mnie. Mamy

powody przypuszczać, że ty i twoi koledzy zo staliście wystawieni przez NSA.

Dopiero po chwili Battat zrozumiał.

-

Wystawili nas, żebyśmy zostali zamordowani? Dlaczego?

-

Nie mogę ci teraz powiedzieć. Ważne, że na razie nic ci już nie grozi.

Kobieta podeszła z filiżanką herbaty. Postawiła ją na nocnym stoliku przy łóżku. Battat próbował podnieść się trochę na łokciu. Pomogła mu, ujmując go pod ramię i dosłownie sadzając.

-

Muszę tylko wiedzieć jedno - ciągnął Hood. - Jeśli zlokalizujemy Harpunnika, czujesz się na siłach, by pomóc nam go wyeliminować?

-

Jeśli jest sposób, żebym dorwał Harpunnika, czuję się na siłach - odparł

Battat. Sama myśl o tym dodała mu energii.

-
Dobrze - powiedział Hood. - Pracujemy nad tym z zespołem wywiadu rosyjskiego. Nie wiem, kiedy będziemy mieli dodatkowe informacje. Ale kiedy je dostaniemy, damy tobie i twojemu nowemu partnerowi znać.

Battat spojrział na młodą kobietę. Stała w aneksie, przekładając jajka na dwa talerze. Kiedy ostatni raz był w terenie, Rosjanie byli wrogami. Robi w dziwnej branży.

-
Zanim cię pożegnam, czy możesz powiedzieć nam o Harpunniku coś jeszcze? - zapytał Hood. - Cokolwiek, co usłyszałeś lub zobaczyłeś, kiedy go szukaliście? Coś, co powiedział Moore albo Thomas?

-
Nie. - Battat wziął łyk herbaty. Była mocniejsza niż ta, którą zwykle pijał. Działała jak zastrzyk adrenaliny. - Wiem tylko, że ktoś od tyłu chwycił

mnie za gardło. Zanim się zorientowałem, leżałem na ziemi. Jeśli chodzi o Moore'a i Thomasa, byli równie zdziwieni jak ja.

-Bo...?

-
Harpunnik zostawił mnie przy życiu - odparł Battat.

-
O ile to był Harpunnik - powiedział Hood. - Słuchaj. Wykorzystaj ten czas, żeby odpocząć. Nie wiemy, gdzie może się pojawić Harpunnik ani ilu godzin będziesz potrzebował, żeby do niego dotrzeć. Ale musisz być gotowy, by wyruszyć.

-
Będę gotowy - stwierdził Battat.

Hood podziękował mu i się rozłączył. Battat odłożył słuchawkę na stół. Znów łyknął herbaty. Wciąż czuł się słabo, ale trząsał się już znacznie mniej.

Kobieta podeszła do niego z talerzem. Battat patrzył, jak stawia mu go na kolanach, a na nocnym

stoliku kładzie serwetę i sztucce. Wyglądała na zmęczoną.

-

Nazywam się David Battat - odezwał się.

-

Wiem.

-A ty jesteś...? -naciskał.

-W Baku jestem Odette Kolker - odparła. Ton jej głosu zamykał kwestię. Oznaczało to dwie rzeczy. Po pierwsze, na pewno nie była zwerbowaną przez Rosjan Azerką.

Po drugie, Battat nie dowie się jej prawdziwego nazwiska. Przynajmniej nie od niej.

-

Miło mi cię poznać. - Wyciągnął rękę. - Jestem też niezmiernie wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

-

Drobnostka.

Potrząsnęła jego ręką mocno, lecz zdawkowo. Zauważył przy tym kilka plamek krwi na rękawie jej białawej bluzki policyjnej. Na dłoni i przedramieniu nie miała żadnych skaleczeń. Wyglądało na to, że krew nie była jej.

-

Naprawdę jesteś policjantką? - spytał.

-

Tak - odparła.

-

Miałaś nocną zmianę?

-

Nie. Wezwano mnie do tego. - Uśmiechnęła się lekko. - I nie dostanę za nadgodziny.

Battat łyknął jeszcze herbaty i uśmiechnął się w odpowiedzi.

-

Przepraszam, że musieli cię obudzić. - Przetawił talerz na stolik i za chwilę zdejmował z siebie kołdrę. - Pewnie nie powinienem zajmować ci łóżka...

-

Nie, w porządku - uspokoiła go. - Za niecałą godzinę zaczynam pracę.

Poza tym jestem przyzwyczajona do nieoczekiwanych gości.

-

Ryzyko zawodowe - stwierdził.

-

Tak - zgodziła się Odette. - A teraz, jeśli pozwolisz, zacznę jeść. Tobie też radzę. Zjedz i wypocznij.

-

Tak zrobię - obiecał Battat.

-

Chcesz soli czy czegoś?

-

Nie, dziękuję - odparł.

Odette odwróciła się i odeszła powoli do aneksu kuchennego. Przed niecałą godziną zabiła człowieka. Teraz robiła Battatowi śniadanie. To dziwna branża.

Naprawdę dziwna branża.

ROZDZIAŁ 34

Waszyngton

Wtorek, 0.10

Cześć, Paul. Głos Sharon w słuchawce brzmiał grubo i zimno. Hood rzucił okiem na zegar w komputerze.

-

Cześć - powiedział nieufnie. - Wszystko w porządku?

-

Nie bardzo - odparła. - Właśnie wróciłam ze szpitala.

-

Co się stało?

-

Mówiąc w skrócie, Harleigh zaczęła svirować jakieś półtorej godziny temu. Zadzwoiłam po karetkę. Nie wiedziałam, co robić.

-

Dobrze zrobiłaś - stwierdził Hood. - Jak ona się czuje?

-

Doktor Basralian dał jej środki uspokajające i teraz śpi - ciągnęła Sharon.

-

A co to może być według niego? - spytał Hood. - Coś somatycznego...?

-

Nie jest pewien - odpowiedziała. - Rano zrobią badania. Doktor stwierdził, że czasem traumatyczne przeżycie może wywołać skutki fizyczne. Może wpłynąć na tarczycę, spowodować jej nadczynność albo wywołać nadmiar adrenaliny. Tak czy inaczej, nie zadzwoniłam, żebyś zaraz wszystko rzucał

i jechał ją zobaczyć. Chciałam tylko, żebyś wiedział.

-

Dziękuję. I tak przyjadę, jak tylko będę mógł.

-

Nie ma potrzeby - oznajmiła mu Sharon. - Wszystko się uspokoiło.

Dam ci znać, jeśli coś się zmieni.

-

Dobra - odparł Hood. - Skoro tak wolisz.

-

Tak wolę. To tylko mały kryzys. Powiedz mi, Paul, czy jest jakiś problem? - spytała Sharon.

-

Z czym?

-

Ze światem.

-

Zawsze - odparł.

-

Najpierw próbowałam cię łapać w motelu - powiedziała Sharon. - Kiedy cię tam nie znalazłam, pomyślałam, że pewnie gasisz gdzieś pożar.

Hood nie bardzo wiedział, jak potraktować tę uwagę. Postanowił nie doszukiwać się w niej podtekstów.

-

Jest problem na Bliskim Wschodzie - przyznał. - Może być poważny.

-

Zatem nie będę cię zatrzymywać - stwierdziła. - Tylko się nie wykończ, Paul. Nie jesteś już młodzieniaszkiem. Potrzebujesz snu. A dzieci potrzebują cię.

-

Zadbam o siebie - obiecał.

Sharon odłożyła słuchawkę. Kiedy Hood mieszkał jeszcze z żoną, frustrowała się i gniewała, kiedy pracował do późna. Teraz, kiedy się rozstali, była spokojna i opiekuńcza. A może, dla Harleigh, udawała tylko, że wszystko w porządku. Tak czy inaczej los robił rodzinie Hooda smutny, smutny kawał.

Hood nie miał jednak czasu, by rozważać niesprawiedliwość tego wszystkiego ani nawet zastanawiać się nad stanem zdrowia swojej córki. Telefon zadzwieczał

chwilę po tym, jak odłożył słuchawkę. Dzwoniła inna zatroskana żona.

Żona prezydenta.

ROZDZIAŁ 35

Sankt Petersburg, Rosja

Wtorek, 8.30

Generał Orłow był dumny, że jego podwładna uratowała Amerykanina. Dumny, ale nie zaskoczony.

Odette - Natalia Basów - pracowała u niego od trzech lat. Miała trzydzieści dwa lata, swoją karierę zaczynała w GRU, radzieckim wywiadzie wojskowym. Była ekspertem deszyfracji. Jej mąż, Wiktor, oficer rosyjskich sił specjalnych, zginął podczas misji w Czeczenii. Basów wpadła wtedy w głęboką depresję. A potem zapragnęła wyjść z biurka. Ponieważ GRU dzielono, a personel redukowano, Basów wysłano do Orłowa. Ten chętnie skierował ją do pracy w terenie. Znała się nie tylko na wywiadzie elektronicznym

-jej mąż nauczył ją technik samoobrony „sistiemy”, zabójczego stylu walki Specnazu. Orłow sam ćwiczył podstawy, żeby zachować formę. „Sistiema” nie opierała się na wyćwiczonych ruchach czy sile fizycznej. Uczyła, że gdy zostaniesz zaatakowany, twój odruch obronny dyktuje, jaki powinien być kontratak. Kiedy grozi ci cios na prawą stronę tułowia, instynktownie odchylasz ją, by go uniknąć. W rezultacie twoja lewa strona przesuwana się do przodu.

Atakujesz zatem lewą ręką. I to nie pojedynczym ciosem. Trzema. Na przykład pięścią w podbródek, łokciem w szczękę i do tego uderzenie grzbietem dłoni, jedno po drugim. W tym samym czasie ustawiasz się, by wykonać następną potrójną kombinację. Zwykle przeciwnik nie miał już drugiej szansy na atak. Jeśli napastników było więcej i tak szybko stawali się niezdolni do walki, zbyt zajęci unikaniem padających towarzyszy.

Basów doskonale opanowała tę sztukę. W Azerbejdżanie dowiodła swojej wartości.

Ludzie Orłowa stworzyli jej fałszywą tożsamość i wstąpiła do policji. Praca pozwalała jej obserwować i wypytywać ludzi, innych funkcjonariuszy, strażników i nocnych stróżów w fabrykach i bazach wojskowych, dowiadywać się, co słychać w armii i kuluarach władzy w Baku. Jej uroda sprawiała, że mężczyźni chętnie z nią rozmawiali, zwłaszcza w barach. Oraz nie doceniali jej.

Basów zameldowała, że ona i jej gość są bezpieczni, ale nie o nich myślał teraz Orłow. Interesowało go znalezienie Harpunnika. Basów powiedziała mu, że policyjne radio w Baku informowało o eksplozji w porcie. Jakaś łódź wyleciała w powietrze, zabijając wszystkich na pokładzie. Orłow mógł się założyć, że łódź

należała do Harpunnika. Taką miał metodę - zniszczyć wszelkie dowody wraz z częścią lub wszystkimi współpracownikami. Zabitym zostanie przypisany atak na platformę. Orłow zastanawiał się, kim byli. Azerami? Irakijczykami? Rosjanami?

Do takiej roboty mógł wziąć kogokolwiek. Pod warunkiem że ten ktoś nie wiedział, jaki los spotyka zwykle ludzi wynajętych przez Harpunnika.

Personel Orłowa zaczął napływać o wpół do dziewiątej. Generał wysłał dwóm najważniejszym członkom swojego zespołu wywiadowczego, Borysowi i Piotrowi, e-maila z poleceniem, by przyszedli do niego jak najszybciej. Jeśli to Harpunnik odpowiada za atak na Morzu Kaspijskim, zapewne nie będzie usiłował opuścić Baku od razu. Po poprzednich atakach najwyraźniej oczekiwał dzień lub dwa. Gdy w końcu ruszał, często jego trasa prowadziła przez Moskwę. Nikt nie wiedział, dlaczego. Niestety, zanim władze dowiadywały się, że jest w mieście, już zniknął.

Generał Orłow nie chciał, by to się powtórzyło. Pytanie tylko, jak tego dokonać.

Paul Hood nieświadomie dał im być może podpowiedź.

Pierwszy zjawił się w gabinecie Orłowa Borys Groski, ponury, posiwiały weteran wywiadu,

tęskniący za zimną wojną. Minutę później wszedł Piotr 118

Korsow, gorliwy nowicjusz, absolwent Technion w izraelskiej Hajfie. Uwielbiał

swoją pracę: nie krył podziwu dla szefa - człowieka, który pomógł zapoczątkować loty kosmiczne. Obydwaj usiedli na sofie naprzeciwko biurka Orłowa, Borys popijając herbatę, Korsow z laptopem na kolanach.

Orłow krótko zarysował im sytuację. Groski wyraźnie się ożywił, kiedy usłyszał, że w kaspijską operację mogą być w jakiś sposób zamieszane CIA iNSA.

-

Powiedzcie mi taką rzecz - ciągnął Orłow. - Już wcześniej podsłuchi waliśmy rozmowy komórkowe pomiędzy amerykańskimi agentami wywia du. Mamy dostęp do wielu ich bezpiecznych linii.

-

Mamy dostęp do większości - poprawił Groski.

-

Próbują gubić podsłuch, zmieniając sygnał co sekundę - powiedział

Korsow. - Zmiany mieszczą się w kilkumegahercowym przedziale ultra-wysokich częstotliwości. Umiemy utrzymać się w większości z nich.

-

Trudność polega na odszyfrowaniu wiadomości, które są elektronicznie kodowane - dodał Groski. - Amerykańskie agencje używają bardzo złożo nych kodów. Nasze komputery nie zawsze sobie radzą z odszyfrowywaniem rozmów.

-

Czy poszczególni rozmówcy używają zwykle tych samych sygnałów, tych samych wzorców? - zapytał Korsowa Orłow.

-

Najczęściej. W przeciwnym wypadku byłyby przebicia dźwiękowe. Roz mówcy nakładaliby się na siebie nawzajem.

-

Czy przechowujemy nagrania tych telefonów? - spytał Orłow.

-

Rozmów? - upewnił się Groski. - Tak. Ciągłe nad nimi pracujemy, próbując zdekodować...

-

Chodzi mi o sygnały - przerwał Orłow.

-

Oczywiście - odparł Groski. - Przesyłamy je Łajce, żeby miała na nie oko.

Łajka była satelitą szpiegowskim rosyjskiego Centrum. Nazwana tak na cześć psa, radzieckiego pioniera astronautyki, znajdowała się na wysokiej orbicie geostacjonarnej nad Waszyngtonem. Mogła przechwytywać sygnały ze Stanów Zjednoczonych, całej Europy i części Azji.

-

Zatem jeśli Harpunnik rozmawiał z kimś z wywiadu w Waszyngtonie, mogliśmy złapać sygnał, nawet jeśli nie treść rozmowy - powiedział Orłow.

-

Właśnie tak - potwierdził Korsow.

-

Doskonale. Przejrzyjcie zapisy komputerowe z ostatnich dwóch tygo dni. Odszukajcie połączenia z Azerbejdżanu do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Waszyngtonie. Przekażcie mi wszelkie informacje, wszystko, co zdołacie znaleźć.

-

Nawet jeśli nie zostały odszyfrowane - upewnił się Korsow.

-

Tak - odparł Orłow. - Chcę wiedzieć, skąd dokładnie mógł dzwonić Harpunnik lub jego ludzie.

-

A kiedy już pan się dowie, co zamierza pan zrobić? - zapytał Groski.

- Zadzwoń do amerykańskiego Centrum Szybkiego Reagowania i poproszę, żeby przejrzyli wszelkie obrazy satelitarne tego terenu - powiedział Orłow. - Harpunnik musiał przemieszczać na stanowiska ludzi i materiały wybuchowe. Jeśli ustalimy jego położenie, może znajdziemy fotograficzny zapis...

-

I wskazówki co do tego, gdzie jest teraz - dokończył Groski.

Orłow przytaknął.

-

Znajdziemy dla pana te informacje tak szybko, jak się da - powiedział z zapalem Korsow. - To byłby majstersztyk, gdybyśmy dorwali tego potwora.

-

Byłby - zgodził się Orłow.

Dwaj mężczyźni wyszli. Orłow zadzwonił do Paula Hooda, by podzielić się wieściami.

Złapanie Harpunnika byłoby szczytowym punktem jego kariery. Ale zastanawiał się też, czy taka bliska współpraca pomiędzy amerykańskim i rosyjskim Centrum mogłaby stać się normą. Czy zaufanie i dzielenie się informacjami mogłyby doprowadzić do zmniejszenia podejrzliwości i większego bezpieczeństwa międzynarodowego.

To by dopiero był majstersztyk.

Wtorek, 0.30

Paul, cieszę się, że cię znalazłam. Sądzę, że powinieneś tu przyjść. Coś się dzieje.

Głos pierwszej damy w słuchawce brzmiał pewnie, ale Hood znał ją na tyle dobrze, że rozpoznał jej ton „muszę być silna”. Słyszał go już podczas kampanii, kiedy z prasy padały trudne pytania o aborcję, której dokonała, zanim jeszcze poznała prezydenta. W krytycznych sytuacjach Megan zbierała wszystkie siły, wydobywała je ze swego najgłębszego wnętrza. Rozklejała się dopiero wtedy, kiedy mogła sobie na to pozwolić.

-

Opowiadaj - poprosił Hood. On też czerpał już z emocjonalnych i psychicznych rezerw. Po telefonie Sharon był roztrzęsiony.

-

Właśnie kładliśmy się spać, kiedy do Michaela zadzwonił Jack Fenwick

- zaczęła Megan. - Cokolwiek powiedział Fenwick, bardzo poruszyło mojego męża. Miał spokojny głos w trakcie tej rozmowy i po niej, ale widziałam wyraz jego twarzy.

-

Jaki wyraz twarzy?

-

Trudno to opisać.

-

Ostrożny, zaskoczony, nieufny? - dopytywał.

-

Wszystko naraz - stwierdziła Megan.

Hood zrozumiał. To właśnie zobaczył w Gabinetce Owalnym.

-

Gdzie teraz jest prezydent? - zapytał.

-

Poszedł spotkać się z Fenwickiem, wiceprezydentem i Redem Gable'em

- powiedziała Megan.

-

Mówił, czego ma dotyczyć spotkanie?

-

Nie. Ale powiedział, żebym nie czekała.

Pewnie chodzi o kryzys kaspijski. Jakaś niewielka, niespiskowa część Hooda podszeptowała mu, że pewnie nie ma się czymś martwić. Z drugiej strony, prezydent spotykał się z ludźmi, którzy już wcześniej karmili go fałszywymi informacjami. Może to właśnie zobaczyła Megan w twarzy męża. Obawę, że to się znowu stanie.

-

Paul, cokolwiek się dzieje, sądzę, że Michael powinien mieć przy sobie przyjaciół - powiedziała. - Powinien być z ludźmi, których zna i którym może zaufać. Nie samymi doradcami politycznymi.

Asystentka Hooda, Stef Van Cleef, zadzwoniła interkomem. Poinformowała, że dzwoni generał Orłow. Hood polecił jej przeprosić generała za zwłokę. Już za chwilę odbierze.

-

Megan, zgadzam się z tobą - powiedział Hood. - Ale nie mogę, ot tak, wprosić się na spotkanie w Gabinetcie Ovalnym...

-

Masz odpowiednie upoważnienia.

-

Na wejście do Zachodniego Skrzydła, nie do Gabinetu Ovalnego - przy pomniął jej. Przerwał. Jego wzrok przykuło migające światełko na aparacie.

Być może nie będzie musiał się wpraszać.

-

Paul?

-

Jestem - powiedział Hood. - Megan, posłuchaj. Odbiorę teraz telefon, a potem pojadę do Białego Domu. Zadzwoń później na twoją prywatną linię i powiem, jak sprawy stoją.

-

W porządku. Dziękuję.

Hood rozłączył się i odebrał telefon Orłowa. Rosyjski generał zapoznał go z planem zlokalizowania Harpunnika. Powiedział mu też o zniszczeniu łodzi w porcie. Podejrzewał, że azerbejdzańskie władze odnajdą w wodzie ciała ludzi wynajętych przez Harpunnika.

Hood z kolei zapewnił Orłowa o gotowości amerykańskiego Centrum do pełnej współpracy. Poprosił też generała, by przekazywał mu na bieżąco wszelkie nowe informacje, a pod jego nieobecność - Mike'owi Rodgersowi. Po zakończeniu rozmowy Hood za pomocą telefonu komórkowego połączył się konferencyjnie z Herbertem i Rodgersem. Spiesząc na parking, przekazał im najnowsze wieści.

-
Mam powiadomić prezydenta, że jedziesz? - zapytał go Rodgers.

-
Nie - odparł Hood. - Fenwick mógłby wtedy wcześniej zakończyć spotkanie. Nie chcę go spłoszyć.

-
Ale też dajesz w ten sposób Fenwickowi i jego ludziom więcej czasu na działanie - zauważył Rodgers.

-
Musimy podjąć ryzyko. Jeśli Fenwick i Gable mają zamiar rozegrać końcówkę, chcę dać im czas. Może uda się ich złapać na gorącym uczynku.

-
Mimo wszystko uważam, że to ryzykowne - powiedział Rodgers. - Fenwick będzie naciskał na prezydenta, żeby działać natychmiast. Nie dopuści, by prezydent zdążył się skonsultować z innymi doradcami.

-
Być może dlatego właśnie wszystko wydarzyło się o takiej porze - za uważył Herbert. - Jeśli to spisek, zaplanowano go tak, żeby to był akurat środek nocy.

-
Jeśli to ma coś wspólnego z kryzysem kaspijskim, prezydent będzie musiał działać szybko - ciągnął Rodgers.

-
Mike, Bob, nie sądźcie, że się z wami nie zgadzam - odpowiedział im Hood. - Ale też nie chcę dać tym draniom szansy na zdyskredytowanie tego, co mogę powiedzieć, jeszcze zanim dotrę na miejsce.

-
Ciężka sprawa - westchnął Herbert. - Naprawdę ciężka. Niewiele wie my o sytuacji w regionie.

-

To prawda - przyznał Hood. - Mam nadzieję, że już wkrótce będziemy mieli więcej danych.

-

Będę się za ciebie modlił - powiedział Herbert. - A jeśli to nie pomoże, poszukam innych źródeł.

-

Dzięki - odparł Hood. - Będę w kontakcie.

Hood mknął przez opustoszałe ulice. W schowku miał awaryjną puszkę coli.

Otworzył ją. Naprawdę potrzebował kofeiny. Chociaż ciepła, cola i tak smakowała dobrze.

Rodgers miał rację. Hood ryzykował. Ale już wcześniej ostrzegł prezydenta przed Fenwickiem. Przekierowany telefon, wizyta w irańskiej ambasadzie, fiasko rozmów z senator Fox i CIOC*. Można mieć nadzieję, że Lawrence wykaże czujność i dobrze się zastanowi, nim podejmie decyzję. Dobrze by było, gdyby zechciał przepuścić informacje przez Centrum, żeby upewnić się, że są w porządku.

Mimo wszystko jednak prezydent żyje ostatnio w ciężkim stresie. Jest tylko jeden sposób, by wpłynąć na jego decyzje. Hood musi dostać się do niego z nowymi danymi wywiadu. A kiedy już tam będzie, pomóc prezydentowi przesłać informacje przedstawione przez Fenwicka.

* Chief Information Officers Council - Rada Szefów Służb Informacyjnych.

Hoodowi pozostawała do zrobienia jeszcze jedna rzecz. Modlić się, żeby Mike Rodgers nie miał racji. Żeby nie było jeszcze za późno.

ROZDZIAŁ 37

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 9.01

Maurice Charles zajął swój mały pokój w hotelu Hyatt. Stało w nim królewskich rozmiarów łóżko i wysoki regał z barkiem i telewizorem, biurko, a z obydwu stron łóżka stoliki nocne. Fotel ledwo się mieścił, wciśnięty w kąt naprzeciwko biurka. Było bardzo mało przestrzeni i to Charlesowi odpowiadało. Nie lubił

apartamentów. Za dużo w nich otwartej przestrzeni. Za dużo kryjówek.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było przywiązanie nylonowej linki do nogi biurka.

Stało przy oknie. Pokój znajdował się na drugim piętrze dziewięciopiętrowego hotelu. Gdyby z jakiegoś powodu został tu okrążony, policja i tak nie mogłaby wspiąć się z dołu lub opuścić z dachu bez robienia hałasu. Musieliby spróbować wejść przez drzwi. Ale na to jest przygotowany. Ma ze sobą opakowania pianki do golenia, wypełnione łatwo palnym płynnym metanolem. Rozlany pod drzwiami i zapalony, płonąłby szybko i gwałtownie, odrzucając napastników do tyłu. To dałoby Charlesowi czas, by zastrzelić tego, kto czekałby na niego za oknem, i opuścić się na linie. Metanol jest też śmiertelną trucizną. Same opary płynu mogą w krótkim czasie spowodować ślepotę.

Charles włączył światło przy łóżku i zaciągnął ciężkie zasłony. Następnie otworzył wytrychem drzwi między swoim a sąsiednim pokojem. Kolejna droga ucieczki, na wszelki wypadek. Przyciągnął krzesło stojące przy biurku.

Zablokował nim gałkę drzwi. W razie czego szybko odsunie krzesło. Gdyby jednak ktoś z sąsiedniego pokoju próbował otworzyć drzwi, pomyślałby, że są zamknięte.

Powzięcie tych środków bezpieczeństwa zabrało mu niecałe pół godziny. Kiedy skończył, usiadł na łóżku. Wydobył z plecaka swoją czterdziestkępiątkę. Umieścił

ją na podłodze obok łóżka. Z kieszeni wyjął szwajcarski scyzoryk i położył go na stoliku nocnym. Przyniósł też torbę pluszaków, które kupił przy pierwszym pobycie w Baku. Wszystkie zwierzaki były poprzebierane. Gdyby ktoś pytał, pluszowe zabawki to prezent dla córki. W portfelu miał

zdjęcia małej dziewczynki. Nie była jego córką, ale to bez znaczenia. Na koniec otworzył Zet-4. Musiał jeszcze wykonać ostatni telefon.

Dzwonił do pustej furgonetki. Mikrochip, który wrzucił do zbiornika paliwa, był

zdalnym detonatorem. Jego tajwański wynalazca ochrzcił go nazwą Telefon Komórkowy-Kamikaze. TKK nie miał innych funkcji poza tym, by odebrać sygnał, wykonać zadanie i zginąć. Ten akurat TKK został tak zaprogramowany, że po aktywowaniu rozgrzewał się do sześćdziesięciu trzech stopni Celsjusza. Inne chipy można było zaprogramować na wydawanie wysokich dźwięków, by zakłócać urządzenia elektroniczne czy nawet mylić psy tropiące. Jeszcze inne mogły emitować wyładowania magnetyczne, przez które wariowały radary i urządzenia nawigacyjne.

Chip roztopi się i nie zostawi po sobie żadnych śladów. Poza tym zapali się od niego zbiornik paliwa. Policja i straż pożarna będą musiały natychmiast zareagować na doniesienia o płonącej furgonetce. Przybędą akurat na czas, by uratować resztki pojazdu i nieco dowodów, zostawionych im przez Charlesa, między innymi ślady jego krwi. Temperatura spowoduje wyparowanie z krwi wody, pozostawiając wyraźne plamy na metalowej klamce drzwiczek, uchwycie schowka i innych niespalonych częściach furgonetki. Policja dojdzie do wniosku, że ranny terrorysta próbował przed ucieczką zniszczyć pojazd i dowody. Uznają, że tylko dzięki ich szybkiej reakcji część śladów ocalała.

Charles wystukał numer TKK. Czekał, aż jego sygnał przewędruje czterdzieści kilometrów w kosmos i wróci na ulicę oddaloną o trzy przecznice. Usłyszał dwa krótkie kliknięcia, po czym wrócił ciągły sygnał. To oznaczało, że połączenie zostało dokonane. Chip był zaprojektowany tak, by rozłączyć się z Zet-4, gdy zacznie się rozgrzewać.

Charles odłożył słuchawkę. Spakował do plecaka wszystko poza czterdziestkąpiątką. Chwilę później usłyszał syreny. Zatrzymały się dokładnie tam, gdzie się miały zatrzymać.

Przy płonącej furgonetce.

Podniesiony na duchu nieporównywalnym z niczym poczuciem dobrze wykonanej roboty, Maurice Charles dokończył przygotowania. Zdjął z łóżka jedną z poduszek i położył ją na podłodze pomiędzy łóżkiem a oknem, dokładnie naprzeciwko nocnego stolika. Położył się i spojrzał w prawo, w kierunku łóżka. Krawędź narzuty niemal sięgała podłogi. Patrząc pod łóżkiem, widział drzwi wejściowe. Gdyby ktokolwiek miał wejść do środka, Charles dostrzegłby jego stopy. To wystarczy.

Został w ubraniu i butach na wypadek, gdyby musiał opuszczać pokój w pośpiechu.

Nie przeszkadzały mu jednak. Nic mu już teraz nie przeszkadzało. Ten moment lubił najbardziej. Gdy zasłużył sobie na odpoczynek i na swoją zapłatę.

Wkrótce już nawet dźwięk policyjnych i strażackich syren nie zakłócał jego głębokiego, relaksującego snu.

ROZDZIAŁ 38

Sankt Petersburg, Rosja

Wtorek, 9.31

O 9.22 Piotr Korsow wysłał generałowi Orłowowi niewielki plik z danymi. Zawierał

on listę szyfrowanych połączeń między Azerbejdżanem a Waszyngtonem z ostatnich kilku tygodni. Większość z nich stanowiły połączenia z ambasady do CIA lub NSA.

Rosyjskie Centrum nie odszyfrowało żadnej z tych rozmów, ale Orłow i tak mógł je wykreślić z listy. Takich rutynowych telefonów wykonywano sporo i prawdopodobnie nie miały z Harpunnikiem nic wspólnego.

W ciągu ostatnich kilku dni do NSA telefonowano też z Gobustanu, wioski na południe od Baku. Przed atakiem na platformę. Połączenia między ambasadą a Stanami były na nieco innej częstotliwości niż te z Gobustanu. Oznaczało to, że wykonywano je z różnych telefonów. W notatce dołączonej do pliku Korsow pisał, że czeka na kolejne połączenia z którejkolwiek z tych linii.

Orłow nie żywił zbyt wielkich nadziei. Harpunnik prawdopodobnie nie poinformuje swoich sojuszników o sukcesie. Z kimkolwiek wszedł w konszachty, ten ktoś dowie się o tym z własnych źródeł wywiadowczych.

Sam fakt, że kodowane połączenie satelitarne odegrało w tej sprawie jakąś rolę, był dla Orłowa osobiście nie do zniesienia. To dzięki jego lotom kosmicznym rozwinęła się komunikacja satelitarna. Fakt, że tak umiejętnie korzystają z niej terroryści, rodził pytanie, czy taka technologia w ogóle powinna być rozwijana.

Ten sam problem podzielił ludzi na zwolenników i przeciwników rozszczepienia atomu. Z jednej strony potężne źródło relatywnie czystej energii, ale z drugiej możliwość skonstruowania bomby atomowej. Ale Orłow nie przyłożył do tego ręki.

Do tego nie.

Z drugiej strony, jak napisał Borys Pasternak w jednej z ulubionych powieści generała, Doktorze Żywago: „Nie lubię ludzi, którzy nigdy nie upadli ani się nie potknęli. Ich cnoty są martwe i bez wartości. Życie nie odkryło przed nimi swego piękna”. Postęp musi wydobywać na powierzchnię różne potwory, ludzi pokroju Harpunnika. To pozwala zobaczyć, gdzie tkwią błędy.

Orłow skończył właśnie przeglądać dostarczony materiał, kiedy zabrzmiał brzęczyk jego wewnętrznej linii. Dzwonił Korsow. Był podekscytowany.

-

Złapaliśmy ping.

-

Jaki ping? - zapytał Orłow. Jego oficerowie wywiadowczy mianem ping określali każdy rodzaj komunikacji elektronicznej.

-

Ten sam, który zarejestrowaliśmy, gdy wychodził z Gobustanu - odparł

Korsow.

-

Czy tym razem rozmowa wyszła z Gobustanu?

-

Nie - odpowiedział Korsow. - Połączenie z Baku do jakiegoś bardzo bliskiego miejsca, też w Baku.

-

Jak bliskiego? - zapytał Orłow.

-

Nadawcę i odbiorcę dzieliło mniej niż czterysta metrów - powiedział

Korsow. - Tak małych odległości nie możemy dokładnie zmierzyć.

-

Być może Harpunnik dzwonił do swoich kompanów, którzy też mają kodowaną linię - zasugerował Orłow.

-

Nie sądzę. Połączenie trwało tylko trzy sekundy. O ile możemy stwierdzić, nie było komunikacji głosowej.

-

Więc co wysłano?

-

Tylko pusty sygnał. Wprowadziliśmy do komputera dane kartograficzne.

Groski właśnie nakłada na to sygnał i próbuje go dokładnie zlokalizować.

-

Bardzo dobrze - powiedział Orłow. - Dajcie mi znać, kiedy tylko bę dziecie to mieli.

Od razu po zakończeniu rozmowy Orłow zadzwonił do Mike'a Rodgersa, by powiedzieć mu o niewątpliwym związku Harpunnika z NSA i o jego prawdopodobnym miejscu pobytu. Potem zadzwonił do Odette. Miał nadzieję, że uratowany przez nią Amerykanin jest gotowy, by wyruszyć. Orłow nie chciał wysłać Odette przeciw Harpunnikowi bez pomocy, ale zrobiłby tak, gdyby musiał. Jeszcze bardziej bowiem nie chciał zgubić Harpunnika.

Wykręcając numer Odette, poczuł przypływ nadziei i dobrego humoru. Technologia, którą pomógł wystrzelić w kosmos, była bronią obosieczną. Harpunnik używał

kodowanego połączenia satelitarnego, by unicestwić ludzkie istnienia. Teraz, przy odrobinie szczęścia, połączenie to znajdzie nieoczekiwane zastosowanie.

By zlokalizować i unicestwić Harpunnika.

ROZDZIAŁ 39

Teheran, Iran

Wtorek, 10.07

Szef Najwyższej Rady Dowódczej Sił Zbrojnych Islamskiej Republiki Iranu tuż po świcie otrzymał w domu telefon. Teheran na wielu swoich platformach wiertniczych na Morzu Kaspijskim utrzymywał stacje nasłuchowe. Elektronicznie podsłuchiwały one obce statki i obiekty wojskowe wzdłuż kaspijskich wybrzeży. Każda stacja co pięć minut wysyłała sygnał oznaczający, że jej elektronika działa. Nagłe zamilknięcie Stacji Czwartej było pierwszym sygnałem, jaki dotarł do Teheranu, że coś złego dzieje się na morzu.

Z bazy powietrznej Doshan Tapeh pod Teheranem natychmiast wyleciał F-14 Tomcat.

Był to jeden z dziesięciu, jakie zostały po siedemdziesięciu siedmiu tomcatach, stanowiących część supernowoczesnych sił powietrznych szacha. Myśliwiec potwierdził zniszczenie platformy. Samolot transportowy Kawasaki C-1 natychmiast zrzucił tam ekspertów ratownictwa morskiego i saperów. Podczas gdy z głównej bazy floty kaspijskiej w Bandar-e Anzelli płynęły na miejsce ratunkowe łodzie patrolowe, saperzy znaleźli na platformie ślady ognia, wskazujące na silne materiały wybuchowe. Fakt uszkodzenia spodniej części sugerował atak okrętu podwodnego, w jakiś sposób niewykryty sonarem.

O dziewiątej trzydzieści ratownicy znaleźli coś jeszcze. Ciało rosyjskiego terrorysty, Siergieja Czerkasowa.

To doniesienie zelektryzowało, często niesubordynowanych, oficerów Najwyższej Rady, jak również ministra Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, ministrów spraw zagranicznych, spraw wewnętrznych oraz wywiadu. Umiarkowani dołączyli do ekstremistów i o dziesiątej wydano rozkaz: armia Islamskiej Republiki ma za wszelką cenę bronić irańskich interesów na Morzu Kaspijskim.

Działania na morzu rozpoczęto od obrony przed okrętami podwodnymi. Zmobilizowano wojska lotnicze i śmigłowce zwalczające okręty podwodne. W stan gotowości postawiono także stacjonujące w regionie bataliony piechoty morskiej. Druga linia obrony składała się z niszczycieli i fregat, które miały zostać rozmieszczone wokół pozostałych platform wiertniczych. Siłom broniącym Morza Kaspijskiego przydzielono też chińskiej produkcji rakiety typu „Jedwabnik”.

Przestrzeń powietrzną regularnie patrolowały Shenyangi F-6, również chińskiej produkcji, z baz powietrznych Doshan Tapeh i Mehrabad. Zaalarmowano trzy bataliony rakiet ziemia-powietrze w regionie.

Tymczasem irańskim ambasadam w Moskwie i Baku polecono przekazać tamtejszym rządów oświadczenie, że chociaż śledztwo w sprawie zamachu jest jeszcze w toku, jakiegokolwiek posunięcia godzące w interesy Iranu zostaną uznane za wypowiedzenie wojny. Obydwa rządy poinformowały irańskich dyplomatów, że nie ponoszą odpowiedzialności za atak na platformę. Rosjanie i Azerowie dodali, że wzmożona obecność militarna Iranu nie jest mile widziana. Obydwa państwa poinformowały, że ich siły powietrzne i morskie również zostaną postawione w stan podwyższonej gotowości.

Późnym rankiem nad wodami Morza Kaspijskiego, które dawało utrzymanie rybakom i nafciarzom, zawisła groźba wojny.

ROZDZIAŁ 40

Waszyngton

Wtorek, 1.33

Kiedy zadzwonił generał Orłow, Mike Rodgers był w swoim biurze. Gdy tylko usłyszał, co ma do powiedzenia Rosjanin, zatelefonował do Paula Hooda na komórkę i przekazał najnowsze informacje o Harpunniku.

-

Orłow jest pewien powiązania Harpunnika z NSA? - spytał Hood.

-

Zapytałem go o to. Orłow stwierdził, że tak. Ale nie sądzę, by prezydent dał wiarę słowom jakiegoś rosyjskiego generała.

-

Zwłaszcza gdy kilku czołowych doradców zaprzeczy tej informacji -

dodał Hood.

-

Paul, jeśli Orłow ma rację, to nie wystarczy tylko powiedzieć prezyden towi - stwierdził Rodgers. - Potrzebne będą porządki w NSA. Nie możemy pozwolić, żeby amerykańskie agencje wywiadowcze wynajmowały terrory stów, którzy mają na koncie zniszczenie amerykańskich obiektów i śmierć obywateli amerykańskich.

-

Czyż nie tak właśnie zrobiliśmy z niemieckimi konstruktorami raket po II wojnie światowej? - spytał Hood.

-

Kluczową frazą jest tu „po II wojnie” - odparł Rodgers. - Nie zatrudni liśmy niemieckich

naukowców, kiedy jeszcze budowali rakiety do ataków na Wielką Brytanię.

-

Słuszna uwaga.

-

Paul, to jest gość, który pomógł zabić żonę Boba Herberta. Jeśli informacje Orłowa są prawdziwe, NSA musi za to odpowiedzieć.

-

Słyszę cię - powiedział Hood. - Niedługo będę w Białym Domu. Spróbuj znaleźć mi jakiekolwiek wsparcie. Może Bob wygrzebie w podsłuchu elektronicznym coś, co potwierdzałoby podejrzenia Orłowa.

-

Już nad tym pracuje - odparł Rodgers.

Hood rozłączył się i Rodgers wstał od biurka. Nalał sobie kawy z dzbanka stojącego na wózku. Aluminiowy wózek pochodził z lat pięćdziesiątych. Rodgers kupił go na wyprzedaży w Pentagonie przed dziesięciu laty. Zastanawiał się, czy echa kryzysów z tamtych czasów wciąż rezonowały gdzieś głęboko w molekularnej strukturze wózka. Spory i decyzje dotyczące Korei, zimnej wojny, Wietnamu.

A może to tylko spory o to, kto tym razem stawia kawę i ciastka, rozmyślał

Rodgers. To też oczywiście było częścią wojny. Chwile przestoju, pozwalające decydom złapać oddech. Zrobić coś rzeczywistego zamiast, jak zawsze, teoretycznego. Uświadomić sobie, że mowa o losach prawdziwych ludzi, a nie tylko statystykach.

Usiadł z powrotem i zaczął przeglądać dossier czołowych funkcjonariuszy NSA.

Szukał tych, którzy byli wcześniej powiązani z Jackiem Fenwickiem lub kiedykolwiek zajmowali się bliskowschodnimi grupami terrorystycznymi. NSA nie mogła skontaktować się z Harpunnikiem bez pomocy kogoś z takiej grupy. Jeśli się okaże, że Orłow ma rację, Rodgers chciał być przygotowany do zrobienia czystki.

Czystki wśród Amerykanów współpracujących z człowiekiem, który mordował amerykańskie kobiety i mężczyzn, żołnierzy i cywili.

Chciał być gotów do zemsty.

ROZDZIAŁ 41

Waszyngton

Wtorek, 1.34

Biały Dom jest zabytkiem, starzeje się, potrzebuje remontów. Z południowych kolumn odpada farba, a drewno na tarasach drugiego piętra pęka.

Natomiast w Zachodnim Skrzydle, a zwłaszcza w Gabinetcie Owalnym, panuje atmosfera ustawicznej odnowy. Dla ludzi z zewnątrz znaczącą częścią siły oddziaływania gabinetu jest władza. Dla wtajemniczonych to raczej myśl, że o każdej godzinie, każdego dnia, rozgrywa się tu nowy dramat. Bez względu na to, czy chodzi o niewielki, ostrożny manewr przeciwko politycznemu przeciwnikowi, czy o mobilizację armii w celu przeprowadzenia wielkiej ofensywy z wieloma potencjalnymi ofiarami, każda sytuacja ma swój początek, rozwinięcie i zakończenie. Dla tych, którzy żyją z przechytrzenia rywali lub przewidywania krótko- i długoterminowych efektów tajnych decyzji, Gabinet Owalny stanowi najwyższe wyzwanie. Co chwila pojawia się tu nowa plansza, z nowymi grami i nowymi zasadami. Niektórych prezydentów wykańcza to i postarza, inni dzięki temu kwitną.

Jeszcze do niedawna Michael Lawrence ożywiał się, gdy tylko na jego biurku lądował kolejny problem do rozwiązania. Nie przerażały go kryzysy, nawet takie, które wymagały szybkiej reakcji militarnej, niosącej ryzyko ofiar. Taką miał

pracę. Zadaniem prezydenta jest zminimalizowanie strat wynikających z nieuniknionych interwencji.

Przez ostatnich kilka dni coś się jednak zmieniło. Lawrence zawsze wierzył, że potrafi zachować

kontrolę nad sytuacją, nawet jeśli będzie krytyczna. Że potrafi przezwyciężyć stres. Teraz już tak nie było. Miał poważne trudności, w ogóle nie mógł się skoncentrować.

Lawrence od wielu już lat pracował z Jackiem Fenwickiem i Redem Gable'em. Byli starymi przyjaciółmi wiceprezydenta, a jemu Lawrence ufał. Zawierzał jego ocenom. W przeciwnym wypadku nie wybrałby go na partnera 129

w kampanii. Cotten jako wiceprezydent zaangażował się w działania NSA bardziej niż jakikolwiek jego poprzednik na tym stanowisku. Lawrence'owi to odpowiadało.

CIA, FBI i wywiad wojskowy miały swoje cele. Władza wykonawcza potrzebowała własnych oczu i uszu za granicą. W tym celu Lawrence i Cotten mniej lub bardziej zawłaszczyli NSA. Agencja wciąż oczywiście pełniła swoje ustawowe funkcje, a więc służyła wojsku, koordynując prace amerykańskiego wywiadu. Za Cottena jej rola została jednak po cichu rozszerzona, by zwiększyć zakres i szczegółowość danych dostarczanych bezpośrednio prezydentowi. Czy też raczej Fenwickowi i wiceprezydentowi, a dopiero potem - prezydentowi.

Prezydent wpatrywał się w ekran laptopa stojącego na biurku. Jack Fenwick mówił

o Iranie. Z NSA szybko ściągały się dane. Fenwick dysponował kilkoma faktami i sporą dozą przypuszczeń. Oraz przewagą. Wydawał się do czegoś zmierzać, choć jeszcze nie zdradził, do czego.

Tymczasem Lawrence'a piekły oczy, wzrok miał zamglony. Nie mógł się skupić. Był

zmęczony, ale też rozproszony. Nie wiedział, komu wierzyć ani nawet w co wierzyć. Czy dane z NSA są prawdziwe, czy fałszywe? Czy informacje Fenwicka są trafne, czy sfabrykowane?

Paul Hood podejrzewał Fenwicka o oszustwo. Sugerował nawet, że ma jakieś dowody.

A jeśli te dowody okażą się niewiarygodne? Hood przechodził teraz trudny okres.

Zrezygnował ze stanowiska w Centrum Szybkiego Reagowania, potem na nie wrócił.

Był w samym centrum dramatycznych wydarzeń w ONZ-ecie. Jego córka cierpiała z powodu stresu pourazowego. Właśnie się rozwodził.

A jeśli to Hood prowadzi własną grę, a nie Fenwick, zastanawiał się prezydent.

Kiedy Fenwick poprzednio przyjechał do Białego Domu, przyznał, że odwiedził

ambasadę irańską. Otwarcie to przyznał. Utrzymywał jednak, że prezydent był o tym poinformowany. Wiceprezydent potwierdził ten fakt. Podobnie kalendarz w prezydenckim komputerze. Co do telefonu w sprawie inicjatywy ONZ, Fenwick twierdził, że to nie on go wykonał. Oznajmił, że NSA zbada tę sprawę. Czy dzwoniącym mógł być Hood?

-

Panie prezydencie - odezwał się Fenwick.

Prezydent spojrział na niego. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego siedział w fotelu na lewo od biurka, Gable z prawej, naprzeciwko zaś wiceprezydent.

-

Tak, Jack? - odparł prezydent.

-

Czy dobrze się pan czuje? - spytał Fenwick.

-

Tak - odparł Lawrence. - Kontynuuj.

Fenwick uśmiechnął się, przytaknął i zaczął mówić dalej. Prezydent poprawił się w fotelu. Musi się skoncentrować. Kiedy upora się już z obecnym kryzysem, wybierze się na krótki urlop. Już wkrótce. Zaprosi 130

też swojego przyjaciela z dzieciństwa i partnera do golfa, doktora Edmonda Leidesdorfa wraz z żoną. Leidesdorf jest psychiatrą. Prezydent nie chciał

skonsultować się z nim oficjalnie, bo zaraz dowiedziałyby się o tym prasa, a wtedy jego polityczna kariera byłaby skończona. Już wcześniej jednak grywali z Leidesdorfem w golfa i żeglowali. Na polu golfowym czy na jachcie będą mogli porozmawiać bez wzbudzania podejrzeń.

-

Na miejscu eksplozji znaleziono ciało rosyjskiego terrorysty, Siergieja Czerkasowa - ciągnął Fenwick. - Trzy dni przed atakiem uciekł z więzienia. Ciało wyłowiono z morza. Ślady poparzeń pasujące do środków wybuchowych. Prawie nie napuchło. Czerkasow nie mógł być w wodzie zbyt długo.

-

Czy Azerowie posiadają te informacje? - zapytał prezydent.

-

Sądzymy, że tak - odparł Fenwick. - Irański patrol morski, który znalazł

Czerkasowa, nadał wiadomość otwartym kanałem. Azerowie rutynowo monitorują takie kanały.

-

Być może Teheran chciał, żeby reszta świata się dowiedziała - zasugerował prezydent. - Taka informacja stawia Rosję w złym świetle.

-

To możliwe - zgodził się Fenwick. - Możliwe też, że Czerkasow pracował dla Azerbejdżanu.

-

Siedział w azerbejdżańskim więzieniu - wtrącił wiceprezydent. - Mogli pozwolić mu uciec, żeby to jemu przypisano winę za atak.

-

Jak bardzo jest to prawdopodobne? - zapytał prezydent.

-

Sprawdzamy właśnie źródła w tym więzieniu - powiedział Fenwick. -

Wygląda jednak, że bardzo prawdopodobne.

-

Co oznaczałoby, że zamiast zwrócić za pomocą ataku Iran przeciw Rosji, Azerbejdżanowi mogło powieść się sprzymierzenie tych krajów przeciwko sobie - stwierdził wiceprezydent.

Fenwick pochylił się do przodu.

-

Panie prezydencie, jest coś jeszcze. Podejrzewamy, że stworzenie sojuszu Iranu z Rosją mogło być w gruncie rzeczy celem azerbejdżańskiego rządu.

-

Czemu, u diabła, mieliby tego chcieć? - zapytał prezydent.

-

Ponieważ praktycznie rzecz biorąc, w Górnym Karabachu już prowadzą wojnę z Iranem - powiedział Fenwick. - Poza tym zarówno Rosja, jak i Iran wysuwały roszczenia względem części ich pól naftowych na Morzu Kaspijskim.

-

Azerbejdżan nie miałyby szans z żadnym z tych państw osobno - stwierdził prezydent. - Dlaczego miałyby je sprzymierzać?

Już kiedy to mówił, wiedział dlaczego. By zdobyć sojuszników.

-

Jaka część naszej ropy pochodzi z tego regionu? - zapytał.

-

Siedemnaście procent w tym roku, z prognozowanymi dwudziestoma w następnym - poinformował go Gable. - Mamy w Baku lepsze ceny niż na Bliskim Wschodzie. Gwarantuje nam to porozumienie handlowe z Baku zawarte w 1993 roku. Bardzo sumiennie dotrzymywali swojej części umowy.

-

Cholera - zaklął prezydent. A co z pozostałymi członkami Wspólnoty Niepodległych Państw? Czyją wezmą stronę, kiedy dwa państwa członkowskie staną do wojny?

-

Pozwoliłem sobie poprosić moich ludzi, żeby zadzwonili do wszystkich naszych ambasadorów, zanim tu przyszedłem - powiedział wiceprezydent.

- Jesteśmy w trakcie ustalania, kto jakie zajmie stanowisko. Według wstępnych ocen głosy rozłożą się mniej więcej po równo. Pięć czy sześć najmniej szczytów, najbardziej potrzebnych republik opowie się za Azerbejdżanem w nadziei zawiązania nowego sojuszu i podziału pieniędzy z ropy. Druga połowa z tych samych powodów wybierze Rosję.

-

Zatem ryzykujemy też większą wojnę - powiedział prezydent.

-

Tyle że chodzi tu o coś więcej niż tylko możliwość utraty przez nas źródeł ropy i wybuchu wojny - stwierdził Fenwick. - Boję się, żeby irański i rosyjski czarny rynek nie położyły łap na petrodolarach.

Prezydent pokręcił głową.

-

Muszę wprowadzić w sprawę szefów sztabów.

Wiceprezydent potaknął.

-

Musimy działać szybko. Tam jest teraz późny ranek. Wszystko rozegra się błyskawicznie. Jeśli nas wyprzedzą...

-

Wiem - przerwał mu prezydent.

Poczuł nagły przyływ energii. Był gotowy stawić czoło sytuacji. Spojrzał na zegarek, a następnie na Gable'a.

-

Red, poprosisz tu połączonych szefów na trzecią? Wyciągnij też z łóżka sekretarza prasowego. Chcę, żeby też tu był. - Przeniósł spojrzenie na wice prezydenta. - Musimy zaalarmować Trzydzieste Dziewiąte Skrzydło w In-cirlik i jednostki morskie w regionie.

-

Mamy tam „Constellation” na północy Morza Arabskiego i „Ronalda Reagana” w Zatoce Perskiej, panie prezydencie - powiedział Fenwick. - Ja ich zaalarmuję. - Przeprosił i wyszedł do prywatnego studia prezydenta. Było to niewielkie pomieszczenie przyległe do Gabinetu Owального od zachodu.

Tam też znajdowała się prywatna łazienka prezydenta i jego jadalnia.

-

Musimy też poinformować dowództwo NATO - zwrócił się prezydent do Gable'a. - Nie chcę, żeby nas wstrzymywali, kiedy już zdecydujemy się działać. Będziemy też potrzebować informacji o biologicznym i chemicznym potencjale azerbejdzańskiej armii. Musimy wiedzieć, jak daleko goto wi się posunąć, jeśli nie wkroczymy.

-

Już to mam, panie prezydencie - zameldował Fenwick. - Duże zapasy węglika, a jeśli chodzi o broń chemiczną, także cyjanometylu i acetonitrylu.

Wszystko przenoszone raketami ziemia-ziemia. Większość tych zasobów zgromadzona jest niedaleko lub w samym Górnym Karabachu. Obserwujcie my, czy są przemieszczane.

Prezydent pokiwał głową, równocześnie zabrzączał interkom.

-

Panie prezydencie - powiedziała Charlotte Parker z sekretariatu - Paul Hood chciałby się z panem widzieć. Mówi, że to bardzo ważne.

Fenwick nie okazał żadnej reakcji. Odwrócił się do Gable'a i zaczął cichą konwersację, wskazując jakieś dane na swoim palmtopie.

Rozmawiają o Morzu Kaspijskim czy o Hoodzie? - zastanawiał się Lawrence.

Pomyślał przez chwilę. Jeśli to Hood zbłądził - umyślnie czy też poddany jakiejś presji - to właśnie nadarza się okazja, aby się o tym przekonać.

-

Powiedz, żeby wszedł - polecił.

ROZDZIAŁ 42

Sankt Petersburg, Rosja

Wtorek, 9.56

Zlokalizowaliśmy Harpunnika! - Korsow wbiegł do gabinetu Orłowa. Generał

podniósł wzrok. Za młodym oficerem podążał Borys Groski, który wyglądał mniej ponuro niż kiedykolwiek za pamięci Orłowa. Nie miał szczęśliwej miny, ale nie miał też cierpiętniczkiej. Korsow trzymał w dłoni kilka kartek.

-

Gdzie jest? - zapytał Orłow.

Korsow rzucił na biurko komputerowy wydruk. Była na nim mapka ze strzałką wskazującą budynek. Druga strzałka wskazywała inny budynek, kilka przecznic dalej.

-

Sygnał pochodził z hotelu w Baku - powiedział Korsow. - Stamtąd do tarł na ulicę Sulejmana Ragimowa. Biegnie równolegle do ulicy Bakihano-wa, na której mieści się hotel.

-

Dzwonił do kogoś na komórkę? - spytał Orłow.

-

Raczej nie - stwierdził Groski. - Monitorowaliśmy radiostacje policyjne w okolicy, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o eksplozji na platformie. Usłyszeliśmy przy okazji o wybuchu furgonetki na Sulejmana Ragimowa. Śledz two w toku.

-

Nie wygląda to na zbieg okoliczności - dodał Korsow.

-

Nie wygląda - przyznał Orłow.

-

Założmy, że stoi za tym Harpunnik - powiedział Korsow. - Może chciał to zobaczyć z okna pokoju hotelowego...

-

Nie musiał, wystarczyło, że mógł usłyszeć eksplozję - stwierdził Orłow.

- Nie. Harpunnik nie chciałby ryzykować, raczej nie zostawałby w pokoju.

Czy możemy jakoś precyzyjniej zlokalizować sygnał?

-

Nie. - Korsow pokręcił głową. - Trwał zbyt krótko, a nasz sprzęt nie jest na tyle czuły, żeby zmierzyć wysokość z dokładnością poniżej sześćdziesięciu metrów.

-

Czy możemy ściągnąć skądś plan hotelu? - spytał Orłow.

-

Mam go tutaj. - Korsow wyjął z pliku jedną kartkę i położył ją obok mapki. Był na niej plan dziewięciopiętrowego hotelu.

-

Natasza próbuje właśnie włamać się na ich listę rezerwacji - powiedział

Groski. Miał na myśli komputerowego geniusza z Centrum, dwudziestotrzy-letnią Nataszę Rewską. - Jeśli się jej uda, dostarczy nam nazwiska wszystkich samotnych mężczyzn, którzy zatrzymali się w hotelu.

-

Niech sprawdzi też samotne kobiety - zarządził Orłow. - Wiemy, że Harpunnik stosował najróżniejsze kamuflaże.

Groski skinął głową.

-

Co o tym sądzisz? Mamy go? - spytał Orłow.

Przez cały ten czas Korsow stał pochylony nad biurkiem. Teraz wyprostował się na baczność, wypinając pierś.

-

Z całą pewnością - odpowiedział.

-

Dobrze - powiedział Orłow. - Zostawcie mi plan hotelu. Zrobiliście kawał świetnej roboty. Dziękuję wam obu.

Kiedy Groski z Korsowem wyszli, Orłow wziął telefon. Chciał powiedzieć Odette o hotelu i posłać ją na miejsce. Oby ten Amerykanin odzyskał już siły na tyle, by z nią iść.

Harpunnik nie był kimś, kogo dałoby się pokonać w pojedynkę.

ROZDZIAŁ 43

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 10.07

Kiedy zabrzączał telefon, Odette Kolker zmywała akurat po śniadaniu. Dzwonił

aparat stacjonarny, nie komórka. A więc nie był to generał Orłow.

Poczekala, aż włączy się automatyczna sekretarka. Rozległ się głos kapitana Kilara, dowódcy jej jednostki policji. Nie było go, kiedy z samego rana zadzwoniła do oficera dyżurnego i powiadomiła, że bierze dziś zwolnienie. Teraz kapitan chciał jej tylko życzyć szybkiego powrotu do zdrowia. Pochwalił ją przy okazji za pracowitość i profesjonalizm, a potem stwierdził, że powinna wziąć tyle wolnego, ile jej potrzeba na rekonwalescencję.

Odette poczuła się trochę głupio. Rzeczywiście była pracowita. I chociaż Komenda Miejska Policji w Baku płaciła stosunkowo nieźle - dwadzieścia tysięcy manatów, równowartość ośmiu tysięcy dolarów amerykańskich - nie dawała dodatku za nadgodziny. Z drugiej jednak strony, w godzinach pracy Odette nie zawsze faktycznie pracowała dla policji. Czy to przy komputerze, czy na ulicach, często zdarzało jej się wykonywać zadania dla generała Orłowa. Baku było bazą wypadową dla licznych handlarzy bronią i terrorystów działających na terenie Rosji i innych republik postsowieckich. Sprawdzanie podań wizowych, deklaracji celnych i list pasażerów statków, samolotów i pociągów pozwalało jej mieć wielu z tych ludzi na oku.

Kiedy już zmyła tych kilka talerzy, Odette odwróciła się i spojrzała na swego gościa. Amerykanin zasnął i oddychał miarowo. Położyła mu na czole mokry kompres i teraz już pocił się mniej, niż kiedy przyniosła go do domu. Widziała siniaki na jego gardle. Wyglądały jak ślady po duszeniu. Najwyraźniej incydent w szpitalu nie był pierwszym zamachem na jego życie. Na szyi Battata dostrzegła mały czerwony punkcik. Jak ślad po ukłuciu. Może jego choroba była wynikiem wstrzyknięcia jakiegoś wirusa? KGB i służby innych państw wschodnioeuropejskich kiedyś używały podobnych metod, stosując zabójcze wirusy lub truciznę. Toksynę umieszczano wewnątrz mikroskopijnej powlekannej kapsułki z licznymi otworkami na powierzchni. Mikrokapsułki wstrzykiwano za pomocą szpica parasolki, końcówki pióra lub innego ostro zakończonego przedmiotu. Zawartość kapsułki uwalniała się do organizmu stopniowo, od kilku minut do godziny czy dwóch. To dawało zabójcy czas na ucieczkę. Battatowi prawdopodobnie też coś wstrzyknięto, ale raczej nie po to, by go zabić. Został użyty do wywabienia swoich kolegów na otwartą przestrzeń. Zasadzka w szpitalu była dobrze zorganizowana.

Podobnie jak zasadzka, w której zabito w Czeczenii jej męża, pomyślała. Jej męża, jej ukochanego, jej mistrza, jej najdroższego przyjaciela. Wiktor zginął

gdzieś na zimnym, ciemnym i pustym górskim zboczu. Została sama.

Wiktorowi udało się przeniknąć w szeregi czeczeńskich mudzahedinów. Przez siedem miesięcy miał dostęp do stale zmienianych częstotliwości radiowych, na których porozumiewały się oddziały rebeliantów. Wiktor zapisywał te informacje i zostawiał oficerowi polowemu KGB, który przekazywał je radiowo do Moskwy.

Któregoś razu idiocie z KGB coś się pomieszało. Pomylił częstotliwość, której miał użyć, z tą, o której miał raportować. Zamiast połączyć się ze zwierzchnikami, nadawał bezpośrednio do jednego z rebelianckich obozów. Oficera złapano, torturowano, by wydobyć z niego informacje, a na koniec zabito. Nie znał imienia Wiktora, ale wiedział, który oddział infiltrował jej mąż i kiedy do nich przystał. Przywódcy rebeliantów bez trudu ustalili, kto jest rosyjskim agentem. Wiktor zawsze zostawiał

informacje pod skałą, którą w widoczny sposób naciął. Gdy poszedł tam, rzekomo idąc na wartę, rzuciło się na niego dziesięciu mężczyzn i zanosło wyżej w góry.

Tam przecięli mu ścięgna Achillesa i otwarli nadgarstki. Wiktor wykrwawił się na śmierć, zanim zdołał doczołgać się po pomoc. Swoją ostatnią wiadomość wypisał na pniu drzewa własną krwią. Było to niewielkie serduszko z inicjałami żony w środku.

Telefon komórkowy Odette zadzwieczał cicho. Podniosła go z kuchennego blatu i odwróciła się tyłem do swego gościa. Mówiła ściszym głosem, żeby go nie budzić.

- Tak?

-

Chyba znaleźliśmy Harpunnika.

Odette nagle się ożywiła.

-

Gdzie?

-

W hotelu, niedaleko ciebie - powiedział Orłow. - Próbujemy teraz do kładnie określić jego pokój.

Odette cicho podeszła do łóżka. Broń służbową musiała zdawać, kiedy opuszczała komendę po pracy. W szafce nocnej trzymała jednak zapasowy pistolet, zawsze naładowany. Mieszkająca samotnie kobieta musi być ostrożna. Szpieg w swoim czy obcym kraju musi być ostrożny nawet bardziej.

-

Jakie zadanie? - spytała Odette.

-

Eliminacja - odparł Orłow. - Nie możemy ryzykować, że ucieknie.

-

Zrozumiałam. - Głos Odette brzmiał beznamiętnie. Wierzyła w swoją pracę, obronę interesów swego państwa. Nie miała obiektywności wobec zabijania, które ratowało wiele istnień ludzkich. Mężczyzna, którego wyeliminowała zaledwie kilka godzin wcześniej, znaczył dla niej niewiele więcej od

mijanego na ulicy przechodnia.

-

Kiedy już zawężymy listę podejrzanych gości, do ciebie należeć będzie ostateczna identyfikacja - powiedział Orłow. - Wszystko zależy od tego, co będzie robił, jak zareaguje. Co zobaczysz w jego oczach. Do tego czasu weźmie już pewnie prysznic, ale i tak będzie wyglądał na zmęczonego.

-

Skurczybyk się napracował - stwierdziła Odette. - Potrafię to poznać po człowieku.

-

Najprawdopodobniej nie otworzy drzwi personelowi hotelu - ciągnął Orłow. - Jeśli będziesz udawać pokojówkę czy ochronę, tylko go to zaalarmuje.

-

Też tak sądzę. Znajdę sposób, żeby wziąć go z zaskoczenia.

-

Rozmawiałem z naszym psychologiem - powiedział Orłow. - Kiedy Harpunnik zrozumie, że wpadł, będzie prawdopodobnie opanowany, uprzejmy, może nawet skłonny do współpracy. Będzie próbował cię przekupić albo sprawić, żebyś poczuła się zbyt pewnie. Postara się, żebyś opuściła gardę, i wtedy zaatakuje. Nawet go nie słuchaj. Dokonaj identyfikacji i wykonaj robotę. Nie zdziwiłbym się też, gdyby przygotował kilka pułapek. Kanister 136

z benzyną w szybkiej wentylacyjnej bombie, może tylko magnezja, żeby oślepić cię błyskiem. Mógł to podłączyć do włącznika światła albo pilota w obcasie, czegoś, co mógłby uruchomić, wiążąc but. Po prostu za mało o nim wiemy, żeby móc powiedzieć, jak zwykle zabezpiecza pomieszczenie.

-

W porządku - zapewniła go Odette. - Zidentyfikuję go i zneutralizuję.

-

Chciałbym móc polecić ci wejść tam z oddziałem policji - powiedział

Orłow przepraszająco. - Tyle że to nie byłoby rozsądne. Jeden krzyk, zmiana w ruchu drogowym, cokolwiek niezwykłego mogłoby go zaniepokoić.

Harpunnik mógłby też wyczuć ich obecność. Uciekłby wtedy, zanim w ogóle byś do niego dotarła. Mógłby też wziąć zakładników.

-

Rozumiem. W porządku. Gdzie zatrzymał się Harpunnik?

-

Zanim ci to powiem, jak tam twój gość? - zapytał Orłow.

-

Śpi teraz — odparła. Spojrzała na mężczyznę na łóżku. Leżał na plecach z ramionami przy bokach. Jego oddech był powolny i ciężki. - Na cokolwiek choruje, zostało to zapewne wywołane sztucznie. Chyba mu coś wstrzyknięto.

-

Co z gorączką?

-

Trochę spadła, wydaje mi się - powiedziała. - Wyjdzie z tego.

-

Świetnie - stwierdził Orłow. - Obudź go.

-

Panie generale? - Rozkaz kompletnie ją zaskoczył.

-

Chcę, żebyś go obudziła - polecił jej Orłow. - Weźmiesz go ze sobą.

-

Ależ to niemożliwe! - zaprotestowała. - Nie jestem nawet pewna, czy może ustać na nogach.

-

Ustoi. Będzie musiał.

-

Panie generale, to mi nie pomoże...

-

Nie pozwolę ci zmierzyć się z Harpunnikiem bez wsparcia kogoś do świadczonego - powiedział Orłow. - Znasz procedurę. Zrób to.

Odette pokręciła głową. Znała procedurę. Wiktor ją nauczył. Do podeszew stóp należy przyłożyć zapalone zapalki. Nie tylko budziło to chorych czy nieprzytomnych z powodu tortur, ból przy chodzeniu trzyma ich w świadomości i zmusza do skupienia uwagi.

Pokręciła głową. Praca w terenie jest z zasady solowa. A współpraca z kimś, nawet na krótko, bardzo ryzykowna. Wiktor przypłacił taką współpracę życiem.

Nawet jeśli Amerykanin czuje się dobrze, Odette nie była pewna, czy chce partnera. Chory zaś będzie raczej obciążeniem niż atutem.

-

W porządku - powiedziała. Odwróciła się od Amerykanina i ruszyła w stronę aneksu kuchennego. - Więc gdzie on jest?

-

Sądzymy, że Harpunnik jest w hotelu Hyatt - poinformował ją Orłow. -

Staramy się właśnie przejrzeć ich dokumentację elektroniczną. Dam ci znać, jeśli czegoś się z niej dowiemy.

-

Będę tam za dziesięć minut - oznajmiła Odette. - Czy coś jeszcze, panie generale?

-
Jeszcze tylko jedno - powiedział Orłow. - Mam poważne obiekcje, że posyłam cię na tego człowieka. Obydwoje macie być ostrożni.

-
Będziemy. I dziękuję panu.

Rozłączyła się i zaczepiła telefon na pasku. Z szafki nocnej wzięła pistolet i kaburę na łydkę, po czym założyła ją. Długa spódnica policyjnego munduru zakryje broń. Do prawej kieszeni wsunęła tłumik. Do szpitala wzięła nóż sprężynowy.

Wciąż tkwił w lewej kieszeni spódnicy. Nawet jeśli nie będzie potrzebny do samoobrony, może przydać się do podrzucenia. Powiedzmy, że kiedy już załatwi Harpunnika, zatrzymają na przykład hotelowa ochrona. Mogłaby się wtedy tłumaczyć, że przyszła odwiedzić znajomego - oczywiście kogoś, kto już się wymeldował. Zapukała do niewłaściwych drzwi i została zaatakowana przez Harpunnika. Z jej pomocą - dzięki informacjom dostarczonym przez Orłowa i Amerykanów - policja powiązałaby zabitego z atakiem terrorystycznym.

Przy pewnej dozie szczęścia nie trzeba będzie jednak nic nikomu wyjaśniać.

Działając z zaskoczenia, Odette mogła złapać Harpunnika stosunkowo nieprzygotowanego.

Na lekko ugiętych kolanach podkrađła się do drzwi wyjściowych. Deski parkietu zaskrzypiały głośno pod jej ciężarem. To dziwne, pomyślała Odette. Nigdy wcześniej nie musiała się tu zachowywać cicho. Do dzisiaj nie było w tym łóżku nikogo poza nią samą. Nie żałowała. Wiktor był dla niej wszystkim!. Teraz niczego już w życiu nie pragnęła.

Otworzyła drzwi. Zanim wyszła, spojrzała jeszcze na śpiącego Amerykanina.

Nie czuła się dobrze, okłamując generała Orłowa. Chociaż podstępny i oszustwa były w jej zawodzie chlebem powszednim, nigdy nie skłamała Orłowowi. Na szczęście z tej sytuacji istniały dla niej tylko dobre wyjścia. Jeśli uda jej się załatwić Harpunnika, Orłow będzie na nią zagniewany - ale nie bardzo. Jeśli zawiedzie - i tak nie usłyszy już wymówek Orłowa.

Odette wyszła na korytarz i cicho zamknęła za sobą drzwi. Jeśli schrzani to zadanie, będzie pewnie musiała wysłuchiwać wymówek Wiktora. Wysłuchiwać przez całą wieczność.

Uśmiechnęła się. To też dobre wyjście.

Waszyngton

Wtorek, 2.08

Ochroniarz otworzył drzwi Gabinetu Owального, by wpuścić Paula Hooda. Wielkie białe drzwi zamknęły się z cichym stukiem. Dźwięk wydał się Hoodowi bardzo głośny, podobnie jak bicie własnego serca. Nie 138

ma pewności, czy Fenwick faktycznie zdradził, czy wciąż pracuje dla drużyny. Tak czy inaczej, przekonanie pozostałych o istnieniu międzynarodowego spisku będzie niezwykle trudne.

Zanim jeszcze Hood ujrzał twarze wiceprezydenta, Fenwicka i Gable'a, wyczuł ich wrogość. Żaden z nich nie odwzajemnił jego spojrzenia, a wyraz twarzy prezydenta był surowy. Mike Rodgers opowiadał, że kiedy zaciągnął się do wojska, oficer dowodzący jego oddziałem miał bardzo specyficzny sposób wyrażania dezaprobaty.

Patrzył na ciebie, jakby chciał urwać ci głowę i użyć jej do trenowania dalekich wykopów.

Prezydent patrzył w taki właśnie sposób.

Hood szybko wymanewrował pomiędzy fotelami do prezydenckiego biurka. W oknie za plecami prezydenta widać było pomnik Waszyngtona. Iglica jaśniała na tle płaskiego, ciemnego nieba. Widok ten dodał Hoodowi odwagi.

-

Proszę wybaczyć moje najście, panie prezydencie, panowie - zagał. -

To nie mogło czekać.

-

U pana nic nigdy nie może czekać, prawda? - rzucił Fenwick. Wbił

wzrok w zieloną teczkę na kolanach.

Uderzenie wyprzedzające, pomyślał Hood. Skurczybyk jest niezły. Hood odwrócił

się i spojrzał na szefa NSA. Był to niski, drobny mężczyzna o głęboko osadzonych oczach i kędzierzawej czuprynie gęstych, siwych włosów. Biel włosów podkreślała ciemny kolor jego oczu.

-

Wasz zespół ma za sobą tradycję ślepego rzucania się w wir wydarzeń, panie Hood. Korea Pomocna, dolina Bekaa, ONZ. Jesteście zapaloną zapalniczką, czekającą na niewłaściwą beczkę prochu.

-

Jak dotąd żadnej nie wysadziliśmy - stwierdził Hood.

-

Jak dotąd - przyznał Fenwick. Spojrzał na Lawrence'a. - Panie prezydencie, musimy dokończyć przegląd danych, żeby mógł pan podjąć decyzję w sprawie sytuacji wokół Morza Kaspijskiego.

-

A co wspólnego z tą sytuacją ma Maurice Charles? - natarł Hood. Wciąż patrzył na Fenwicka. Nie pozwoli mu się z tego wywinąć.

-

Charles? Ten terrorysta? - zapytał Fenwick.

-

Ten właśnie - przytaknął Hood. Nie powiedział nic więcej. Czekał na reakcję.

Prezydent spojrzał na Fenwicka.

-

Czy NSA wiedziała, że Charles ma z tym coś wspólnego?

-

Tak, panie prezydencie, wiedzieliśmy przyznał Fenwick. - Nie wie dzieliśmy jednak, jakiego rodzaju jest to związek. Badamy to.

-

Być może będę w stanie panu pomóc, panie Fenwick - powiedział Hood.

- Maurice Charles kontaktował się z NSA zarówno przed, jak i po ataku na irańską platformę wiertniczą.

-
Gówno prawda! - wypalił Fenwick.

-
Wydaje się pan tego pewien - stwierdził Hood.

-
Bo jestem! - powiedział Fenwick. - Nikt z moich podwładnych nie ma z tym człowiekiem nic wspólnego!

Jak Hood przewidywał, Fenwick wybrał metodę trzech zet: zaprzeć się, zaangażować, zagrać na zwłokę. Jednak ani wiceprezydent, ani Gable nie skoczyli mu na pomoc. Dlaczego? Może wiedzieli, że to prawda?

Hood zwrócił się do prezydenta.

-
Panie prezydencie, mamy mocne podstawy sądzić, że Charles, Harpunnik, brał udział w zniszczeniu tej platformy.

-
Skąd dowody? - naciskał Fenwick.

-
Z niepodważalnego źródła - odparł Hood.

-
Czyli? - zapytał wiceprezydent Cotten.

Hood odwrócił się w jego stronę. Wiceprezydent był opanowanym i rozsądnym człowiekiem. Hooda czekała teraz ciężka przeprawa.

-
Od generała Siergieja Orłowa, dowódcy rosyjskiego Centrum Operacyjnego.

Gable pokręcił głową. Fenwick przewrócił oczami.

-

Rosjanie - wycedził lekceważąco wiceprezydent. - To oni mogli wysłać Czerkasowa, żeby zaatakował platformę. Jego ciało znaleziono w pobliżu.

-

Moskwa ma wszelkie powody, żeby nie chcieć naszej obecności w re gionie - powiedział Gable. - Kiedy Azerbejdżan zostanie wykurzony z Morza Kaspijskiego, Rosja zagarnie więcej ropy. Panie prezydencie, proponuję odłożyć ten problem do czasu, kiedy uporamy się z poważniejszą kwestią irańskiej mobilizacji.

-

Przejrzeliśmy dane dostarczone przez Orłowa i sądzimy, że są prawdziwe - oświadczył Hood.

-

Chciałbym zobaczyć te dane - powiedział Fenwick.

-

Zobaczy pan - obiecał Hood.

-

Ale chyba nie przekazał pan przypadkiem generałowi Orłowowi kluczy szyfrujących, żeby pomóc mu w odsłuchaniu rzekomych połączeń z NSA, prawda?

Hood zignorował tę uwagę.

-

Panie prezydencie, Harpunnik jest mistrzem kamuflażu i stosuje najrozmaitsze przykrywki. Jeśli on za tym stoi, musimy dokładnie przyjrzeć się każdej wpływającej informacji. Powinniśmy też uprzedzić Teheran, że ta akcja może nie mieć nic wspólnego z Baku.

-

Nic? - powiedział Fenwick. - Równie dobrze to Azerbejdżan mógł wyjąć Harpunnika.

-

Niewykluczone - przyznał Hood. - Chcę jedynie powiedzieć, że nie mamy żadnych pewnych informacji poza tą, że Harpunnik przebywa w re gionie i prawdopodobnie brał udział w ataku.

-
Informacje z drugiej ręki - mruknął Fenwick. - Poza tym spędziłem cały dzień, próbując nawiązać z Teheranem rozmowę na temat wymiany danych wywiadu. Konkluzja jest taka: oni nie ufają nam, my nie ufamy im.

-
Nie taka jest konkluzja! - warknął Hood. Przerwał. Nie wolno mu oka zywać gniewu. Jest sfrustrowany i skrajnie zmęczony. Jeśli jednak straci panowanie nad sobą, straci też wiarygodność. - Konkluzja - ciągnął już spokojnie - jest taka, że między NSA, CIOC a Gabinetem Ovalnym regu larnie przekazywano dezinformację...

-
Panie prezydencie, musimy kontynuować - powiedział chłodno Fen wick. - Iran przemieszcza swoje okręty wojenne po Morzu Kaspijskim. To akurat jest fakt i musimy odnieść się do niego bezzwłocznie.

-
Zgadzam się. - Wiceprezydent przeniósł wzrok na Hooda. Jego spojrze nie pełne było poczucia wyższości. - Paul, jeśli masz wątpliwości co do działań personelu NSA, powinieneś zanieść swoje dowody do CIOĆ, a nie do nas. Oni się tym zajmą.

-
Kiedy będzie już za późno - powiedział Hood.

-
Za późno na co? - spytał prezydent.

Hood odwrócił się do prezydenta.

-
Nie znam jeszcze odpowiedzi na to pytanie - przyznał. - Ale uważam, że powinien pan na razie powstrzymać się z wszelkimi decyzjami dotyczącymi rejonu Morza Kaspijskiego.

Fenwick pokręcił głową.

-

Opierając się na pogłosce od Rosjan, którzy sami zapewne przesuwają już tam swoje samoloty i okręty.

-

Pan Fenwick ma słuszość - powiedział prezydent.

-

Rosjanie rzeczywiście mogą mieć zakusy na kaspijską ropę - zgodził się Hood. - To jednak samo w sobie nie podważa wiarygodności generała Orłowa.

-

Ile czasu potrzebujesz, Paul?

-

Proszę dać mi jeszcze dwanaście godzin.

-

Dwanaście godzin pozwoli Iranowi i Rosji umieścić okręty na azerbejdzańskich akwenach roponośnych - zauważył Gable.

Prezydent spojrział na zegarek. Pomyślał przez chwilę.

-

Daję ci pięć godzin - stwierdził.

Nie tego chciał Hood, ale było oczywiste, że więcej nie dostanie. Dobre i to.

-

Będę potrzebował biura - powiedział Hood. Nie chciał tracić czasu na powrót do Centrum.

-

Weź Salę Gabinetową - powiedział prezydent. - Dzięki temu będę pewien, że do siódmej skończysz. O tej godzinie tam zaczynamy.

-

Dziękuję, panie prezydencie.

Odwrócił się. Wychodząc z Gabinetu Owального, zignorował pozostałych. Wyczuwał od nich wrogość znacznie większą, niż kiedy tu wchodził. Hood nie wątpił, że trafił

w dziesiątkę. Tylko strzał był za słaby.

Nie należało oczekiwać, że prezydent kupi wszystko, co Hood mu powie. Nawet po ich wcześniejszej rozmowie Lawrence najwyraźniej nie chciał pogodzić się z myślą, że Jack Fenwick może być zdrajcą. Przynajmniej jednak nie odrzucił

całkowicie tej myśli.

Hood szedł cichym, wyłożonym zielonym chodnikiem korytarzem Zachodniego Skrzydła. Minał dwóch milczących oficerów ochrony. Jeden stał przed Gabinetem Owalnym. Drugi nieco dalej w korytarzu, między drzwiami do biura sekretarza prasowego na północno-zachodnim końcu a wejściem do Sali Gabinetowej od północnego wschodu.

Hood wszedł do podłużnego pomieszczenia. Na środku stał wielki stół

konferencyjny. Za nim, w końcu sali, stało biurko z komputerem i telefonem. Hood podszedł do niego i usiadł.

Po pierwsze, musi się skontaktować z Herbertem. Niech się postara znaleźć więcej informacji na temat kontaktów Harpunnika z NSA. Ale nawet dokładne daty i miejsca połączeń zapewne nie przekonają prezydenta co do istnienia spisku.

Hood potrzebował dowodu. Na razie nie wiedział, skąd ma go wziąć.

ROZDZIAŁ 45

Sankt Petersburg, Rosja

Wtorek, 10.20

Kiedy był kosmonautą, generał Orłow nauczył się bezbłędnie rozpoznawać ton głosu. Często tylko dzięki temu dowiadywał się, że z lotem jest coś nie tak.

Któregoś razu bombardowanie mikrometeorowym pyłem i chemiczna chmura wypuszczona z silniczków korekcyjnych uszkodziły baterie słoneczne stacji Salut. Zniszczenia paneli były na tyle poważne, że stacja straciłaby zasilanie, zanim statek Kosmos przyleciałby po nich z Ziemi.

Pierwszą oznaką kłopotów był głos operatora z kontroli naziemnej. Zapewniał, że wszystko w porządku, ale jego ton brzmiał inaczej niż zwykle. Orłow miał na to wyczulone ucho jeszcze z czasów, kiedy był pilotem oblatywaczem. Zaczął

naciskać, żeby powiedziano mu prawdę. Cały świat słyszał tę rozmowę, co wprawilo Kreml w zakłopotanie. Orłow jednak, dowiedziawszy się o awarii, mógł czekać, aż naukowcy wymyślą, jak przestawić pozostałe panele, jednocześnie chroniąc je przed dalszym zniszczeniem.

Orłow ufał Natalii Basów. Ufał całkowicie. Tyle tylko, że nie zawsze jej wierzył. Zaniepokoił go ton jej głosu. Jakby coś ukrywała. Zupełnie jak operator z kontroli naziemnej.

Kilka minut po rozmowie przez komórkę, Orłow zadzwonił na telefon zarejestrowany na nazwisko Odette Kolker w jej mieszkaniu. Odczekał kilkanaście sygnałów, ale nikt nie odebrał. Wyglądało na to, że wzięła ze sobą Amerykanina. Dwadzieścia minut później zadzwonił ponownie.

Tym razem odezwał się męski, zachrypnięty głos. Po angielsku.

Orłow spojrział na wyświetlacz aparatu, żeby upewnić się, czy wykręcił właściwy numer. Tak. Wyszła bez Amerykanina.

-

Mówi generał Siergiej Orłow - powiedział mężczyźnie. - Czy rozma wiam z panem Battatem?

-

Tak - odparł Battat nieprzytomnie.

-

Panie Battat, kobieta, która pana uratowała, jest moją podwładną - ciągnął Orłow. - Wyszła, aby ująć człowieka, który zaatakował pana na plaży.

Wie pan, o kim mówię?

-

Tak - odparł Battat. - Wiem.

-

Nie ma wsparcia, więc obawiam się o nią i o powodzenie misji - powie dział Orłow. - Czy czuje się pan na tyle dobrze, żeby wyjść?

Nastąpiła chwila milczenia. Orłow usłyszał postękiwania i jęki.

-

Stoję na nogach, za drzwiami wisi moje ubranie - odpowiedział Battat. -

Będę szedł krok po kroku. Gdzie poszła?

Orłow powiedział Amerykaninowi, że nie wie, jaki Odette ma plan, ani nawet czy w ogóle jakiś ma.

Dodał, że jego ludzie cały czas próbują dostać się do hotelowego komputera, żeby sprawdzić listę gości.

Battat poprosił Orłowa, żeby wezwał mu taksówkę, ponieważ sam właściwie nie znał języka.

Orłow obiecał to zrobić. Podał Battatowi swój numer telefonu w Centrum i odłożył słuchawkę.

Usiadł w bezruchu. Poza delikatnym brzęczeniem świetlówki na biurku, w jego podziemnym gabinecie panowała absolutna cisza. Nawet kosmos nie był tak cichy.

Zawsze słyhać było trzaski rozgrzewanego i oziębianego metalu, uderzenia unoszących się luzem przedmiotów o sprzęty. Szumiał środek chłodzący w rurach i powietrze w wentylacji. Od czasu do czasu ktoś odzywał się w słuchawkach z Ziemi albo z innej części statku.

Nie tutaj. To miejsce wydawało się najbardziej samotne ze wszystkich mu znanych.

Do tej pory Odette zapewne dotarła już do hotelu i weszła do środka. Mógłby zadzwonić do niej i kazać zawrócić, ale pewnie by go nie posłuchała. Skoro zdecydowała się działać sama, wolał jej nie przeszkadzać. Musiała czuć, że ma za sobą jego poparcie.

Orłow gniewał się, że Odette nie posłuchała rozkazu i że skłamała. Rozumiał jednak jej motywy. Wiktor też był samotnikiem. Samotnikiem, który zginął przez cudzą bezmyślność. Pomimo tego nie mógł pozwolić, żeby przeszkodziła mu w jego zadaniu. Tym zadaniem zaś było nie tylko złapanie czy zabicie Harpunnika. Nie mógł dopuścić, żeby Odette skończyła tak jak Wiktor.

ROZDZIAŁ 46

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 10.31

Na ulicach panował tłok i dotarcie do hotelu Hyatt zabrało Odette dwa razy więcej czasu, niż przewidywała. Zaparkowała w bocznej uliczce, mniej niż przecnicę od wejścia dla personelu. Woląca nie parkować od frontu. Gdzieś w mieście wciąż jest snajper, człowiek, który zabił amerykańskiego dyplomatę przed szpitalem. Może obstawiać Harpunnikowi hotel. Być może widział jej samochód przed szpitalem i rozpoznałby go teraz.

Poranek był słoneczny i krótki spacer do wejścia sprawił Odette przyjemność.

Powietrze smakowało jakoś lepiej i wypełniało płuca bardziej niż zwykle.

Zastanawiała się, czy tak właśnie Wiktor czuł się w Czeczenii. Czy drobne rzeczy wydawały się piękniejsze, kiedy istniało realne ryzyko utraty wszystkiego.

Odette wchodziła tylnymi drzwiami hotelu już dwukrotnie. Za pierwszym razem do poparzonego kucharza, któremu zapaliła się patelnia. W drugim wypadku chodziło o uspokojenie człowieka awanturującego się o jakieś pozycje na swoim rachunku.

Znała drogę na zapleczu. Niestety, nie mogła raczej liczyć, że spotka tu Harpunnika. Zakładała, że wchodził i wychodził frontowymi drzwiami. Wymykanie się przez drzwi na zapleczu czy okno na parterze mogłoby zwracać uwagę. Rozsądni terroryści chowają się pod latarnią.

Zaś rozsądni antyterroryści raczej na nich czekają, niż szturmują ich kryjówkę, pomyślała.

Odette nie miała jednak pojęcia, kiedy Harpunnik zamierza wyjść z hotelu. Może w środku nocy, może wczesnym popołudniem, a może za trzy dni. Nie będzie tu siedziała przez cały czas. Niewykluczone że Harpunnik zadba o kamuflaż.

Przebierze się albo wynajmie prostytutkę, żeby udawała jego córkę, żonę czy nawet matkę. W Baku są i stare prostytutki. Jak również bardzo młode. Odette miała już okazję kilka aresztować.

W tej sytuacji Odette powinna dorwać Harpunnika, zanim on wyjdzie. Pytanie tylko, jak go znaleźć. Nie miała pojęcia, jak się nazywa naprawdę ani jakiego nazwiska mógłby używać.

Harpunnik, pomyślała. Zaśmiała się w duchu. Może powinna przebiec się po korytarzach, wykrzykując to słowo. Zobaczyć, które drzwi się nie otworzą. Ktoś, kto nie wyszedłby zobaczyć, co to za rumor, musiałby być Harpunnikiem.

Odette skręciła za róg i skierowała się w stronę frontowego wejścia, mijając kiosk. Nadzwyczajne wydanie gazety już donosiło o mobilizacji Iranu na Morzu Kaspijskim. Tekst ilustrowały lotnicze zdjęcia irańskich okrętów. Dotychczas działania wojenne zawsze omijały Baku. To dla stolicy coś nowego. Zapewne stąd korki na ulicach. Większość ludzi mieszkała na przedmieściach. Wielu zapewne przyjechało do pracy, usłyszało wiadomości i próbowało wydostać się z miasta na wypadek ataku.

Pod złoto-zieloną markizą stała tylko jedna osoba. Szwajcar w zielonym uniformie i zielonej czapce. Nie było żadnych autokarów, ale też nic dziwnego. Zwykle odjeżdżały około dziewiątej. Turyści, którzy przyjechali tu z grupą, raczej nie mieli możliwości wcześniejszego wyjazdu. Tak czy inaczej, wymeldowania zaczną się dopiero koło południa. Ci, którzy chcą opuścić kraj wcześniej, zapewne próbują telefonicznie wynająć samochód czy zarezerwować bilet na pociąg lub samolot...

No przecież, pomyślała. Telefon.

Orłów powiedział, że Harpunnik dzwonił z aparatu szyfrującego. To oznacza, że prawdopodobnie w ogóle nie użył telefonu hotelowego. A więc powinna szukać samotnego mężczyzny, który na rachunku nie ma żadnych rozmów telefonicznych.

Odette weszła do hotelu. Przechodząc przez hol, odwróciła głowę od recepcji. Nie chciała ryzykować, że zobaczy ją i rozpozna któryś z recepcjonistów. Od razu skręciła w prawo, w stronę korytarza, który prowadził do pomieszczenia pokojówek. Ten długi, skromny pokój znajdował się na tyłach hotelu. Stało w nim biurko kierownika, a za nim flotylla wózków do sprzątanania. Po prawej wisiała tablica z kluczami do wszystkich pokoi. Na samym dole był rząd z kluczami uniwersalnymi. Codziennie rano brały je ekipy sprzątające. Zostały jeszcze dwa.

Odette zapytała starszą pracownicę, czy mogłaby dostać nowy szampon. Ta, uśmiechając się miło, wstała i podeszła do jednego z wózków. Odette błyskawicznie sięgnęła po jeden z kluczy uniwersalnych. Pokojówka wróciła z trzema buteleczkami szamponu. Zapytała, czy Odette nie potrzebuje czegoś jeszcze. Ta odpowiedziała, że nie, podziękowała i wyszła do holu, kierując się w stronę budek telefonicznych, stojących rzędem w niszy z tyłu.

Nagle zadzwoniła jej komórka. Odette weszła do budki, zamknęła drzwi i odebrała.

Dzwonił Orłów z informacją, że jego ludzie włamali się do hotelowego komputera i mają pięciu kandydatów. Odette zapisała nazwiska i numery pokoi.

-
Być może uda nam się jeszcze to zawęzić - stwierdził Orłow. - Ktoś, kto chciałby szybko wydostać się z kraju, użyłby obywatelstwa, na które Azerowie patrzyliby teraz u siebie niechętnie.

-
Irańskiego.

-
Nie - zaprzeczył Orłow. - Irańczycy mogą być zatrzymywani. Raczej rosyjskiego. W hotelu jest dwóch Rosjan.

Odette podsunęła, że można by jeszcze zawęzić listę po sprawdzeniu rachunków telefonicznych.

-
Dobrze pomyślane - pochwalił Orłow. - Poczekaj chwilę, to sprawdzi my. No i jest jeszcze jedna sprawa.

Odette wstrzymała oddech. Nie podobał jej się ton głosu generała.

-
Przed paroma minutami rozmawiałem z panem Battatem.

Odette poczuła się jakby dostała w splot słoneczny. Uszła z niej cała energia, w głowie zaczęło łomotać. Nie uważała, że postąpiła źle, zostawiając chorego w domu. Nie posłuchała jednak rozkazu i nie miała nic na swoją obronę.

-
Amerykanin jest w drodze do hotelu - kontynuował spokojnie Orłow. -

Kazałem mu szukać cię w holu. Masz poczekać, aż przyjdzie, zanim zdejmiesz swój cel. Rozumiemy się, Odette?

-
Tak jest, panie generale.

Świetnie.

Nie rozłączała się, czekając aż zespół Orłowa przeszuka hotelowe zapisy. Dłonie jej zwilgotniały. Nie tyle nawet ze zdenerwowania, ile dlatego że została przyłapana. Z natury prawdomówna, bardzo sobie ceniła zaufanie Orłowa. Miała nadzieję, że rozumiał, dlaczego skłamała. Nie tylko po to, by chronić Battata.

Chciała się skoncentrować na swojej misji, a nie na chorym człowieku.

Według rachunków, z pięciu samotnych gości dwóch ani razu nie dzwoniło z pokoju.

Jeden z nich, Iwan Ganiew, miał rosyjskie obywatelstwo. Orłow powiedział, że w komputerze sprawdzili też zapiski o sprzątaniu. Zgodnie z ostatnim raportem, z poprzedniego dnia, pokoju Ganiewa, numer 310, nie sprzątno od trzech dni. Odkąd tam mieszkał.

Orłow usiadł tymczasem do swojego komputera, by sprawdzić nazwisko Ganiewa.

-

Ganiew jest konsultantem telekomunikacyjnym - powiedział po chwili.

- Mieszka w Moskwie. Sprawdzamy właśnie adres, żeby zobaczyć, czy jest prawdziwy. Nie wygląda na to, żeby facet pracował dla jakiegokolwiek firmy.

-

Zatem nie ma żadnych akt personalnych, w których moglibyśmy sprawdzić jego wykształcenie - powiedziała Odette.

-

Właśnie - potwierdził Orłow. - Jest zarejestrowany w Centralnym Biu rze Licencji Technicznych, ale żeby dostać licencję, wystarczy łapówka.

Ganiew nie ma w Moskwie rodziny, nie należy, jak się wydaje, do żadnej organizacji, a pocztę otrzymuje na skrytkę pocztową.

To by miało sens, pomyślała Odette. Poczta nie zbiera się w skrzynce, żadnych gazet pod drzwiami. Sąsiedzi nie mogliby wiedzieć, czy akurat jest w domu, czy nie.

-

Czekaj, mamy jego adres - dodał Orłow. Milczał przez chwilę. - To on.

To musi być on.

-

Dlaczego pan tak sądzi?

-

Mieszkanie Ganiewa jest ledwie przecznicę od stacji metra Kijewskaja.

-

Co oznacza...?

-

Właśnie tam zgubiliśmy Harpunnika już co najmniej dwa razy - powie dział Orłow.

W tym momencie do holu wszedł Battat. Wyglądał jak Wiktor po dziesięciu rundach walki w wojskowej amatorskiej lidze bokserskiej. Chwiejnie. Battat zobaczył

Odette i ruszył w jej kierunku.

-

Więc wszystko wskazuje na to, że to on - stwierdziła Odette. - Postępujemy zgodnie z planem?

To była najtrudniejsza część pracy w wywiadzie. Podejmowanie decyzji o czyimś życiu lub śmierci na podstawie ugruntowanego domysłu. Jeśli generał Orłow się myli, zginie niewinny człowiek. Nie po raz pierwszy i z pewnością nie ostatni.

Ochrona bezpieczeństwa narodowego popełnia czasem błędy. Jeśli jednak generał ma rację, zlikwidowanie terrorysty pozwoli ocalić setki istnień. Można by oczywiście spróbować złapać

Harpunnika i oddać go w ręce azerbejdzańskich władz.

Ale nawet gdyby się udało, stwarzałoby to dwa problemy. Po pierwsze, Azerowie dowiedzieliby się, kim naprawdę jest Odette. Co gorsza, mogliby nie chcieć ekstradować Harpunnika. Zaatakował irańską platformę wiertniczą. I rosyjskie budynki. I amerykańskie ambasady. Azerowie mogliby zechcieć pójść z nim na układy. Wypuścić go w zamian za współpracę, za pomoc w ich własnych tajnych operacjach. Moskwa nie mogła podjąć takiego ryzyka.

-

Zaczekasz na Amerykanina? - spytał Orłow.

-

Już tu jest - powiedziała Odette. - Chcesz z nim porozmawiać?

-

To nie będzie konieczne - stwierdził Orłow. - Harpunnik podróżuje za pewne z jakimś sprzętem telefonicznym dla uwiarygodnienia swojej przy krywki. Zabierzcie coś z tego i całą gotówkę, jaką znajdziecie. Wyciągnijcie szuflady i wybebeszcie bagaże. Niech to wygląda na rabunek. I opracujcie trasę ucieczki, zanim zaczniecie.

-

W porządku - powiedziała.

W głosie generała nie było protekcyjności. Po prostu wydawał polecenia i jednocześnie sprawdzał wszystko punkt po punkcie. Upewniał się, że zarówno on sam, jak i Odette wiedzą, co należy robić.

Orłow znów zamilkł. Przegląda w komputerze dane, pomyślała Odette. Szuka dodatkowego potwierdzenia, że ścigają właściwego człowieka. Albo podstaw do zwątpienia w to.

- Załatwiam bilety na wylot z kraju na wypadek, gdybyście ich potrzebowali, kiedy już skończycie - powiedział Orłow. Odczekał jeszcze chwilę i podjął

konieczną, jak wiedziała Odette, decyzję. - Dorwijcie go.

Odette potwierdziła rozkaz i rozłączyła się.

ROZDZIAŁ 47

Waszyngton

Wtorek, 2.32

Hood zamknął za sobą drzwi Sali Gabinetowej. W przeciwległym kącie na niewielkim stoliku stał ekspres do kawy. Pierwszą rzeczą, jaką Hood zrobił po wejściu, było włączenie ekspresu. Miał poczucie winy, że parzy sobie kawę w samym środku kryzysu, ale potrzebował kofeinowego kopa. Desperacko. Chociaż jego umysł

pracował na najwyższych obrotach, oczy i całe ciało od ramion w dół odmawiały posłuszeństwa. Pomógł już sam zapach kawy, gdy zaczęła się sączyć. Kiedy tak stał, patrząc na parę, myślami wrócił do Gabinetu Owalnego. Najszybszym sposobem ugaszenia kryzysu było rozgryźć Fenwicka i ujawnić spisek. Miał nadzieję, że będzie mógł wrócić tam z konkretną informacją, z czymś, co wstrząśnie Fenwickiem lub Gable'em.

-

Potrzebuję czasu do namysłu - wymamrotał sam do siebie. Czasu, by opracować plan ataku na wypadek, gdyby nie miał na nich więcej, niż ma w tej chwili.

Hood odszedł od ekspresu. Usiadł na brzegu wielkiego stołu konferencyjnego i przyciągnął jeden z telefonów. Zadzwoił do Boba Herberta, żeby sprawdzić, czy szef jego wywiadu ma jakieś wieści albo źródła, z których mógłby wydobyć informacje o Harpunniku i jego kontaktach z NSA.

Nie miał.

-

O ile brak wiadomości to nie wiadomość - dodał Herbert.

Herbert obudził już kilku znajomych, którzy pracowali w NSA albo mogli coś wiedzieć. Telefonowanie do nich w środku nocy miało tę zaletę, że działał

czynnik zaskoczenia. Jeśli coś by wiedzieli, zapewne by się wygadali. Herbert pytał, czy słyszeli o układach wywiadu amerykańskiego z Iranem.

Żaden z nich nie słyszał.

-

Nic dziwnego - stwierdził Herbert. - Tak ważną i delikatną sprawę zała twiano by na najwyższych szczeblach. Z drugiej strony, jeśli o jakiejś operacji wie tam więcej niż jedna osoba, to zawsze są przecieki. Nie tym razem.

-

Może o tej sprawie w NSA nie wie więcej niż jedna osoba.

-

Bardzo możliwe - przyznał Herbert. - Czekam jeszcze na odpowiedź

źródeł osobowych w Teheranie. Mogą coś o tym wiedzieć. Na razie jedyne pewne informacje mamy od ludzi Mike'a w Pentagonie - ciągnął. - Wywiad wojskowy wychwycił oznaki rosyjskiej mobilizacji w rejonie Morza Kaspijskiego. Stephen Viens z NRO to potwierdził. „Admirał Łobow”, krążownik klasy Sława, najwyraźniej kieruje się na południe, a wraz z nim niszczyciel klasy Udałow II „Admirał Czebanienko”, kilka korwet i mniejszych okrętów rakietowych. Mike sądzi, że osłona powietrzna rosyjskich instalacji nadtowych rozpocznie się za parę godzin.

-

A wszystko zaczęło się od Harpunnika. Albo od tego, kto go wynajął - powiedział Hood.

-

Tak, a wiesz, co powiedział Eisenhower w 1954? - spytał Herbert. -

Powiedział wtedy: „Masz kostki domina ustawione w rzędzie; popychasz pierwszą i bardzo szybko przewróci się ostatnia”. Mówił o Wietnamie, ale dotyczy to i tego.

Herbert miał rację. Kostki lada chwila zaczną się przewracać. Jedyne sposoby na przerwanie tej reakcji łańcuchowej to wyjąć kilka kostek.

Po zakończeniu rozmowy Hood nalał sobie kawy, usiadł w jednym ze skórzanych foteli i zadzwonił do Siergieja Orłowa. Świeża, czarna kawa ratowała życie.

Pozwalała choć na chwilę wytchnienia, bezcenną w samym środku chaosu.

Generał przekazał Hoodowi najnowsze informacje o Harpunniku i przedstawił swój plan. Hood słyszał w głosie Rosjanina napięcie. Doskonale rozumiał obawy Orłowa.

Niepokój o podwładną, Odette, i desperacka chęć zlikwidowania osławionego terrorysty. Hood już to kiedyś przerabiał. Miał za sobą i wygrane, i przegrane.

Tu nie było jak w filmie czy powieści, gdzie bohater zawsze zwycięża.

Hood wciąż rozmawiał z generałem Orłowem, kiedy otwarły się drzwi. Podniósł wzrok.

To był Jack Fenwick. Czas namysłu dobiegł końca.

Szef NSA wszedł do sali i zamknął za sobą drzwi. Przestronna Sala Gabinetowa nagle wydała się Hoodowi niewielka i bardzo ciasna.

Fenwick podszedł do ekspresu i się obsłużył. Hood już prawie kończył rozmowę.

Pożegnał się tak szybko, jak to było możliwe bez sprawiania wrażenia pośpiechu.

Nie chciał, żeby Fenwick cokolwiek usłyszał. Nie chciał też jednak okazać wobec szefa NSA choćby śladu niepewności czy zdenerwowania.

Odłożył słuchawkę. Łyknął kawy i spojrzał na Fenwicka, który wpatrywał się w niego ciemnymi oczami.

-

Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. - Fenwick wskazał kawę.

-
Dlaczego miałbym mieć? - spytał Hood.

-
Nie wiem, Paul. - Fenwick wzruszył ramionami. - Ludzie bywają cza sem terytorialistami w różnych sprawach. Swoją drogą, dobra kawa.

-
Dzięki.

Fenwick usadowił się na krawędzi stołu. Siedział ledwie metr od Hooda.

-
Zrobiliśmy krótką przerwę - powiedział Fenwick. - Prezydent czeka na szefów sztabów i sekretarza stanu, zanim podejmie decyzje w sprawie kry zysu kaspijskiego.

-
Dzięki za wieści.

-
Proszę bardzo - odparł uprzejmie Fenwick. - Mogę dostarczyć ci nie tylko wieści - ciągnął. - Mogę dostarczyć ci prognozę.

-O?

Fenwick skinął konfidencjonalnie głową.

-
Prezydent zareaguje militarnie. Zdecydowanie. Musi.

Zarówno Centrum, jak i NSA miały dostęp do rozpoznania fotograficznego z NRO.

Fenwick niewątpliwie wiedział również o Rosjanach.

Hood wstał, by dolać sobie świeżej kawy. Przypomniał sobie nagle, o czym myślał przed paroma minutami.

Jedynym sposobem powstrzymania upadającego domina jest wyprzedzenie reakcji łańcuchowej i wyjęcie kilku kostek.

-

Nie chodzi zresztą o to, co robi prezydent, tylko co robi kraj. Co ty zamierzasz zrobić - powiedział Fenwick.

-

Po to tu przyszedłeś? Wysondować mnie?

-

Przyszedłem tu rozprostować kości. Ale skoro już przy tym jesteśmy, ciekawi mnie to. Co zamierzasz zrobić?

-

W związku z czym? - zapytał Hood, nalewając sobie więcej kawy. Rozpo częły się podchody. Obydwaj wazyli słowa.

-

W związku z obecnym kryzysem. Jaką odegrasz rolę?

-

Wykonam swoją robotę - Hood nie był pewien, czy Fenwick go przepytuje, czy raczej mu grozi. Niewiele go to obchodziło.

-

A jak to rozumiesz? - spytał Fenwick.

-

W obowiązkach służbowych mam „zarządzanie sytuacją kryzysową”. -

Hood spojrzał na Fenwicka. - Ale w tej chwili rozumiem je nieco szerzej.

Rozumiem je jako dotarcie do prawdy stojącej za tym kryzysem i przedstawię jej prezydentowi.

-

Co to za prawda? - zapytał Fenwick. Wyraz jego twarzy się nie zmienił, ale w głosie brzmiała wyższość. - Naturalnie nie zgadzasz się z tym, co pan Gable, wiceprezydent i ja powiedzieliśmy prezydentowi.

-

Nie, nie zgadzam się - odparł Hood ostrożnie. Część tego, co zamierzał

właśnie powiedzieć, była prawdą, część - blefem. Jeśli się mylił, oznaczało by to fałszywy alarm. Fenwick nie przejąłby się tym, co miałby do powie-150

dzenia Hood. Mógłby też wykorzystać okazję i podważyć wiarygodność Hooda w oczach prezydenta. Tylko jednak w wypadku, jeśli Hood się mylił.

-

Poinformowano mnie właśnie, że w hotelu Hyatt w Baku złapaliśmy Harpunnika - oznajmił Hood. Musiał przedstawić to jako fakt dokonany.

Nie chciał, żeby Fenwick zadzwonił do hotelu i ostrzegł terrorystę.

-

A więc to na pewno Harpunnik?

Fenwick wziął łyk kawy i zatrzymał go w ustach. Hood pozwolił, by zapadła cisza.

Po dłuższej chwili Fenwick przełknął.

-

Cieszę się - powiedział bez zbytniego entuzjazmu. - Mamy na głowie o jednego terrorystę mniej. Jak go dorwaliście? Interpol, CIA, FBI - wszy scy próbowali od ponad dwudziestu lat.

-

Śledziliśmy go od kilku dni - ciągnął Hood. - Obserwowaliśmy go i pod słuchiwaliśmy jego telefony.

-

My - czyli kto?

-

Grupa wyodrębniona z Centrum Szybkiego Reagowania, CIA i zagra nicznych instytucji - odparł Hood. - Utworzyliśmy ją, kiedy dowiedzieli śmy się, że Harpunnik przebywa w regionie. Udało nam się go wywabić, agent CIA posłużył za przynętę.

Hood nie miał obaw przed ujawnianiem roli CIA, bo to Fenwick prawdopodobnie przekazał informacje o Battacie Harpunnikowi.

-

A zatem macie Harpunnika. - Fenwick uważnie przyglądał się Hoodowi. - Co to ma wszystko wspólnego z prawdą, o której mówiłeś? Wiesz coś, czego ja nie wiem?

-

Wszystko wskazuje na to, że Harpunnik maczał palce w zamachu na Morzu Kaspijskim.

-

Wcale mnie to nie dziwi - powiedział Fenwick. - Harpunnik pracuje dla każdego.

-

Nawet dla nas - powiedział Hood.

Fenwick drgnął, kiedy to usłyszał. Tylko odrobinę, ale wystarczająco, żeby Hood zauważył.

-

Jestem zmęczony i nie mam czasu na zgadywanki - mruknął Fenwick. -

Co masz na myśli?

-

Właśnie go przesłuchujemy - kontynuował Hood. - Wydaje się skłaniać do wyjawienia nam, kto go wynajął, w zamian za ograniczoną amnestię.

-

Oczywiście, że tak - powiedział Fenwick lekceważąco. - Skurwiel go tów jest powiedzieć cokolwiek, byle tylko ratować skórę.

-

Możliwe - zgodził się Hood. - Tylko po co ma kłamać, skoro tylko prawda uratuje mu życie?

-

Bo taki z niego pokrecony skurwiel - warknął gniewnie Fenwick. Wrzu cił swój kubek do kosza pod ekspresem i wstał ze stołu. - Nie pozwolę, 151

żebyś doradzał prezydentowi, opierając się na zeznaniach jakiegoś terrorysty.

Proponuję wracać do domu. Twoje zadanie dobiegło końca.

Zanim Hood zdołał coś odpowiedzieć, Fenwick wyszedł z Sali Gabinetowej. Zamknął za sobą drzwi. Pomieszczenie jakby wróciło do pierwotnych rozmiarów.

Teraz Hood był pewien, że Fenwick kręci. Czy naprawdę tak mu zależało, żeby prezydent nie dostał fałszywych informacji? Czy rzeczywiście był taki przepracowany i zmęczony? Nie, Hood jakoś nie mógł w to uwierzyć. Wierzył

natomiast, że jest bardzo bliski wykrycia czegoś, co Fenwick usilnie starał się zataić.

Powiązania między wysoko postawionym doradcą prezydenckim a terrorystą, który pomógł mu wywołać wojnę.

ROZDZIAŁ 48

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 10.47

Kiedy David Battat miał sześć lat, zachorował na świnkę. Bardzo ciężko ją przechodził. Ledwie mógł przetykać, a brzuch i uda bolały przy każdym ruchu.

Zresztą i tak był zbyt słaby, by się ruszać.

Teraz też czuł się zbyt słaby, by się poruszać. Każdy ruch wywoływał ból. Nie tylko w gardle i brzuchu, ale też w nogach, ramionach, barkach i klatce piersiowej. Cokolwiek ten skurwiel Harpunnik mu wstrzyknął, kompletnie go to rozbiło. Ale też na swój sposób pomogło. Ból utrzymywał go na nogach i zmuszał

do koncentracji. Przypominało to tępy ból zęba, tyle tylko że w całym ciele.

Cała energia, którą dysponował w tym momencie Battat, pochodziła z wściekłości i gniewu. Wściekłości, że dał się Harpunnikowi zaskoczyć i unieszkodliwić. Oraz gniewu z powodu śmierci Thomasa i Moore'a, za którą czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny.

Battat miał przytępiony słuch i musiał co chwila mrugać, żeby widzieć wyraźnie.

Doskonale jednak orientował się w otoczeniu. Wsiedli do windy połyskującej mosiężnymi okuciami, wyłożonej zielonym dywanem. W suficie tkwiły rzadkami małe jasne światełka. Za nimi była kłapa, a obok szerokokątny obiektyw kamery.

Kiedy dotarli na drugie piętro, wyszli na korytarz. Odette wzięła Battata za rękę, wyglądali jak para młodych ludzi szukających swojego pokoju. Sprawdzili numery pokoi na tablicy naprzeciwko: numery od 300 do 320 były na prawo. Pokój numer 310 musiał się więc znajdować pośrodku długiego, jasno oświetlonego korytarza. Ruszyli w tamtym kierunku.

- Co robimy? - spytał Battat.

-
Najpierw sprawdzimy schody - powiedziała Odette. - Chcę się upewnić, że drugi zabójca nie obserwuje stamtąd pokoju.

-
A potem? - zapytał Battat.

-
Co byś powiedział na małżeństwo? - spytała.

-
Raz spróbowałem i mi się nie podobało - powiedział Battat.

-
Więc to będzie ci się jeszcze mniej podobać - odparła. - Powiem ci, co myślę, kiedy dotrzemy do schodów.

Skierowali się w stronę klatki schodowej na przeciwległym końcu korytarza. Kiedy mijali pokój 310, Battat poczuł, jak jego serce przyspiesza. Na kłamce wisiała plakietka NIE PRZESZKADZAĆ. Battat wyczuwał tu atmosferę zagrożenia. Odczucie było nie tyle fizyczne, ile duchowe. Nie posunąłby się do stwierdzenia, że to namacalne zło, ale pokój zdecydowanie sprawiał wrażenie kryjówki dzikiego zwierzęcia.

Odette wypuściła jego dłoń, gdy doszli do schodów. Wyjęła z kabury pistolet i nakręciła tłumik. Następnie minęła Battata i ostrożnie zajrzała do środka przez okienko nad drzwiami. Nie dostrzegłszy nic podejrzanego, przekręciła gałkę i weszła do środka. Battat ruszył za nią. Stał przy betonowych schodach i oparł

się ramieniem o metalową poręcz. Dobrze było nie musieć się poruszać. Odette wsunęła piętę między drzwi, żeby sienie zatrzasnęły. Odwróciła się do Battata.

-
Jestem pewna, że Harpunnik dokładnie zabezpieczył swój pokój od środka

- stwierdziła. - Skoro nie możemy się włamać, musimy spróbować go wywabić.

Zgoda - powiedział Battat. Był zmęczony, kręciło mu się w głowie i z trudem zmuszał się do koncentracji. - Co proponujesz?

-

Urządzimy sobie małżeńską sprzeczkę.

-

O co? - zapytał z nagłym ożywieniem.

-

Nieważne. Pod warunkiem że skończymy, wyklócając się, który pokój jest nasz.

-

Jedno będzie mówić, że 312, a drugie upierać się, że 310?

-

Właśnie. Wtedy otworzymy drzwi do 310.

-Jak?

Odette sięgnęła do kieszeni.

-

Tym. - Wyciągnęła klucz uniwersalny, zabrany z pomieszczenia pokojów. - Jeśli będziemy mieli szczęście, Harpunnik zechce nas tylko wygonić.

-

A jeśli ktoś inny wyjdzie na korytarz albo wezwie ochronę? - spytał

Battat.

-

Więc kłóćmy się szybciej - powiedziała Odette, zdejmując kurtkę i przewieszając przez ramię, by ukryć broń.

Wydawała się niecierpliwa, nieco niespokojna. Bynajmniej nie miał jej tego za złe. Za chwilę zmierzą się z Harpunnikiem. Gdyby nie otepiałość spowodowana chorobą, Battat też odczuwałby raczej strach niż wściekłość.

-

Tu nie ma naukowych zasad - dodała. - Robimy to po to, żeby zmylić Harpunnika i zająć na tyle długo, by go zabić.

-

Rozumiem. Co mam robić?

-

Kiedy otworzę drzwi, pchnij je mocno do tyłu. To powinno go zaskoczyć i dać mi czas na wycelowanie i strzał. Kiedy skończymy, wracamy na schody i wychodzimy.

-

W porządku - powiedział Battat.

-

Jesteś pewien, że dasz radę? - spytała.

-

Zrobię, co mi kazałaś.

Skinęła i, by dodać mu otuchy, uśmiechnęła się lekko. A może to sobie chciała dodać otuchy. Chwilę później ruszyli korytarzem.

ROZDZIAŁ 49

Sankt Petersburg, Rosja

Wtorek, 11.02

Josef Noriowski był w rosyjskim Centrum Operacyjnym oficerem łącznikowym z innymi instytucjami wywiadowczymi i śledczymi w kraju oraz z Interpolem. Był to młody mężczyzna o szerokich barkach, z krótkimi czarnymi włosami i wydłużoną, bladą twarzą. Wmaszerował do gabinetu generała Orłowa z miną wyrażającą coś pomiędzy furią a niedowierzaniem.

-

Coś jest nie tak - stwierdził. Noriwski nie przekazywał informacji, do póki nie był ich pewien. Dlatego, kiedy już coś mówił, brzmiało to jak oficjalne oświadczenie.

Podał Orłowowi plik fotografii osiemnaście na dwadzieścia cztery. Orłow szybko przejrzał jedenaście nieostrych, czarno-białych zdjęć. Pokazywały pięciu mężczyzn w maskach narciarskich eskortujących szóstego, niezamaskowanego mężczyznę przez korytarz między czarnymi ścianami.

-

Zdjęcia zrobiły kamery monitorujące w więzieniu o podwyższonych środkach bezpieczeństwa w Lenkoran, w Azerbejdżanie - wyjaśnił Noriwski. -

Dostaliśmy je dwa dni temu. Człowiek bez maski to Siergiej Czerkasow.

PSW miały nadzieję, że uda nam się rozpoznać resztę.

PSW, czyli azerbejdżańskie Państwowe Służby Wywiadowcze, utrzymujące dość ścisłą współpracę z rosyjskimi organami wywiadu.

- I co wykombinowałeś? - spytał Orłow, kiedy skończył przeglądać zdjęcia.

-

Uzbrojeni są w IMI uzi - powiedział Noriwski. - Robią je na wzór pistoletów maszynowych kupionych od Izraela jeszcze przed rewolucją islamską. Same w sobie nie muszą nic znaczyć. Irańscy handlarze bronią 154

mogli je sprzedać komukolwiek. Proszę natomiast popatrzeć, jak oni się poruszają.

Orłow raz jeszcze przejrzał fotografie.

-

Nie rozumiem - powiedział.

Noriwski pochylił się nad biurkiem i wskazał czwarte zdjęcie.

-

Zamaskowani ludzie utworzyli wokół Czerkasowa romb. Prowadzący osłania przesyłkę, uciekiniera, człowiek na końcu ochrania tyły, ci po bokach zabezpieczają lewą i prawą. Piąty człowiek, jedyny,

który pojawia się na zdjęciach numer jeden i dwa, idzie przed grupą, zabezpieczając trasę ucieczki. Według raportów prawdopodobnie za pomocą wyrzutni rakiet. -

Noriwski wyprostował się. - To standardowa procedura ewakuacyjna używana przez VEVAK.

VEVAK - Vezarat-e Etella'at va Amniat-e Keshvar. Irańskie Ministerstwo Wywiadu i Bezpieczeństwa.

-

Dlaczego Iran miałby chcieć uwolnić rosyjskiego terrorystę z azerbejdżańskiego więzienia? - spytał Noriwski. I sam sobie udzielił odpowiedzi. -

By wykorzystać jego zdolności? To możliwe. Ale możliwe też, że chcieli podrzucić jego ciało na miejscu eksplozji. Ile ciał znaleziono w porcie w Ba ku? Cztery do sześciu, zależy, jak ostatecznie złoży się kawałki.

-

Tyle, ilu ludzi pomogło mu w ucieczce - powiedział Orłow.

-

Tak.

-

Co może oznaczać, że wszyscy razem pracowali. Nic więcej.

-

Jeśli nie liczyć obecności Harpunnika - zauważył Noriwski. - Wiemy, że wiele razy pracował dla Iranu już wcześniej. Wiemy, że można się z nim skontaktować przez współników w Teheranie. Panie generale, zmierzam do tego: a jeśli to Iran zorganizował atak na własną platformę, żeby stworzyć pretekst do wprowadzenia swoich okrętów?

-

To nie wyjaśniałoby udziału amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego - powiedział Orłow.

-

Ale obecność Czerkasowa mogłaby to wyjaśnić - upierał się Noriwski. -

Proszę zobaczyć, panie generale. Iran grozi Azerbejdżanowi. Stany Zjednoczone włączają się w ten konflikt. Muszą. Zagrożone są amerykańskie dostawy ropy naftowej. Jeśli wrogiem jest tylko Iran,

Amerykanie nie sprzeciwią się wojnie na morzu i w powietrzu. Od dawna chcieli uderzyć na Teheran, by odegrać rolę w kryzysie z zakładnikami z 1979 roku. Ale proszę sobie wyobrazić, że do sytuacji wciągnięta zostaje Rosja. Na procesie Czerkasow przyznał się do pracy dla Kremla. Dzięki temu uniknął egzekucji. Załóżmy, że Azerbejdżan i Iran w odwecie atakują rosyjskie platformy wiertnicze na Morzu Kaspijskim.

Czy naród amerykański poprze wywołanie w regionie wojny światowej?

-

Nie sądzę - powiedział Orłow. Pomyślał przez moment. - Ale może nie musiałby jej popierać.

-

Co ma pan na myśli? - spytał Noriwski.

-

Harpunnik współpracował z NSA, najwyraźniej po to, by zorganizować tę konfrontację - powiedział Orłow. - A jeśli ktoś z amerykańskiego rządu umówił się z Iranem, zanim to wszystko nastąpiło?

-

Czy NSA ma takie uprawnienia? - zapytał Noriwski.

-

Nie sędzę - odparł Orłow. - Zapewne potrzebowaliby do współpracy wyżej postawionych oficjeli. Paul Hood z Centrum sugeruje, że takie kontakty mogły mieć miejsce. Może Amerykanie zgodzili się wycofać w pewnym momencie? Pozwolili Iranowi zagarnąć więcej terenów ropośnych w zamian za dostęp do ropy?

-

Normalizacja stosunków? - zasugerował Noriwski.

-

Być może - powiedział Orłow. - Amerykańskie kręgi wojskowe naciskały na grę *va banque*, a potem się wycofały. Ale z jakiego powodu? To także musiało być wcześniej ustalone.

Orłow nie znał odpowiedzi, ale wiedział, kto może ją znać. Dziękując Noriowskiemu, wezwał swojego tłumacza i zadzwonił do Paula Hooda.

ROZDZIAŁ 50

Waszyngton

Wtorek, 3.06

Kiedy Fenwick opuścił Salę Gabinetową, Hood usiadł samotnie przy stole konferencyjnym. Jak

przekonać prezydenta, że sojusznicy podsuwają mu fałszywe dane? Bez nowych informacji będzie to trudne, tym bardziej że w obliczu kryzysu ludzie skłonni są zwracać się po radę do starych, sprawdzonych, zaufanych przyjaciół. A za takich właśnie prezydent uważał Cottena i Fenwicka. Hood niewiele mógł tu zdziałać. Ale niemal równie mocno niepokoiło go to, co szef NSA rzucił mu na odchodnym.

-

Nie pozwolę, żebyś doradzał prezydentowi.

To nie był tylko międzynarodowy konflikt. Także terytorialne spory w Gabinetcie Ovalnym. Ale o co dokładnie? Nie chodziło tylko o dostęp do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Fenwick próbował zdezorientować Lawrence'a, zakłopotać go, wprowadzić w błąd. Dlaczego?

Hood pokręcił głową i wstał. Chociaż nie mógł dodać nic ponad to, co powiedział

już wcześniej, chciał usłyszeć, co mają do powiedzenia szefowie sztabów. Fenwick mu nie zabronił wejść do Gabinetu Ovalnego.

Gdy wychodził z Sali Gabinetowej, zabrzączał telefon. Dzwonił generał Orłow.

-

Paul, mamy niepokojące wiadomości - zaczął.

-

Opowiadaj.

Orłow omówił wszystko pokrótce. Kiedy skończył, dodał:

-

Mamy podstawy sądzić, że ataku na irańską platformę dokonał Harpunnik z grupą Irańczyków. Sądzymy, że w ataku uczestniczyli ci sami Irań-

czycy, którzy wcześniej uwolnili z więzienia rosyjskiego terrorystę Siergieja Czerkasowa. To miało zasugerować, że w sprawę zamieszana jest Moskwa.

-

I zmusić Stany Zjednoczone do opowiedzenia się dla przeciwwagi po stronie Azerbejdżanu - powiedział Hood. - Nie wiesz, czy Teheran zaaprobował atak?

-

Bardzo możliwe - odparł Orłow. - Wygląda na to, że ci Irańczycy praco wali dla VEVAK lub tam zostali wyszkoleni.

-

Aby wywołać kryzys, który pozwoli Iranowi zareagować militarnie - powiedział Hood.

-

Tak - zgodził się Orłow. - Użyli Czerkasowa, by wciągnąć Rosję w ten konflikt. I Stany Zjednoczone. Czerkasow mógł nie mieć z samym atakiem nic wspólnego.

-

To ma sens - przytaknął Hood.

-

Paul, mówiłeś wcześniej, że członkowie twojego rządu, z NSA, kontakowali się z Ambasadą Irańską w Nowym Jorku. Że to do człowieka z NSA dzwonił Harpunnik z Baku. Czy ta agencja może być w to zamieszana?

-

Nie wiem - przyznał Hood.

Być może to ambasada skontaktowała ich z Harpunnikiem - zasugerował Orłow.

To było możliwe. Hood myślał nad tym przez chwilę. Dlaczego Fenwick miałby pomóc Iranowi w wysadzeniu własnej platformy wiertniczej, a następnie nakłonić prezydenta do zaatakowania Iranu? Czy ta intryga miała wmanewrować Iran w konfrontację? Czy to dlatego Fenwick ukrywał przed prezydentem swoją wizytę w irańskiej ambasadzie?

Fenwick musiał jednak wiedzieć o Czerkasowie. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że Rosja też zostanie wciągnięta.

Poza tym to wciąż nie wyjaśniało, dlaczego Fenwick zadzwonił do prezydenta specjalnie tuż przed obiadem w ONZ. Ten ruch obliczony był na upokorzenie Lawrence'a. Na podkopanie wiary w jego...

Stan umysłowy, pomyślał nagle Hood.

Zaczął drażnić ten wątek. Czyż nie tym właśnie martwiła się Megan Lawrence?

Umysłową niestabilnością, domniemaną lub prawdziwą, powstałą w wyniku przemyślnie zaplanowanego oszustwa i dezorientacji? Prezydent jest głęboko wstrząśnięty. Stany znajdują się na krawędzi wojny, doprowadzone tam przez Fenwicka. Lawrence próbuje opanować kryzys. Co się wydarzy dalej? Czy Fenwick jakoś go podkopie? Sprawdzi, że prezydent zwątpi w swoje umiejętności...

A może sprawi, że to opinia publiczna zwątpi w jego umiejętności? - zastanowił się Hood.

Senator Fox już obawiała się o prezydenta. Mała Chatterjee specjalnie go nie kochała. Sekretarz generalna z pewnością powie w wywiadach, że prezydent kompletnie się mylił w sprawie inicjatywy ONZ. Jeśli do tego jeszcze Gable lub Fenwick doprowadzą do przecieku informacji o tych wszystkich błędach i pomyłkach, jakie prezydent ostatnio popełniał?

Hood wiedział, że dziennikarze przełknęliby to w całości. Taka historia świetnie się sprzedaje. Zwłaszcza gdy pochodzi z tak wiarygodnego źródła jak Jack Fenwick.

Hood wiedział już teraz na pewno, że nie tylko Gable i Fenwick w tym uczestniczyli.

Wiceprezydent w Gabinetcie Ovalnym wydawał się doskonale rozumieć z Fenwickiem i Gable'em. Kto zyskałby najwięcej, gdyby sam prezydent doszedł do przekonania, że nie jest w stanie przewodzić narodowi w dobie kryzysu? I gdyby tak samo myśleli wyborcy? Kto by najwięcej zyskał? Człowiek, który by go zastąpił, oczywiście.

-

Generale, czy odzywali się już nasi ludzie tropiący Harpunnika? - spytał

Hood.

-

Obydwoje są w hotelu, w którym się zatrzymał - poinformował Orłow. -

Za moment po niego ruszą.

-

By go zlikwidować, nie ująć.

-

Nie mamy wystarczająco wielu ludzi, by go ująć - stwierdził Orłow. -

Tak naprawdę, to nie mamy nawet wystarczająco wielu ludzi, by wykonać aktualną misję. To wielkie ryzyko, Paul.

-

Rozumiem. Generale, czy jest pan pewien tej informacji? Że ludzie, którzy zaatakowali irańską platformę wiertniczą, byli Irańczykami?

-

Zanim nie złożą i nie zidentyfikują ciał, mogę co najwyżej z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać.

-

W porządku - stwierdził Hood. - Przekażę informację prezydentowi.

Jego doradcy naciskają, by zareagował militarnie. Musimy oczywiście spróbować nakłonić go do odsunięcia tej decyzji w czasie.

-

Zgadzam się - powiedział Orłów. - My też się mobilizujemy.

-

Proszę dzwonić, jeśli będą nowe wieści. I dziękuję panu, generale. Bardzo panu dziękuję.

Hood odłożył słuchawkę. Wybiegł z Sali Gabinetowej i pognął wyłożonym chodnikiem korytarzem w stronę Gabinetu Owального. Ze ścian spoglądały olejne portrety Woodrowa Wilsona i pierwszej damy, Edith Bolling Wilson. W roku 1919, kiedy jej mąż doznał wylewu, to ona w zasadzie rządziła krajem. Robiła to po to, by chronić jego zdrowie, a jednocześnie dbać o interesy państwa. Nie chodziło jej o własne korzyści. Czy staliśmy się od

tamtego czasu bardziej zepsuci? A może granica między dobrem a złem całkiem się zatarła? Czy szczytne cele uzasadniały użycie złych środków?

Hood miał informacje oraz prawdopodobny scenariusz, całkiem spójny. Fenwick zbladł na wieść, że Harpunnik został złapany. To potwierdzało podejrzenia Hooda.

Brakowało jednak dowodu. Bez niego nie zdoła przekonać prezydenta, by działał

powoli, rozważnie, nie biorąc pod uwagę działań Iranu. Szefowie sztabów również nie będą zbyt pomocni. Armia od ponad dwudziestu lat rozglądała się za uzasadnionym powodem, by uderzyć na Teheran.

Skręcił za róg i znalazł się przed Gabinetem Ovalnym. Zatrzymał go oficer stojący na warcie.

-

Muszę się zobaczyć z prezydentem - wyjaśnił mu Hood.

-

Przykro mi, proszę pana, ale musi pan odejść - upierał się młody czło wiek.

-

Mam niebieski poziom dostępu - Hood pomachał plakietką zawieszoną na szyi. - Mogę tu być. Proszę tylko zastukać i powiedzieć prezydentowi, że tu jestem.

-

Proszę pana, choćbym tak zrobił, nie zobaczy się pan z prezydentem -

odpowiedział mu agent. - Spotkanie przeniesiono na dół.

-

Dokąd? - Nie musiał pytać. Już to wiedział.

-

Do Sali Sytuacyjnej.

Hood odwrócił się i zaklął. Fenwick nie żartował. Nie dopuści go do prezydenta.

Na dół można się dostać tylko z plakietką dostępu o poziom wyższą, czyli poziomowi czerwonego.

Wszyscy z takimi plakietkami już byli na dole. Uwodzeni i kontrolowani przez Jacka Fenwicka.

Hood skierował się z powrotem do Sali Gabinetowej. Wciąż trzymał komórkę, uderzając nią miarowo w otwartą dłoń. Miał ochotę rzucić tym cholerstwem. Nie mógł zadzwonić do prezydenta. Połączenia z Salą Sytuacyjną przechodziły przez inną centralę niż do reszty Białego Domu. Nie miał uprawnień do bezpośredniego połączenia, a Fenwick z pewnością zadbał o to, żeby wszystkie jego telefony były odrzucane lub opóźniane.

Hood przywykł do wyzwania i opóźnień. Zawsze jednak miał dostęp do ludzi, z którymi mógł rozmawiać i przekonywać. Nawet kiedy terroryści opanowali Radę Bezpieczeństwa ONZ, znalazły się sposoby, by przeniknąć do środka. Teraz poczuł

się całkowicie bezsilny. Było to rozpaczliwie frustrujące.

Zatrzymał się. Podniósł głowę i natrafił wzrokiem na portret Woodrowa Wilsona.

Następnie spojrzał na panią Wilson.

-

O cholera - powiedział.

Spojrzał na telefon. Może nie jest tak bezsilny, jak mu się zdawało. Znów biegnąc, wrócił do Sali Gabinetowej. Jednego kanału Jack Fenwick nie zamknął.

Nie mógł, choćby chciał.

W końcu dama zawsze bije waleta.

ROZDZIAŁ 51

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 11.09

Idąc korytarzem, Odette martwiła się o dwie rzeczy. Po pierwsze, czy nie mylą się co do tożsamości mężczyzny z pokoju numer 310. Czy to na pewno Harpunnik.

Orłow powiedział Odette, jak mniej więcej wygląda Harpunnik. Dodał jednak, że zapewne stosuje jakiś kamuflaż. W umyśle miała obraz kogoś wysokiego i drapieżnego z wyglądu, z bladymi, nienawistnymi oczyma i długimi palcami. Czy zawaha się przed strzałem, jeśli drzwi otworzy ktoś nie tak wysoki, mocno zbudowany, o błękitnych, przyjaznych oczach i grubych palcach? A wtedy on zaatakuje pierwszy?

Człowiek niewinny podszedłby i się przywitał, powiedziała sobie. Harpunnik może zrobić to samo, żeby zbić ją z tropu. Ktokolwiek jest w środku, ona musi zaatakować pierwsza.

Druga obawa wiązała się z generałem. Odette słyszała niepokój w jego głosie.

Zastanawiała się, czego obawiał się najbardziej. Że coś jej się stanie czy że Harpunnik ucieknie? Zapewne obydwu tych rzeczy. Próbowwała przywołać w sobie ducha "ja mu dokopię", jednak niepewny, niespokojny ton generała i w jej sercu zasiał niepewność.

Nieważne, powiedziała sobie. Skoncentruj się na zadaniu, na niczym więcej. Liczy się tylko misja. Cel znajduje się zaledwie kilka drzwi dalej.

Odette ustaliła z Battatem, że to ona rozpocznie kłótnię. To ona musi otworzyć drzwi i wejść do środka. Ona też będzie kontrolować czas. Minęli właśnie pokój numer 314. Odette trzymała klucz w lewej ręce. W prawej wciąż miała pistolet, pod owiniętą wokół przedramienia kurtką. Battat przyciskał do boku nóż sprężynowy. Wydawał się nieco bardziej skoncentrowany, niż kiedy przyszedł do hotelu. Cóż, nic dziwnego.

Ona też była bardziej skoncentrowana.

Minęli pokój numer 312.

Odette odwróciła się do Battata.

-

Dlaczego stajesz? - spytała go. Nie krzyczała, starała się mówić na tyle głośno, żeby Harpunnik mógł ją usłyszeć.

-

Jak to, dlaczego staję? - natychmiast odpowiedział pytaniem Battat.

Odette przeszła kilka kroków naprzód. Zatrzymała się przed pokojem numer 310. Jej serce biło jak oszalałe.

-

Nie wejdziemy?

-
Tak - odparł zirytowany.

-
To nie jest nasz pokój - powiedziała Odette.

-
Właśnie, że jest - upierał się Battat.

-
Nie - odparła Odette. - To jest nasz pokój.

-
Mieszkamy w 312 - powiedział Battat konfidentycznie.

Włożyła klucz do zamka pokoju numer 310. To był dla Battata sygnał, by podejść do drzwi. Podeszedł i stanął tuż za nią. Prawie dotykał barkiem drzwi.

Palce Odette zwilgotniały. Naprawdę czuła zapach mosiężnego klucza. Wahala się.

To jest moment, na który czekałaś, strofowała się. Okazja, by udowodnić swoją wartość i sprawić, że Wiktor będzie dumny. Przekręciła klucz. Zasuwa zgrzytnęła cicho. Drzwi się otworzyły.

-
Mówiłam, że to nasz pokój - powiedziała do Battata. Przełknęła ślinę.

Słowa utknęły jej w gardle, a nie chciała okazać po sobie strachu. Harpunnik mógłby to wyczuć.

Gdy drzwi otworzyły się na milimetr, wyjęła klucz z zamka. Wsunęła go do kieszeni i wykorzystała tę chwilę, by nasłuchiwać. Telewizor był wyłączony, a Harpunnik nie brał akurat prysznic. Odette podświadomie miała nadzieję, że zastaną go w łazience, złapanego w pułapkę. Nic jednak nie usłyszała. Otworzyła drzwi nieco szerzej.

Za nimi był krótki, wąski korytarzyk. Panowała w nim całkowita ciemność i cisza.

Założyli, że Harpunnik ukrywa się w pokoju, ale jeśli nie? Mógł wyjść na późne śniadanie. Mógł też opuścić Baku. Być może trzymał ten pokój na wypadek, gdyby potrzebował kryjówki.

A jeśli na nas czeka? - pomyślała nagle. I sama sobie na to odpowiedziała. Wtedy będziemy musieli sobie jakoś poradzić. Wiktor mawiał, że nic nie jest zagwarantowane.

-

Coś nie tak, kotku? - spytał Battat.

Zaskoczona, odwróciła się do swojego partnera. Patrzył na nią ze ściągniętymi brwiami, najwyraźniej zaniepokojony. Zdała sobie sprawę, że zapewne zbyt długo zwleka z wejściem.

-

Nie, wszystko w porządku. - Otworzyła drzwi nieco szerzej i wyciągnęła lewą rękę. - Szukam tylko kontaktu.

Pchnęła drzwi tak, że otwarły się do połowy. Zobaczyła świecące na czerwono cyfry elektronicznego budzika na nocnym stoliku. Na zasłonach utworzyła się nieregularna linia białego światła. Jej jasność sprawiała, że reszta pokoju wydawała się jeszcze mroczniejsza.

Lewą ręką Odette wymacała włącznik światła. Zapaliła je. Włączyły się lampy w przedpokoju i na nocnych stolikach. Ściany i meble delikatnie rozświetliły się na żółtopomarańczowo.

Nie oddychając, weszła do przedpokoju. Zajrzała do łazienki po prawej. Na szafce przy zlewie stały przybory toaletowe. Mydło było otwarte.

Spojrzała na łóżko. Nie spano w nim, ale ktoś na pewno ruszał poduszki. Stojak na bagaż zajmowała walizka, ale nie widać było butów Harpunnika. Może wyszedł.

-

Coś tu jest nie tak - powiedziała Odette.

-

Co masz na myśli?

-

To nie jest nasza walizka, tam, na stojaku - odparła.

Battat wszedł w ślad za nią. Rozejrzał się.

-

Czyli miałem rację - powiedział. - To nie jest nasz pokój.

-

No to dlaczego nasz klucz pasował? - zapytała.

-

Zejdźmy na dół i zapytajmy - zarządził Battat. Wciąż się rozglądał.

-

Może recepcjonista się pomylił i wpakował tu kogoś innego - zasugerowała Odette.

Battat chwycił ją nagle za łokieć, brutalnie wepchnął do łazienki i wszedł za nią.

Odette odwróciła się i wbiła w niego wściekły wzrok. Położył palec na ustach i przysunął się.

-

Co jest? - wyszeptała.

-

On tu jest - powiedział cicho Battat.

-

Gdzie?

-

Za łóżkiem, na podłodze. Zobaczyłem jego odbicie w mosiężnym za główku.

-

Uzbrojony?

-

Nie widziałem - szepnął Battat. - Zakładam, że tak.

Odette odłożyła kurtkę na podłogę. Nie było już powodu, by chować broń. Battat stał kilka kroków przed nią, przy drzwiach. Wtedy właśnie zauważyła niewielkie, okrągłe lustro na składanym ramieniu, przytwierdzone do ściany po jego prawej.

Zaświtał jej pewien pomysł.

-

Potrzymaj to - wyszeptała i wręczyła mu pistolet. Minęła go, wyjęła lustro z uchwytu i podeszła do drzwi. Na czworakach ostrożnie wysunęła lustro na korytarz. Ustawiła je tak, by zajrzeć pod łóżko.

Nikogo tam nie było.

-

Już go nie ma - powiedziała cicho.

Wyciągnęła rękę z lustrem nieco dalej. Poruszyła nim wolno, by dokładnie obejrzyć pokój. W rogach nikogo nie było, nie widziała też żadnego wybrzuszenia na zasłonach.

-

Z pewnością go tu nie ma - stwierdziła.

Battat przykucnął za nią i spojrzał w lustro. Odette zastanawiała się, czy rzeczywiście kogoś widział, czy tylko przywidziało mu się w gorączce.

-

Chwileczkę - powiedział. - Przekręć lustro tak, żeby zobaczyć wez głowie łóżka.

Odette zrobiła, jak kazał. Zasłony falowały, jakby poruszane lekkim wiatrem.

-

Okno jest otwarte - powiedziała Odette.

Battat wstał. Ostrożnie wszedł do pokoju i rozejrzał się.

-

Cholera.

-Co?

-

Za zasłoną jest lina. - Battat podszedł do okna. - Drań zszedł...

Nagle zawrócił do łazienki.

-

Padnij! - wrzasnął, rzucając Odette na podłogę. Zanurkował za nią, tuż obok wanny z włókna szklanego. Błyskawicznie naciągnął im na głowy jej kurtkę i położył się obok, z ręką na jej plecach.

Chwilę później pokój rozświetliła żółtoczerwona flara. Słychać było świst ogrzanego gwałtownie powietrza. Po chwili flara zgasła, pozostawiając mdlącośłodki zapach zmieszany z odorem palących się tkanin i dywanu. Detektor dymu wył przeraźliwie.

Odette odrzuciła kurtkę i podniosła się na kolana.

-

Co to było? - krzyknęła.

-

Na biurku stał TWP! - wrzasnął Battat.

-

Co takiego?

-

TWP! - Battat zerwał się na równe nogi. - Terrorysta w puszcze. Chodź, musimy się stąd wydostać!

Pomógł Odette wstać. Chwyliła kurtkę i obydwójce wypadli na korytarz. Battat zamknął drzwi i pokuśtykał w stronę pokoju numer 312. Ledwo trzymał się na nogach.

-

Co to jest terrorysta w puszcze?

-

Napalm z dodatkiem benzenu - odpowiedział. - Wygląda jak pianka do golenia i nie wzbudza alarmu przy prześwietlaniu bagażu na lotnisku. Wy starczy tylko przekręcić wieczko, by nastawić timer, i bum! - Za ich plecami rozdzwonił się główny alarm przeciwpożarowy. - Daj mi klucz uniwersalny

- poprosił, kiedy doszli do 312.

Odette podała mu go.

Battat otworzył drzwi. Dym przeciskał się już pod drzwiami łączącymi z pokojem 310. Battat przebiegł obok nich i dopadł okna. Ciężkie zasłony były odsunięte.

Pochylił się, stojąc na tyle blisko, żeby coś widzieć, a równocześnie nie być widzianym z dołu. Musiał oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść. Odette podeszła do niego. Wyjrzeni na pusty parking.

-

Tam. - Wskazał palcem. - Widzisz go? W białej koszuli, džinsach, z czar nym plecakiem.

-

Widzę - odparła.

-

Tego mężczyznę widziałem w pokoju.

Więc to jest Harpunnik, pomyślała. Bestia nie robiła imponującego wrażenia, gdy tak niespiesznie oddalała się od hotelu. Ale ta wyluzowana postawa czyniła go jeszcze bardziej złowrogim. W pożarze, który wzniecił, mogli zginąć ludzie. Nie obchodziło go to jednak. Odette żałowała, że nie może go stąd zastrzelić.

-

Będzie się prawdopodobnie poruszał powoli, by nie przyciągać uwagi -
wydyszał Battat. Z trudem łapał oddech, słaniał się. Oddał jej pistolet. -

Masz jeszcze czas, żeby go dogonić i załatwić.

-

A co z tobą?

-

Tylko bym cię spowalniał - powiedział.

Wahała się. Godzinę temu nie chciała, żeby się w to mieszał. Teraz czuła, jakby go porzucała.

-

Marnujesz czas. - Pchnął ją delikatnie i ruszył w stronę drzwi. - Po prostu idź. Dojdę do klatki schodowej i wrócę do ambasady. Zobaczę, czy uda mi się stamtąd coś zdziałać.

-

Dobra - powiedziała, po czym odwróciła się i pobiegła do wyjścia.

-

Będzie uzbrojony! - krzyknął za nią Battat. - Nie zawahaj się!

Machnęła w odpowiedzi ręką, wybiegając z pokoju.

Korytarz wypełniał się dymem. Tych kilku gości, którzy byli akurat w swoich pokojach, wybiegło zobaczyć, co się dzieje. Zjawiała się obsługa hotelu i ochroniarze. Kierowali wszystkich do klatki schodowej.

Odette powiedziała jednemu z ochroniarzy, że w pokoju numer 312 ktoś potrzebuje pomocy, po czym pognęła do schodów.

W niecałą minutę była na ulicy. Parking znajdował się po drugiej stronie budynku. Pobiegnęła w tamtym kierunku.

Harpunnik znikł.

ROZDZIAŁ 52

Waszyngton

Wtorek, 3.13

Paul Hood wrócił do Sali Gabinetowej i zamknął za sobą drzwi. Odetchnął głęboko dla uspokojenia. Pomieszczenie pachniało kawą. Cieszyło go to. Zabijało odór zdrady. Wyjął swojego palmtopa, sprawdził numer i podszedł do telefonu, by go wystukać. Nie miał na to szczególnej ochoty, ale po prostu musiał to zrobić. Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Tylko tak mógł zapobiec zamachowi stanu.

Słuchawkę podniesiono już po drugim sygnale.

-

Halo?

-

Megan, mówi Paul Hood.

-
Paul, gdzie jesteś? - zapytała pierwsza dama. - Martwiłam się...

-
Jestem w Sali Gabinetowej - powiedział. - Megan, posłuchaj. Fenwick jest z całą pewnością zamieszany w spisek. Uważam, że on, Gable i kto tam jeszcze w tym siedzi próbują wmówić prezydentowi, że jest niespełna rozumu.

-
Dlaczego mieliby to robić? - spytała.

-
Próbują rozpętać konflikt z Iranem i Rosjana Morzu Kaspijskim - wyjaśnił jej Hood. - Jeśli uda im się przekonać prezydenta, że nie poradzi sobie z tą konfrontacją, będzie musiał ustąpić. Wystarczy zresztą, że przekonają opinię publiczną. Nowy prezydent albo doprowadzi do eskalacji konfliktu, albo, co bardziej prawdopodobne, zakończy go. Zdobędzie sobie tym punkty u wyborców oraz w Iranie. Następnie być może podzielimy złoża ropy należące wcześniej do Azerbejdżanu.

-
Paul, to potworne - stwierdziła Megan. - Czy wiceprezydent też jest w to zamieszany?

-
Możliwe - powiedział Hood.

-
I uważają, że im to ujdzie na sucho?

-
Megan, niewiele brakuje, żeby uszło im na sucho. Kryzys kaspijski rozwinie się coraz szybciej, a naradę strategiczną przenieśli z Gabinetu Ovalnego do Sali Sytuacyjnej. Nie mam uprawnień, by tam wejść.

-
Zadzwoń do Michaela na numer prywatny i poproszę, żeby z tobą porozmawiał - powiedziała

Megan.

-

To nie wystarczy - stwierdził Hood. - Zrób dla mnie coś innego.

Megan zapytała, co takiego. Hood wytłumaczył.

-

Zrobię to - obiecała, gdy skończył. - Daj mi pięć minut.

Podziękował jej i odłożył słuchawkę.

Zaproponował taktykę ryzykowną zarówno dla niego, jak i dla pierwszej damy. Jednak nie widział innego wyjścia.

Rozejrzał się po sali.

Przypomniawsobie, jak ratował córkę. Tamto było instynktowne. Musiał działać, żeby ona przeżyła. Nie miał wyboru.

Tu było inaczej.

Hood próbował wyobrazić sobie decyzje podejmowane w tych ścianach na przestrzeni wieków. Decyzje dotyczące wojen, kryzysów gospodarczych, praw człowieka, polityki zagranicznej. Każda z nich na swój sposób kształtowała historię. Jedne były ważne, inne mniej ważne, ale wszystkie wymagały zaangażowania. Ktoś musiał

wierzyć, że podejmuje właściwe decyzje. Na podstawie tej wiary musiał

zaryzykować - od kariery i bezpieczeństwa narodowego po życie milionów ludzi.

Hood właśnie to ryzykował. Jedno i drugie. Pamiętał jednak o przysłowiu, które wisiało w sali, w której jego ojciec uczył wychowania obywatelskiego.

„Pierwsze błędy zdarzają się tym, którzy je popełniają. Kolejne - tym, którzy na nie pozwalają”.

Gdy odwrócił się i wyszedł z Sali Gabinetowej, nie czuł ciężaru podjętej właśnie decyzji. Ani też niebezpieczeństwa, które niosła.

Czuł jedynie zadowolenie, że może służyć swemu krajowi.

ROZDZIAŁ 53

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 11.15

Już od bardzo dawna Maurice Charles nie musiał nagle wycofywać się z bezpiecznej kryjówki. Do furii doprowadzała go konieczność opuszczenia miejsca, które tak starannie przygotował. Do jeszcze większej furii doprowadzał go sam fakt, że musi przed kimś uciekać. Nie obchodziło go nawet, w jaki sposób go znaleźli.

Sądząc z akcentów, intruzami byli Rosjanka i Amerykanin. Być może Moskwa i Waszyngton śledziły go bez jego wiedzy. Być może gdzieś się pomylił. A może to jeden ze współników popełnił błąd.

Charles nie wierzył jednak, że ta para pojawiła się tam przypadkiem. Po pierwsze, przy meldowaniu się wziął obydwaj klucze do pokoju 310. W recepcji nie było już trzeciego do wydania. Obudził go dźwięk otwieranej zasuwki. Charles patrzył na stopy kobiety, słuchał, jak mówiła. Całe to jej wejście pełne było niepewności. Gdyby naprawdę myślała, że to ich pokój, wmaszerowałaby do środka i zapaliła światło. Kobiety zawsze chcą od razu wszystko udowodnić, kiedy sądzą, że mają rację.

Tak, był wściekły, ale nie poddawał się swojej furii. Teraz ma pilniejsze zadanie: musi zatrzeć ślady, a potem uciec. To oznaczało wyeliminowanie pary, która weszła do jego pokoju. Nie brał pod uwagę wezwania zabójców, którymi posłużył się poprzedniej nocy. Nie chciał, by ktokolwiek wiedział, że wdepnął w kłopoty. To nie służyłoby jego reputacji i interesom.

Zdążył się dobrze przyjrzeć ich butom i spodniom. Wystarczy mu do identyfikacji.

Ma swój pistolet i nóż. Nie dożyją ranka.

Charles doszedł do połowy parkingu i się odwrócił. Jeśli tamci wyglądali z okna, szukając go,

chciał, by go zobaczyli. Chciał, by pobiegli za nim na dół. To bardzo ułatwi odnalezienie ich. Dzięki temu przekonałby się też, czy mają wsparcie. Jeśli zadzwonili po pomoc, na parkingu za chwilę zjawia się pojazdy i inni agenci. Jeśli tak się nie zdarzy, bez trudu pozbędzie się tej dwójki, a potem zgodnie z planem wyjedzie z miasta pociągiem.

Gdy dał już tamtym szansę zobaczenia go, zawrócił do hotelu. Wszedł bocznymi drzwiami, za którymi ciągnął się rząd sklepów. Do hotelu zbliżały 166

się strażackie syreny, nie słychać jednak było policyjnych. Na parking nie wpadały żadne inne pojazdy. Z tego wniosek, że para działała bez wsparcia na miejscu lub w pobliżu. Charles z łatwością wtopi się w tłum uciekający przed pożarem. Najpierw jednak policzy się z intruzami.

ROZDZIAŁ 54

Waszyngton

Wtorek, 3.17

Za kadencji Harry'ego Trumana Biały Dom dosłownie wybebeszono i zbudowano na nowo z powodu osłabienia drewnianych belek i ścian wewnętrznych. Trumanowie przenieśli się na drugą stronę ulicy, do Blair House, i pomiędzy 1948 a 1952

rokiem położono nowe fundamenty, a próchniejące belki zastąpiono stalowymi kratownicami. Wykopano też piwnicę, oficjalnie po to, by zwiększyć powierzchnię magazynową. W rzeczywistości stworzono ją, by zapewnić prezydentowi oraz jego współpracownikom i rodzinie schron na wypadek ataku nuklearnego. Przez lata piwnicę potajemnie powiększono, umieszczając w niej biura, centra dowodzenia, zaplecze medyczne, posterunki monitoringu i pomieszczenia rekreacyjne. Obecnie podziemie składa się z czterech kondygnacji i sięga ponad sześćdziesiąt metrów w głąb.

Do wszystkich czterech poziomów dostać się można wyłącznie dwoma windami. Są one umieszczone we Wschodnim i Zachodnim Skrzydle. Ta druga znajduje się niedaleko na zachód od prywatnej jadalni prezydenta, w narożniku w połowie drogi między Gabinetem Ovalnym a gabinetem wiceprezydenta. Kabina jest niewielka i wyłożona drewnem, wygodnie mieści się w niej szóstka ludzi. Dostęp do windy możliwy jest po identyfikacji odcisku kciuka. W tym celu zainstalowano po prawej stronie drzwi windy niewielki zielony monitor. Ponieważ pomieszczenia rekreacyjne Białego Domu znajdują się na dole, dostęp do windy ma cała rodzina prezydenta.

Hood poszedł do gabinetu wiceprezydenta, by zaczekać na zewnątrz. Ponieważ wiceprezydent przebywał akurat w Białym Domu, nieco w głębi korytarza stał agent Secret Service. Wiceprezydenckie biuro znajdowało się blisko oficjalnej jadalni.

Hood nie czekał jeszcze nawet minuty, kiedy przyszła Megan Lawrence. Pierwsza dama miała na sobie średniej długości białą spódnicę i czerwoną bluzkę z niebieską apaszką. Jasna cera sprawiała, że jej srebrne włosy wydawały się ciemniejsze.

Agent ochrony przywitał pierwszą damę, gdy przechodziła. Megan uśmiechnęła się w odpowiedzi i poszła dalej. Serdecznie objęła Hooda na powitanie.

-
Dziękuję, że pani zeszła - powiedział.

Wzięła go pod ramię i odwróciła się w stronę windy. To dawało jej pretekst, by stać blisko Hooda i mówić cicho. Agent stał za nimi.

-
Jak zamierzasz to rozwiązać? - spytała.

-
Nie będzie łatwo - przyznał Hood. - W Gabinetcie Ovalnym prezydent był bardzo skoncentrowany. Jeśli kiedykolwiek miał wątpliwości co do sta nu swojej psychiki, to Fenwick i reszta podsunęli mu idealne lekarstwo. Kry zys. Prezydent wydawał się ożywiony, pełen energii. Potrzebował kryzysu.

Zmaganie się z problemami pomogło mu odzyskać wiarę w siebie.

-
Mówiłeś mi - zauważyła pierwsza dama. - A to wszystko kłamstwa.

-
Jestem tego pewien - zaręczył. - Problem w tym, że nie mam dowodów.

-
Skąd zatem pewność, że to wszystko kłamstwa? - zapytała.

-
Sprawdziłem blef Fenwicka, kiedy byliśmy sami w Sali Gabinetowej -

odparł Hood. - Poinformowałem go, że złapaliśmy terrorystę, który spowo dował tamtejszy kryzys. Powiedziałem, że tamten zdradzi nam, dla kogo pracował. Mając na myśli Fenwicka. Fenwick stwierdził, że nigdy nie prze każe tej informacji prezydentowi.

Dotarli do windy. Megan delikatnie przytknęła kciuk do ekranu. Rozległ się cichy pomruk.

-
Fenwick zaprzeczy, że kiedykolwiek ci groził - zauważyła.

-

Oczywiście, że tak. Właśnie dlatego musi pani wyciągnąć go z tego ze brania. Proszę mu powiedzieć, że musi z nim pani porozmawiać przez pięć minut. Gdybym ja to zrobił, Fenwick i jego ludzie pożarliby mnie żywcem.

Nie zdecydują się jednak zaatakować pani.

-

W porządku - odparła Megan. Drzwi się rozsunęły. Pierwsza dama i Hood weszli do środka. Nacisnęła guzik poziomu minus pierwszego. Drzwi się zamknęły i kabina ruszyła. - Na dole jest strażnik - powiedziała Megan. -

Będzie musiał zapowiedzieć mnie telefonicznie. Nie mam dostępu do Sali Sytuacyjnej.

-

Wiem - odparł Hood. - Miejmy nadzieję, że telefon odbierze ktoś inny niż Fenwick lub Gable.

-

Więc jeśli będę mogła rozmawiać z prezydentem sama, to co mam ro bić? - zapytała Megan. - Przyciągam jego uwagę. Co dalej?

-

Proszę mu powiedzieć, co pani zauważyła w ciągu ostatnich kilku tygo dni - odparł Hood. - Proszę szczerze z nim porozmawiać o tym, czego się obawiamy - że Fenwick nim manipulował. Proszę dać mi nieco czasu, choć by tylko dwie czy trzy godziny. Potrzebuję go, żeby zdobyć dowody i po wstrzymać wojnę.

Winda stanęła. Drzwi się otwarły. Za nimi był jasno oświetlony korytarz. Białe ściany były obwieszane obrazami amerykańskich oficerów i słynnych 168

bitew, od czasów wojny o niepodległość do dzisiejszych. Sala Sytuacyjna mieściła się na końcu korytarza za dwiema parami podwójnych czarnych drzwi.

Młody strażnik z marines o blond włosach i świeżej twarzy siedział na prawo od windy, przy biurku, na którym stały telefon, komputer i lampa. Na metalowym stojaku po lewej znajdowało się kilka ekranów monitoringu.

Strażnik wstał i spojrzał najpierw na Hooda, a następnie na Megan.

-

Dzień dobry, pani Lawrence - powiedział. - Trochę wcześniej pani wstała na pływanie - dodał z uśmiechem.

-

Trochę późno się kładę, kapralu Cain - uśmiechnęła się w odpowiedzi. -

To mój gość, pan Hood. I nie idę popływać.

-

Tak właśnie myślałem, proszę pani - odparł strażnik. Jego spojrzenie przeniosło się na Hooda. -
Dzień dobry panu.

-

Dzień dobry - odpowiedział Hood.

-

Kapralu, czy moglibyście zadzwonić do prezydenta? - powiedziała Megan. - Proszę mu powiedzieć, że muszę z nim porozmawiać. Na osobności i twarzą w twarz.

-

Naturalnie - odparł strażnik.

Usiadł i podniósł słuchawkę. Wystukał numer wewnętrzny Sali Sytuacyjnej.

Hood nieczęsto się modlił, ale teraz przyłapał się na tym, że powtarza w myśli: błagam, niech to nie będzie Fenwick ani nikt z jego ludzi. Niech odbierze kto inny!

Po chwili strażnik powiedział do słuchawki:

-

Pierwsza dama przyszła zobaczyć się z panem prezydentem.

Hood i Megan stali bez ruchu w cichym korytarzu. Jedyнным dźwiękiem był słaby, wysoki pisk dochodzący z monitorów. Strażnik uniósł wzrok.

-

Nie, proszę pana - powiedział. - Jest z nią jakiś pan. Niejaki pan Hood.

To zły znak. Tylko jeden z ludzi Fenwicka mógł zadać takie pytanie.

Po kilku sekundach strażnik powiedział:

-

Tak, proszę pana - i rozłączył się. Wstał i spojrzał na pierwszą damę. -

Przykro mi, proszę pani. Powiedziano mi, że spotkanie nie może być prze rwane.

-

Kto to panu powiedział? - zapytała.

-

Pan Gable, proszę pani.

-

Pan Gable próbuje powstrzymać pana Hooda od dostarczenia prezyden towi ważnej wiadomości - powiedziała Megan. - Wiadomości, która może zapobiec wojnie. Muszę zobaczyć się z mężem.

-

Kapralu - zaczął Hood. - Jesteście żołnierzem. Nie musicie słuchać roz kazów żadnego cywila. Proszę, żebyście zadzwonili tam raz jeszcze.

Zażądajcie rozmowy z oficerem i przekażcie mu, co powiedziała wam pierwsza dama.

-

Jeśli pan Gable będzie robił panu problemy, ja biorę za wszystko odpowiedzialność - zapewniła Megan.

Kapral Cain wahał się, ale tylko przez chwilę. Podniósł słuchawkę i, wciąż na stojąco, wystukał numer.

-

Pan Gable? Chciałbym rozmawiać z generałem Burgiem.

Generał Otis Burg był przewodniczącym połączonych komitetu szefów sztabów.

-

Nie, proszę pana - powiedział Cain po chwili. - Chodzi o sprawy wojskowe. Sprawa związana z bezpieczeństwem.

Nastąpiła kolejna przerwa. Hood poczuł w gardle metaliczny smak. Po chwili zrozumiał, że to krew. Przygryzał właśnie język. Rozluźnił się.

Kilka sekund później głos i zachowanie kaprala Caina uległy zmianie. Jego postawa usztywniła się, ton stał się bardziej służbowy. Rozmawiał z generałem Burgiem.

Po kilku sekundach odłożył słuchawkę. Spojrzał na pierwszą damę.

-

Pani mąż spotka się z obojgiem państwa - powiedział z dumą.

Megan uśmiechnęła się i podziękowała mu.

Wraz z Hoodem odwrócili się i ruszyli korytarzem w kierunku Sali Sytuacyjnej.

ROZDZIAŁ 55

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 11.22

Niepewnym krokiem David Battat schodził klatką awaryjną. Z powodu późnoporannej godziny hotel opuszczało niewielu ludzi. Kilkoro z nich, mijając go, zapytało, czy nie potrzebuje pomocy. Amerykanin odpowiadał im, że nawdychał się dymu, ale sobie poradzi. Kurczowo przytrzymując się stalowej barierki, powoli schodził po betonowych stopniach. Kiedy dotarł do holu, oparł się o ścianę obok budek telefonicznych. Nie chciał siadać. Był słaby i kręciło mu się w głowie, więc obawiał się, że nie mógłby wstać. Jedna z pracownic hotelu zapytała, kim jest i w którym zatrzymał się pokoju. Battat odparł, że nie jest gościem i tylko odwiedzał znajomego. Kobieta powiedziała mu, że strażacy nakazali, by wszyscy wyszli z budynku. Battat stwierdził, że wyjdzie, jak tylko złapie oddech.

Rozejrzał się po holu. Był wypełniony ludźmi, w większości pracownikami hotelu i jakimiś pięćdziesięcioma, sześćdziesięcioma gośćmi. Ci ostatni bardziej martwili się o swoje bagaże niż bezpieczeństwo. Nie spieszyli się 170

do wyjścia. W holu nie było dymu, a strażacy dopiero wjeżdżali na okrągły podjazd przed hotelem.

Battat niepokoił się o Odette. Patrzył na nią z podziwem, kiedy wychodziła z hotelu. Jeśli nawet się bała, nie okazywała tego. Żałował, że nie jest sprawniejszy. Nie podobało mu się, że Odette musi zmierzyć się z Harpunnikiem samotnie.

Na prawo od Battata na końcu korytarza było boczne wyjście. Parking po prawej, front budynku po lewej. Ponieważ wozy strażackie podjechały od frontu, uznał, że większe szansę na złapanie taksówki ma na parkingu. Jeśli nie, to za parkingiem biegła ulica przelotowa. Widział ją z okna na górze. Tam będzie mógł zapewne złapać autobus.

Odepchnąwszy się od ściany, pokuśtykał wzdłuż wyłożonego chodnikiem korytarza.

Znowu miał gorączkę, ale nie czuł się gorzej niż wcześniej. Jego organizm walczył z chorobą. To by znaczyło, że wstrzyknięto mu raczej wirusy niż truciznę. Wyjdzie z tego.

Minał rząd budek telefonicznych. Za nimi dostrzegł jak przez mgłę kilka sklepów, których witryny odbijały się jedna w drugiej. W środku nikogo nie było, ani klientów, ani personelu. Wystawy pełne koszul i upominków, walizek i zabawek, wszystkie zlewały się w jedno, gdy się do nich zbliżał. Próbował mrugać, żeby widzieć je wyraźniej. Nie mógł. Choroba i wysiłek wyczerpały go znacznie bardziej, niż przypuszczał. Rozważał przez chwilę, czy nie wrócić do holu i nie poprosić ratowników, by zabrali go do szpitala. Obawiał się tam wracać, bo ktoś mógłby go rozpoznać z poprzedniej nocy i zapytać o trupa w pokoju. Zaczynał

jednak mieć wątpliwości, czy uda mu się wyjść z hotelu, nie mówiąc już o dotarciu do ambasady.

Nagle ktoś pojawił się w jego polu widzenia. Amerykanin zatrzymał się i zmrużył

oczy. Mężczyzna w dzinsach i białej koszuli. Czarny plecak.

O Boże, pomyślał Battat, podczas gdy mężczyzna się zbliżał. Nie miał

wątpliwości, że tamten go rozpoznał. I wiedział, dlaczego jest w tak kiepskim stanie. W końcu to zapewne on wstrzyknął mu na plaży toksynę.

Harpunnik.

Zabójca właśnie wszedł bocznymi drzwiami. Dzieliło ich jakieś sześć metrów. W

prawej dłoni trzymał coś, co wyglądało na nóż. Battat nie byłby w stanie z nim walczyć. Musiał spróbować dostać się z powrotem do holu.

Odwrócił się, ale ruch był zbyt szybki. Pociemniało mu w oczach i zatoczył się na jedną ze sklepowych witryn. Szybko odepchnął się barkiem. Powlókł się naprzód. Gdyby tylko dostał się do holu, choćby miał tam nawet paść prosto na twarz, być może ktoś dotarłby do niego przed Harpunnikiem.

Dobrnął do rzędu budek. Zaczął sunąć wzdłuż ściany, pomagając sobie lewą ręką.

Odepchnięcie, krok, odepchnięcie, krok.

W połowie rzędu poczuł przesuwający się mu po gardle sztywny materiał. Rękaw.

Silne ramię pociągnęło go w tył.

-

Kiedy spotkaliśmy się ostatnio, potrzebowałem cię żywego - wyszeptał

chrapliwie zabójca. - Nie tym razem. Chyba że powiesz mi, z kim pracujesz.

-

Wsadź sobie - wycharczał Battat.

I w tej sekundzie poczuł mocne kopnięcie kolaniem w krzyż. Jeśli Harpunnik zamierzał zabić go na stojąco, będzie zawiedziony. Nogi odmówiły Battatowi posłuszeństwa, poleciał na podłogę. Harpunnik natychmiast wypuścił go i błyskawicznie znalazł się z przodu. Usiadł na nim okrakiem, pakując mu kolano w pierś. Battat poczuł ostre ukłucie w boku. Co najmniej jedno żebro złamane.

Harpunnik przytknął mu nóż do gardła, z lewej strony. Ostry szpic wbijał się tuż pod uchem.

-

Nie - wysyczał Harpunnik, wpatrując się z wściekłością w Battata. - To wsadzę tobie.

Battat był zbyt słaby, by walczyć. Wiedział, że za moment Harpunnik poderżnie mu gardło od ucha do ucha i zostawi go dławiącego się własną krwią. Nie mógł jednak nic zrobić. Nic.

Poczuł ukłucie na gardle. Chwilę później usłyszał ciche pyknięcie i krew trysnęła mu na oczy. Sądził, że przekłucie gardła bardziej boli. Po pierwszym ukłuciu nie było już więcej bólu. Nie czuł ostrza przecinającego skórę. I wciąż mógł oddychać.

Po ułamku sekundy usłyszał kolejne pyknięcie. Zamrugał gwałtownie, by pozbyć się krwi z oczu. Harpunnik zamarł w bezruchu, wciąż przykucnięty na jego piersi.

Krew chlustała z rany w jego gardle. Wyraz twarzy miał jakby obojętny. Nie zrobił

żadnego wielkiego gestu, nic, co by odpowiadało rozmiarowi jego zbrodni. Tylko krótkie spojrzenie pełne dezorientacji i zaskoczenia. Potem oczy zabójcy zamknęły się, nóż wypadł mu z dłoni, a on sam runął na podłogę między Battatem a budkami telefonicznymi.

Battat wciąż leżał. Nie bardzo rozumiał, co się zdarzyło, dopóki nie pojawiła się Odette. Trzymała przed sobą pistolet z tłumikiem i patrzyła na Harpunnika.

-

Jesteś cały? - spytała Battata.

Podniósł rękę i pomacał swoją szyję. Poza strużką krwi po lewej stronie wydawała się nienaruszona.

-

Chyba tak - powiedział. - Dziękuję.

Zdołał na wpół wywinąć się, a na wpół wyczołgać, gdy Odette pochyliła się, by zbadać Harpunnika. Sprawdzając mu na nadgarstku puls, pistolet trzymała wycelowany w jego głowę. Następnie przyłożyła mu palce pod nosem, żeby sprawdzić, czy oddycha. Trafiła jednak w szyję i klatkę piersiową. Jego biała koszula już cała nasiąkła krwią.

-
Cieszę się, że go śledziłaś. - Battat wyjął z kieszeni chusteczkę i przyłożył sobie do rany.

-
Wcale nie - powiedziała Odette, wstając. - Zgubiłam go. Wtedy jednak pomyślałam, że może wrócić, by zatrzeć ślady. Wiedziałam też, które z nas rozpozna.

W tym momencie jedna z pokojówek w holu zobaczyła ciało i wrzasnęła. Wskazywała w ich stronę i wołała o pomoc. Odette przestąpiła zwłoki, żeby pomóc Battatowi wstać.

-
Musimy się stąd wydostać - ponagliła. - Chodź. Mój samochód stoi niedaleko...

-
Poczekaj. - Battat pochylił się nad Harpunnikiem i zaczął rozpinać paski jego plecaka. - Pomóż mi to zdjąć. W środku mogą być dowody, pomogą zidentyfikować jego współników.

-
Wstań - powiedziała Odette, wyciągając swój nóż. - Ja się tym zajmę.

Battat podciągnął się do góry, przytrzymując się budki, a Odette odcięła plecak. Następnie wzięła Battata pod ramię i poprowadziła korytarzem. Byli już prawie przy drzwiach, gdy ktoś krzyknął na nich z tyłu.

-
Stać!

Battat i Odette odwrócili się. Starszawy ochroniarz stał przy telefonach. Odette oparła Battata o jedną z witryn i wyciągnęła z tylnej kieszeni swoją odznakę.

-
Jestem Odette Kolker z jednostki numer trzy - powiedziała. - Człowiek na podłodze to poszukiwany terrorysta. To on wzniecił pożar w pokoju 310.

Proszę zabezpieczyć ten pokój. Zabieram mojego partnera do szpitala, żeby upewnić się, że dobrze się nim zajmą. Potem wrócę.

Nie czekała na odpowiedź mężczyzny ani na przybycie kolejnych ochroniarzy.

Odwróciła się i pomogła Battatowi wyjść z budynku.

Nieźle to rozegrała, pomyślał Battat. Dała człowiekowi zadanie i sprawiła, że poczuł się ważny, dzięki czemu im nie przeszkadzał.

Rześkie, czyste powietrze i ostre słońce pomogły Battatowi zdobyć się na ostatni wysiłek. Ostatni, wiedział to na pewno. Nogi miał jak z waty, nie mógł utrzymać głowy prosto. Dobrze, że szyja nie krwawiła zbyt mocno.

Dopiero gdy przeszli parkingiem na tyły hotelu, uświadomił sobie, czego dokonała Odette. Nie tylko uratowała mu życie, ale też powstrzymała Harpunnika.

Zlikwidowała terrorystę, który przez tyle lat wymykał się europejskim służbom bezpieczeństwa. Battat odczuł dumę na myśl, że sam się do tego odrobinę przyczynił. Tyle że teraz Odette nie będzie mogła zostać w Baku. Ciężko będzie wyjaśnić to jej przełożonym z policji. Jeśli zaś Harpunnik miał sojuszników, mogą jej tu szukać. Dla Odette najlepszym rozwiązaniem będzie zmiana tożsamości.

Pięć minut później Battat siedział na miejscu pasażera w samochodzie Odette.

Ruszyli, kierując się w stronę budynku amerykańskiej ambasady. Krótka trasa, ale on nie mógł czekać. Plecak Harpunnika zamknięty był na małą kłódkę. Battat pożyczył sobie nóż Odette i odciął klapę. Zajrzał do środka.

Znalazł tam trochę dokumentów oraz telefon Zet-4. Używał takiego w Moskwie. Był to bardziej skomplikowany model niż amerykański Tac-Sat, o zwartej budowie.

Battat wyjął telefon z futerału. Klawiatura alfanumeryczna i kilka dodatkowych przycisków, a nad nimi wyświetlacz ciekłokrystaliczny. Wcisnął guzik menu po prawej stronie wyświetlacza. Na użytek Harpunnika instrukcje były po angielsku.

Po raz pierwszy od przyjazdu do Baku David Battat zrobił coś, czego bardzo mu brakowało.

Uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ 56

Waszyngton

Wtorek, 4.27

Na środku Sali Sytuacyjnej stał stół konferencyjny, a wzdłuż trzech ścian krzesła. Do podłokietników miały przytwierdzone komputerowe ekrany. Dostarczały one doradcom aktualnych informacji. Czwartą ścianę zajmował szeroki na trzy metry monitor wysokiej rozdzielczości, połączony z Narodowym Biurem Rozpoznania Satelitarnego. Obrazy satelitarne w czasie rzeczywistym można było na nim powiększać z dokładnością do jednego metra. Większości z tych supernowoczesnych ulepszeń dokonano w ciągu poprzednich czterech lat. Kosztowały ponad dwa miliardy dolarów, przeznaczonych na konserwację obiektów rekreacyjnych Białego Domu, w tym basenu i kortów tenisowych.

Hood i pierwsza dama weszli do niskiej, białej sali. Drzwi znajdowały się dokładnie pod ekranem wysokiej rozdzielczości. Dowódcy armii lądowej, marynarki, sił powietrznych i korpusu piechoty morskiej siedzieli po jednej stronie stołu ze swym przewodniczącym, generałem Otisem Burgiem, pośrodku. Burg był potężnym mężczyzną przed sześćdziesiątką. Miał ogoloną czaszkę i stalowoszare oczy, których spojrzenie stwardniało pod wpływem wojny i politycznej biurokracji.

Doradcy szefów siedzieli za nimi. Po drugiej stronie stołu zasiadali prezydent, wiceprezydent, szef NSA Fenwick, szef sztabu prezydenckiego Gable i zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego Don Roedner. Sądząc po ich napiętych twarzach, albo pro-174

wadzili trudne rozmowy, albo nie spodobało im się wtargnięcie. A może jedno i drugie.

Kilku dygnitarzy dało wyraz zdziwieniu, widząc Hooda z pierwszą damą. To samo zrobił prezydent. Wstawał właśnie, by wyjść z nią do sąsiedniego pokoju i porozmawiać. Teraz zamarł i powiódł wzrokiem od Megan do Hooda i z powrotem.

Przybyli zatrzymali się u szczytu stołu konferencyjnego.

-

Co się dzieje? - zapytał prezydent.

Hood spojrzał na szefów sztabów, którzy wbijali w niego niecierpliwe spojrzenia.

Zrozumiał, że nie ma za wiele czasu na przedstawienie sprawy.

-

Panie prezydencie - powiedział - istnieje coraz więcej dowodów na to, że ataku na irańską platformę naftową dokonali nie Azerowie, tylko Irańczycy pod kierownictwem terrorysty znanego jako Harpunnik.

Prezydent usiadł.

-

Po co? - zapytał.

-

Aby Iran mógł uzasadnić wprowadzenie swoich okrętów i zagarnięcie tyłu obszarów roponośnych, ile to możliwe - odparł Hood.

-

Ryzykując militarną konfrontację ze Stanami Zjednoczonymi? - spytał

Lawrence.

-

Nie, panie prezydencie. - Hood spojrział na Fenwicka. - Sądzę, że za warty został układ, zapewniający, że Stany Zjednoczone nie interweniują.

Kiedy napięcia wygasną, zaczniemy po prostu kupować ropę od Teheranu.

-

A kiedy dokonano tych uzgodnień? - zapytał prezydent.

-

Wczoraj, w Nowym Jorku. Prawdopodobnie po wielu miesiącach negocjacji.

-

Chodzi panu o wizytę Jacka w irańskiej ambasadzie - domyślił się prezydent.

-

Tak, panie prezydencie.

-

Pan Fenwick nie był upoważniony do składania takiej oferty - zauważył prezydent. - Gdyby ją złożył, nie byłaby ważna.

-

Może być ważna, gdyby opuścił pan urząd - powiedział Hood.

-

To jest żalosne! - zawołał Fenwick. - Byłem w ambasadzie irańskiej, by spróbować poszerzyć nasze źródła wywiadowcze na Bliskim Wschodzie.

Już to wyjaśniłem i potrafię udokumentować. Mogę dokładnie powiedzieć, z kim i kiedy się spotkałem.

-

Wszystko to jest częścią wielkiego kłamstwa - powiedział Hood.

-

Pan Roedner był tam ze mną- bronił się Fenwick. - Mam zrobione tam notatki i z przyjemnością podam swoich rozmówców. A co pan ma, panie Hood?

-

Prawdę - odparł bez wahania. - To samo, co miałem, kiedy poprzysiągł
pan nie dopuścić mnie do prezydenta.

,

-
Przysięgłem jedynie, że nie pozwolę panu zawracać głowy panu prezydentowi - upierał się Fenwick.
- Sekretne układy z Iranem. Wyrzucenie prezydenta z fotela. To nie jest prawda, panie Hood. To paranoja!

Wiceprezydent spojrział na zegarek.

-
Panie prezydencie, proszę mi wybaczyć, ale marnujemy czas. Musimy kontynuować naradę.

-
Zgadzam się - poparł go generał Burg. - Nie nadążam za tym przerywaniem piłeczki i nie jest moim zadaniem określać, który z tych panów wciska kit. Niezależnie jednak, czy reagujemy defensywnie, czy ofensywnie, musi my szybko podjąć kilka decyzji, jeśli mamy dorównać koncentrowanym siłom irańskim.

Prezydent przytaknął.

-
Proszę zatem kontynuować naradę, panie prezydencie, generale Burg -

powiedział Hood. - Proszę jedynie opóźnić działania zbrojne tak bardzo, jak to możliwe. Proszę dać mi czas na dokończenie rozpoczętego przez nas śledztwa.

-
Prosiłem o dowody na poparcie pańskich tez - stwierdził prezydent ab solutnie spokojnym głosem. - Nie posiada ich pan.

-
Jeszcze nie.

-
A my nie mamy tyle czasu na śledztwo, ile myślałem. Musimy postępować w dalszym ciągu tak, jakby kaspjskie zagrożenie było realne. - Prezydent najwyraźniej chciał zakończyć dyskusję.

-

Ależ tego właśnie od pana oczekują! - Hood podniósł głos. Był coraz bardziej zdenerwowany. Powinien się trochę pohamować. Wybuch podko pałby jego wiarygodność. - Uważamy, że wyreżyserowano ten kryzys po to, by postawić pod znakiem zapytania pańską zdolność kierowania krajem.

-

Ludzie spierają się o to od lat - powiedział prezydent. - Raz już nie wybra-
li mnie ponownie. Ale ja nie podejmuję decyzji, opierając się na sondażach.

-

Nie mówię tu o dyskusji politycznej - powiedział Hood. - Mówię o pańskim stanie umysłowym i
emocjonalnym. To właśnie będzie centralną kwestią.

Fenwick pokręcił smutno głową.

-

Panie prezydencie, to rzeczywiście kwestia zdrowia umysłowego. Pan Hood w ciągu ostatnich
dwóch tygodni przeżywał niezwykle silne stresy.

Jego nastoletnia córka zdradza objawy choroby psychicznej. On sam włoś nie się rozwodzi.
Potrzebuje długiego odpoczynku.

-

Nie uważam, aby to pan Hood potrzebował zwolnienia - wtrąciła pierwsza dama. Jej głos był
wyraźny i podszyty gniewem. Uciszyła całą salę. -

Panie Fenwick, od kilku już tygodni obserwuję, jak mój mąż jest oszukiwany i wprowadzany w błąd.
Pan Hood przyjrzał się sytuacji na moją osobistą prośbę. Jego śledztwo było metodyczne, a jego
wnioski, moim zdaniem, mają 176

podstawy. - Spojrzała gniewnie na Fenwicka. - A może mnie też zarzuci pan kłamstwa?

Fenwick nic nie powiedział.

Prezydent przyjrzał się żonie. Megan stała niewzruszenie przy boku Hooda. W

wyrazie jej twarzy nie było nic przeproszającego. Prezydent wyglądał na zmęczonego, ale również na
zasmuconego. Czy to dlatego że Megan działała za jego plecami? Czy też może czuł, że ją zawiódł?

Obydwoje trwali w ciszy. Najwyraźniej tę kwestię mieli rozwiązać kiedy indziej, na osobności.

Po chwili wzrok prezydenta wrócił do Hooda. Smutek pozostał.

-

Pana niepokój został odnotowany i doceniony - powiedział prezydent. -

Nie zamierzam jednak narażać interesów narodowych dla ochrony własnych.

Zwłaszcza że nie ma pan dowodów.

-

Potrzebuję jedynie kilku godzin.

-

Niestety, nie mamy tych kilku godzin - odparł prezydent.

Przez chwilę wyglądało na to, że Megan ma ochotę przytulić męża. Nie zrobiła tego. Spojrzała na Fenwicka, a następnie na szefów sztabów.

-

Dziękuję za wysłuchanie nas. Przepraszam za najście.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

Hood nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Będzie musiał wrócić do Sali Gabinetowej, skontaktować się z Herbertem i Orłowem. Spróbować zdobyć dowód, którego potrzebuje prezydent, i to szybko.

Skierował się do drzwi. W tej samej chwili gdzieś w pokoju coś zapiszczało.

Telefon komórkowy. Dźwięk dochodził z wewnętrznej kieszeni marynarki Fenwicka.

Nie powinien tu mieć zasięgu, pomyślał Hood. Ściany w Sali Sytuacyjnej wypełnione były obwodami, które wytwarzały losowe impulsy elektryczne, czyli sieci impedancji. Sieci te miały za zadanie blokować komunikację ewentualnych podsłuchów z kimkolwiek na terenie Białego Domu. Odcinały też rozmowy przez telefony komórkowe, z jednym wyjątkiem: transmisji przekazywanych za pomocą rządowych satelitów Hefajstos.

Hood odwrócił się, gdy szef NSA sięgał do kieszeni. Fenwick wyjął aparat i wyłączył dzwonek.

Bingo.

Skoro przedostał się przez zabezpieczenia, musiało to być połączenie przez Hefajstosa. Z kim nie

chciał w tej chwili rozmawiać Fenwick?

Hood pochylił się w stronę szefa NSA i wyrwał mu telefon z ręki. Fenwick sięgnął po niego, ale Hood odsunął się.

-

Co pan, do cholery, robi? - oburzył się Fenwick. Odsunął krzesło i wstał.

Podszedł do Hooda.

-

Rzucam moją karierę na szalę - odparł Hood. Otworzył klapkę i odebrał telefon. - Tak?

-

Kto mówi? - zapytał dzwoniący.

-

To linia Jacka Fenwicka w NSA. - Hood podszedł do prezydenta. - Kto dzwoni?

-

Nazywam się David Battat - powiedział wyraźny głos po drugiej stronie.

Hood poczuł, jak kamień spada mu z serca. Trzymał telefon w taki sposób, by prezydent również mógł słyszeć. Fenwick stanął przy nich. Nie sięgnął po aparat. Po prostu tam stał.

-

Panie Battat, tu mówi Paul Hood z Centrum Szybkiego Reagowania.

-

Paul Hood? - powiedział Battat. - Dlaczego odbiera pan tą linię?

-

To długa historia - powiedział Hood. - Jaka jest pańska sytuacja?

-

O niebo lepsza od sytuacji pana Fenwicka - stwierdził Battat. - Właśnie zdjęliśmy Harpunnika i przejęliśmy jego telefon kodujący. Ten numer był

pierwszy na liście szybkiego wybierania.

ROZDZIAŁ 57

Waszyngton

Wtorek, 4.41

Paul Hood przeszedł w róg sali, by dokończyć rozmowę z Battatem. Chciał otrzymać wszystkie informacje o Harpunniku i o tym, co się zdarzyło. Tymczasem prezydent Lawrence wstał. Spojrzał na żonę, która zatrzymała się w drzwiach. Przesłał jej lekki uśmiech. Tylko tyle, by przekazać jej, że wszystko z nim w porządku i że zrobiła, co należało. Następnie odwrócił się do Fenwicka. Szef NSA wciąż stał

obok niego. Ręce sztywno wyciągnął wzdłuż boków, minę miał buntowniczą. Reszta obecnych pozostała na swoich miejscach. Wszyscy wpatrywali się w Lawrence'a i Fenwicka.

-

Dlaczego Harpunnik miał pana bezpośredni numer i kod dostępowy He fajstosa? - zapytał prezydent. W jego głosie brzmiała nowa pewność siebie.

-

Nie potrafię na to odpowiedzieć - odparł Fenwick.

-

Czy pracował pan z Iranem nad przejęciem azerbejdzańskich źródeł ropy?

- spytał prezydent.

-

Nie pracowałem.

-

Czy pracował pan z kimkolwiek nad zorganizowaniem przejęcia Gabi netu Owального? - spytał z kolei prezydent.

-

Nie, panie prezydencie - odparł Fenwick. - Jestem równie zaskoczony, jak pan.

-

Czy wciąż uważa pan pana Hooda za kłamcę?

-

Uważam, że posiada błędne informacje. Nie potrafię wyjaśnić tego, co się dzieje - powiedział Fenwick.

Prezydent usiadł z powrotem.

-

W żaden sposób?

-

Nie, panie prezydencie.

Prezydent spojrzał poprzez stół.

-

Generale Burg, w tej chwili polecę sekretarzowi stanu i naszemu ambasadorowi przy ONZ wziąć się za tę sprawę. Czy byłby pan skłonny nadzorować wprowadzenie w regionie średniego stopnia gotowości bojowej?

Burg rozejrzał się po kolegach. Nikt nie zgłosił protestu. Generał odwrócił się do prezydenta.

-

Biorąc pod uwagę zamieszanie co do tego, z kim mielibyśmy walczyć, stopień żółty bardzo mi odpowiada.

Prezydent skinął głową. Spojrzał na zegarek.

-

Spotkamy się ponownie o szóstej trzydziści w Gabinetcie Owalnym.

Przez ten czas uzgodnię z sekretarzem prasowym tekst oświadczenia do po rannych wiadomości. Chciałbym uspokoić ludzi w kwestii naszych wojsk oraz dostaw ropy. - Przeniósł wzrok na wiceprezydenta i Gable'a. - Zamierzam poprosić prokuratora generalnego, by możliwie jak najdyskretniej przyjrzał się sytuacji. Chcę, żeby ustalił, czy ktoś dopuścił się zdrady. Czy któryś z panów ma jakieś uwagi?

W głosie prezydenta było coś wyzywającego. Hood skończył właśnie rozmawiać i odwrócił się w stronę stołu. Pozostał jednak w narożniku. Nikt inny się nie poruszył.

Wiceprezydent pochylił się do przodu i położył ręce na stole. Nic nie powiedział. Gable nawet nie drgnął. Zastępca Fenwicka, Don Roedner, wpatrywał

się w blat stołu konferencyjnego.

-

Żadnych sugestii? - naciskał prezydent.

Ciężkie milczenie trwało jeszcze moment. Wtedy odezwał się wiceprezydent:

-

Nie będzie żadnego śledztwa.

-

Dlaczego nie? - spytał prezydent.

-

Ponieważ przed końcem tego ranka będzie pan miał na biurku trzy proś by o dymisję - odparł Cotten. - Panów Fenwicka, Gable'a i Roednera. W zamian za te rezygnacje nie będzie żadnych zarzutów, procesów i wyjaśnień innych niż takie, że powstały różnice zdań na temat realizowanej polityki.

Na czoło Fenwicka wystąpił pot.

-

Trzy dymisje, panie wiceprezydencie?

-

Tak, panie Fenwick. - Cotten nie patrzył na szefa NSA. - W zamian za całkowitą amnestię.

Hood nie przeoczył podtekstu. Prezydent z pewnością również nie. A więc wiceprezydent też w tym siedział. Prosił pozostałych, by wzięli na siebie konsekwencje - ale nie za duże. Opuszczenie administracji dla wysoko postawionych urzędników często oznaczało szybką karierę w sektorze prywatnym.

Prezydent pokręcił głową.

-

Mam tu grupę członków administracji, którzy najwyraźniej spiskowali z międzynarodowym terrorystą, by ukraść ropę naftową jednemu krajowi, oddać ją drugiemu, zebrać polityczne korzyści i w międzyczasie ukraść sta nowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych. A ty siedzisz tu, arogancko ogłaszaając, że ci zdrajcy dostaną faktyczną amnestię. W dodatku wygląda na to, że jeden z nich utrzyma się na stanowisku, by zostać następnym prezyden tem.

Cotten spojrział na Lawrence'a.

-

To właśnie ogłaszam, tak - powiedział. - Alternatywna jest międzyna rodowy incydent, w którym wyjdzie na to, że Stany zdradziły Azerbejdżan.

Seria śledztw i procesów, która będzie prześladować obecną administrację, i zostanie jej jedyną spuścizną. Do tego prezydent, który nie zdawał sobie sprawy z tego, co dzieje się w kręgu jego najbliższych doradców. Prezydent, którego własna żona podejrzewała o zaburzenia umysłowe lub emocjonal ne. To z pewnością podważy autorytet prezydenta.

-

Wszystkim uchodzi na sucho - powiedział gniewnie prezydent. - I ja mam się na to zgodzić?

-

Wszystkim uchodzi na sucho - powtórzył zimno wiceprezydent.

-

Panie wiceprezydencie - odezwał się generał Burg. - Chcę tylko powie dzieć, że gdybym miał przy sobie broń, odstrzeliłbym panu dupę.

-

Generale Burg - wycodził wiceprezydent - biorąc pod uwagę żalorny stan naszej armii, jestem pewien, że by pan spudłował. - Przeniósł wzrok na prezydenta. - Nie miało być wojny. Nikt by do nikogo nie strzelał. Z Iranem osiągnięto by porozumienie, nasze stosunki zostałyby znormalizowane, a Amerykanie mieliby zagwarantowany dopływ ropy. Cokolwiek myśli się o metodach, to wszystko robione było dla dobra kraju.

-

Łamanie prawa nigdy nie jest dobre dla kraju - zauważył prezydent. -

Wystawiliście na niebezpieczeństwo niewielki, przedsiębiorczy kraj, próbujący się odnaleźć w poradzieckim świecie. Próbowaliście zmienić efekt de cyzji amerykańskiego elektoratu. I straciliście moje zaufanie do was.

Cotten wstał.

-

Nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy, panie prezydencie - odparł. - W prze ciwnym wypadku złożyłbym rezygnację. Do zobaczenia na zebraniu o szó stej trzydzieści.

-

Nie będziesz tam potrzebny - powiedział prezydent.

-

Doprawdy? - zachnął się wiceprezydent. - Woli pan, żebym poszedł do Today Show, by dyskutować o naszej polityce w rejonie kaspijskim?

-

Nie - odparł prezydent. - Wolałbym, żebyś napisał wniosek o dymisję i

złożył go wraz z resztą.

Wiceprezydent potrząsnął głową.

-

Nie zrobię tego.

-

Zrobisz. I uzasadnisz swoją rezygnację wyczerpaniem nerwowym. Nie zrobię z ciebie męczennika niekonstytucyjnego zdjęcia ze stanowiska. Proszę sobie poszukać innej pracy, panie Cotten.

-

Panie prezydencie, grozi pan niewłaściwemu człowiekowi - ostrzegł

Cotten.

-

Nie sądzę - odparł prezydent. Jego oczy i głos stały się twarde jak stal.

-

Co do jednego ma pan rację, panie Cotten. Nie chcę krajowego czy między narodowego skandalu. Ale raczej już zniosę coś takiego, niż żeby zdrajca pretendował do fotela prezydenckiego. Albo pan rezygnuje, albo, w zamian za amnestię, skłonię pana Fenwicka i jego wspólników, by powiedzieli pro kuratorowi generalnemu, jaka była pańska w tym rola.

Cotten milczał. Czerwienił się i milczał.

Prezydent sięgnął po telefon stojący przed nim. Nacisnął guzik.

-

Kapralu Cain?

-

Tak, panie prezydencie?

-

Proszę nakazać nieuzbrojonemu patrolowi natychmiast zameldować się w Sali Sytuacyjnej - polecił mu Lawrence. - Jest tu kilku dżentelmenów, którzy potrzebują eskorty do swoich gabinetów, a następnie na zewnątrz.

-

Nieuzbrojonemu, panie prezydencie? - upewnił się Cain.

-

Właśnie tak - powiedział Lawrence. - Nie będzie żadnych problemów.

-

W tej chwili, panie prezydencie.

-

Proszę poczekać przed drzwiami - dodał prezydent. - Ci panowie zaraz do was dołączą.

-

Tak jest, panie prezydencie.

Prezydent rozłączył się. Spojrzał na czterech mężczyzn.

-

Jeszcze jedno. Informacje o waszej roli w tych wydarzeniach nie mogą opuścić tego pomieszczenia. Ułaskawienie was byłoby grzechem. Milczenie nie jest waszą jedyną gwarancją.

Mężczyźni odwrócili się i ruszyli do drzwi. Megan Lawrence ustąpiła im drogi.

Spojrzenie Hooda spotkało się z jej spojrzeniem. Pierwsza dama promieniała dumą.

Najwyraźniej myśleli sobie to samo. Była jedynym Lawrence'em, który dziś ustąpił.

ROZDZIAŁ 58

Sankt Petersburg, Rosja

Wtorek, 12.53

W większości agencji wywiadowczych trudno odróżnić dzień od nocy. I? To dlatego, że spiski i szpiegostwo nigdy nie odpoczywają, więc ci, którzy walczą z terrorystami i szpiegami, także pracują dwadzieścia cztery 181

godziny na dobę. Większość tych instytucji tętni życiem także w nocy. W

rosyjskim Centrum Operacyjnym również jest nawet słabiej wyczuwalna, ponieważ cały kompleks mieści się pod ziemią. Nigdzie nie ma okien.

Generał Orłow zawsze jednak wiedział, kiedy mijало południe. Wiedział to, bo zawsze o tej porze dzwoniła jego kochająca żona. Zawsze dzwoniła tuż po porze obiadu, żeby sprawdzić, jak jej Siergiejowi smakowały kanapki. Zadzwońiła również dzisiaj, choć nie miała czasu, by przygotować mu jedzenie.

Niestety, rozmowa trwała krótko. Jak zwykle. Dłuższe rozmowy odbywali, gdy latał

w kosmos, niż teraz, gdy pracował w Centrum. Dwie minuty po telefonie Maszy zadzwoniła Odette. Powiedział Maszy, że jest zmuszony oddzwonić. Zrozumiała.

Masza zawsze rozumiała.

Orłow przełączył linie.

-

Odette, co z tobą? - zapytał generał niecierpliwie.

-

Wszystko w porządku - odparła. - Wykonaliśmy misję.

Orłow na moment zaniemówił. Martwił się o Odette i niepokoił o wynik misji.

Teraz dosłownie oniemiał z dumy.

-

Były pewne komplikacje - ciągnęła Odette - ale nam się udało. Nie było innych ofiar.

-

Gdzie teraz jesteś? - spytał Orłow.

-

W ambasadzie amerykańskiej - powiedziała. - Panem Battatem zajmują się lekarze. Później idę do komendy. Musiałam pokazać odznakę pracowni kowi hotelu, ale chyba uda mi się to jakoś wyjaśnić przełożonym. Harpunnik wzniecił pożar. Mogę powiedzieć kapitanowi, że weszłam sprawdzić, czy się nie przydam.

-

Więc nie chcesz wyjechać? - zapytał Orłow.

-

Sądę, że będą się tu po tym wszystkim działy ciekawe rzeczy - powie działa. - Chciałabym zostać jeszcze jakiś czas.

-

Jeszcze o tym pogadamy. Jestem z ciebie dumny, Odette. I wiem, że ktoś jeszcze też byłby.

-

Dziękuję - powiedziała. - Myślę, że Wiktor dziś nade mną czuwał. Po dobie jak David Battat. Cieszę się, że polecił mu pan się dołączyć.

Odette podała Orłowowi więcej szczegółów. Umówili się na kolejny telefon za sześć godzin. Jeśli musiałaby jednak opuścić Baku, zdążyłaby jeszcze złapać samolot Aerofłotu o dwudziestej.

Orłow napawał się przez chwilę radościami zwycięstwa. Po pierwsze, wygrał bitwę z zaciekłym wrogiem. Po drugie, podjął właściwą decyzję, wysyłając w teren Odette i Battata razem. Wreszcie, pomógł Paulowi Hoodowi. Nie tylko spłacił tym stary dług, ale i otworzył drzwi do przyszłej bliskiej współpracy.

Odette powiedziała, że Battat rozmawiał już z Paulem Hoodem. Orłow zamierzał zadzwonić do niego za kilka minut. Najpierw jednak chciał przekazać wieści członkom ekipy, którzy uczestniczyli w polowaniu.

Miał właśnie posłać po Groskiego i Korsowa, kiedy ci weszli do jego gabinetu.

Korsow trzymał zwinięty schemat.

-

Panie generale - rozpromienił się - mamy wiadomości.

-

Dobre? spytał Orłow.

-

Tak, panie generale - odparł Korsow. - Ta informacja o rosyjskiej tożsa mości Harpunnika, którą przekazali nam Amerykanie, okazała się bardzo pomocna.

-Tak?

-

Już wiemy, jakim cudem pojawiał się nagle w Moskwie i niezauważał nie znikał - powiedział Korsow. Podszedł i rozłożył schemat na biurku Or-

łowa. - To mapa dawnych tras kolejowych radzieckiej armii - powiedział. -

Jak pan wie, wjeżdżają pod ziemię sporo przed Moskwą i mają przystanki w różnych punktach miasta.

-

Zaplanowano je w ten sposób, żeby oddziały można było przemieszczać potajemnie, w celu tłumienia zamieszek czy nawet w razie ataku z zewnątrz

-

dodał Groski.

-

Wiem o nich - powiedział Orłow. - Jeździłem nimi.

-

Ale o tym może pan nie wiedzieć - powiedział Korsow.

Analitik wskazał piórem cieniutką czerwoną linię. Prowadziła ze stacji Kijewska do kilku innych stacji rozrzuconych po mieście. Orłow nie miał

pojęcia, co to takiego.

-

To nie jest zaznaczone, jak pan widzi, mimo iż odchodzi od głównej linii

-

ciągnął Korsow. - Sądziliśmy, że może to być jakiś tunel eksploatacyjny, ale spojrzeliśmy jeszcze na starą mapę z GRU, żeby się upewnić. To stary tunel Stalina. Gdyby Niemcom udało się dotrzeć w czasie wojny do Moskwy, Stalin ewakuowałby się tym systemem. Tylko jego najbliżsi doradcy wojskowi wiedzieli, że on w ogóle istnieje. - Korsow cofnął się i splótł ramiona. - Sądzymy, panie generale, że do złapania naszego szczura wystarczy umieścić przy wejściu i wyjściu kamery wideo. Wcześniej czy później Harpunnik z pewnością się tam zjawi.

Orłow spoglądał przez chwilę na mapę, po czym oparł się w fotelu.

-

Rozwiązaliście bardzo trudną zagadkę - powiedział. - Doskonała robota.

-

Dziękujemy, panie generale - uśmiechnął się Korsow.

-

Na szczęście - ciągnął Orłow - Harpunnik został dziś zabity. Jedyne szczury, jakie będą korzystać z tunelu, to te czworonożne.

Usta Groskiego skrzywiły się lekko. Twarz Korsowa całkiem oklapła.

- Ale bez was to by się nie udało, i tak właśnie napiszę w moim raporcie dla prezydenckiego doradcy wywiadowczego - obiecał Orłow. Wstał i wyciągnął dłoń do obu po kolei. - Jestem z was obu dumny i głęboko wdzięczny.

Rozczarowanie Korsowa szybko wyparowało. Usta Groskiego pozostały skrzywione.

Ale nawet wieczna ponurość Groskiego nie mogła zepsuć tej chwili.

Niedoświadczona kobieta, chory mężczyzna i dwóch byłych wrogów połączyło siły, by osiągnąć coś wielkiego.

To było niesamowite uczucie.

ROZDZIAŁ 59

Waszyngton

Wtorek, 5.04

Po tym, jak wyprowadzono wiceprezydenta i jego ludzi, prezydent poprosił Hooda, by na niego zaczekał. Hood wyszedł z Sali Sytuacyjnej, zostawiając w niej prezydenta i Megan za stołem konferencyjnym, pogrążonych w rozmowie. Prezydent ujął dłonie żony. Wydawał się opanowany, znów miał wszystko pod kontrolą.

Szefowie sztabów opuścili salę krótko po grupie Cottena. Szybko ruszyli do windy. Zanim odjechali, generał Burg zatrzymał się i odwrócił do Hooda. Uścisnął

mu dłoń.

-

Odwalił pan tam dobrą, sprytną robotę - powiedział generał. - I miał pan jaja. Moje gratulacje, panie Hood. Jestem dumny, że mogę z panem praco wać. Dumny, że jestem Amerykaninem.

W każdych innych okolicznościach i z innych ust te słowa zabrzmiałyby fałszywie.

Ale system zadziałał pomimo tak groźnych sił i nacisków, jakim go poddano.

Generał Burg miał wszelkie powody, by być dumny. Hood był.

Dziękuję, generale - powiedział szczerze.

W korytarzu zapadła cisza, słyhać było tylko szepty prezydenta i pierwszej damy. Hood odczuwał ulgę, ale wciąż jeszcze był nieco zszokowany. Nie wierzył, że prasa przyjmie na wiarę oficjalne powody nagłej rezygnacji wiceprezydenta i trzech czołowych urzędników. To jednak bitwa dla innych wojowników i na inny dzień. Hood i jego zespół uratowali prezydenturę i pokonali Harpunnika. W tym momencie jedyne, czego pragnął, to wysłuchać, co ma mu do powiedzenia prezydent, wrócić do hotelu i zasnąć.

Prezydent i pierwsza dama wyszli po kilku minutach. Wyglądali na zmęczonych, ale zadowolonych.

-

Czy twój człowiek w Baku powiedział coś więcej? - zapytał prezydent, zmierzając w stronę Hooda.

-

Niespecjalnie, panie prezydencie. Jest w tej chwili w amerykańskiej ambasadzie. Jeszcze będziemy rozmawiać. Jeśli przekaże mi jakieś wieści, natychmiast pana powiadomię.

Prezydent skinął głową, zatrzymując się przy Hoodzie. Megan stała obok niego.

-

Przepraszam, że musiałeś czekać, ale pani Lawrence i ja chcieliśmy po dziękować ci wspólnie - powiedział prezydent. - Powiedziała mi, że pracowałeś nad tym non stop od niedzieli wieczór.

-

To było długie półtora dnia - przyznał Hood.

-

Naturalnie możesz przespacerować się na górę, jeśli chcesz - powiedział prezydent. - Albo szofer odwiezie cię do domu.

-

Dziękuję, panie prezydencie - powiedział Hood. Spojrzał na zegarek. -

Szczyt zacznie się dopiero o szóstej, więc powinno być w porządku. Opuść czę tylko szybę i ponapawam się rześkim powietrzem.

-

Jeśli jesteś tego pewien - odparł prezydent. Wyciągnął do niego dłoń. -

Mam dużo roboty. Megan odwiezie cię na górę. I dziękuję raz jeszcze. Za wszystko.

Hood uściskał dłoń prezydenta.

-

To był dla mnie zaszczyt, panie prezydencie.

Gdy prezydent odszedł, Megan odwróciła się do Hooda. Miała łzy w oczach.

-

Uratowałeś go, Paul. Chcieli go sprowadzić do obłędu i prawie im się udało. Ale kiedy tak tam stałam, widziałam, jak wraca do siebie.

-

Sam tego dokonał - stwierdził Hood. - A bez pani ostrzeżenia nic bym w tej sprawie nie zrobił.

-

Choć raz w życiu, Paul, nie pomniejszaj swoich zasług - powiedziała Megan. - Ty podjąłeś całe ryzyko. Gdyby coś poszło nie tak, byłbyś skończony.

Hood wzruszył ramionami. Megan skrzywiła się.

-

Nie denerwuj mnie. Michael w jednym ma rację. Jesteś zmęczony. Na pewno nie chcesz chwilę odpocząć, zanim ruszysz z powrotem?

-

Na pewno - odparł Hood. - Muszę poskładać jeszcze kilka elementów, no i chcę zadzwonić do Sharon.

-

Jak wam się teraz układa? - spytała Megan.

-

Na tyle dobrze, na ile to możliwe - powiedział Hood. - Harleigh jest w szpitalu, więc skupiamy się na tym.

Megan dotknęła jego ramienia.

-

Gdybyś chciał porozmawiać, jestem tu.

Hood podziękował jej uśmiechem. Wyszli razem, a potem Hood poszedł do samochodu.

W oddali zahuczał samolot. Hood spojrział w górę, otwierając 185

drzwi. Pierwsze smuzki światła wynurzały się po drugiej stronie Białego Domu. W jakiś sposób wydawało się to pasować.

ROZDZIAŁ 60

Waszyngton

Wtorek, 6.46

Hood był zadziwiająco przytomny, gdy dotarł do swego biura. Mike'a Rodgersa nie było. Dwie godziny wcześniej zostawił wiadomość głosową o kryzysie militarnym, jaki rozził się na granicy indyjsko-pakistańskiej. Rodgers powiedział, że jedzie do domu trochę odpocząć przed wyruszeniem na spotkanie w Pentagonie. Chociaż generał Rodgers był oficjalnie pracownikiem Centrum Szybkiego Reagowania, wzywano go do oceny punktów zapalnych w różnych zakątkach świata.

Bob Herbert wciąż był na nogach i „pod guzikiem”, jak to określał. Zjawił się w gabinecie Hooda i pokrótce przekazał mu nieco dodatkowych, zdobytych przez Orłowa informacji o Harpunniku i jego posunięciach. Następnie zapytał, jak poszło w Białym Domu.

Herbert w skupieniu wysłuchał rzeczowej relacji swego szefa. Kiedy Hood skończył, westchnął.

-

Siedziałem tu, zbierając informacje, podczas gdy ty byłeś w polu, ratując Amerykę i konstytucję przed demagogiem.

-

Niektórzy to mają szczęście - powiedział Hood sarkastycznie.

-

No - przyznał Herbert. - Ale to nie tobie zazdroszczę.

-He?

Hood zastanowił się przez moment. Olśniło go tuż przed tym, jak Herbert to powiedział.

-

Szkoda że to nie ja załatwiłem Harpunnika - powiedział Herbert niskim, beznamiętnym głosem. Wpatrywał się przed siebie. Jego umysł był gdzieś daleko. - Zrobiłbym to powoli. Bardzo powoli. Sprawilibym, żeby cierpiał

tak, jak ja cierpiałem bez żony.

Hood nie wiedział, co powiedzieć, więc nie powiedział nic. Herbert spojrzał na niego.

-

Mam sporo urlopu, Paul. Wezmę go.

-

Powinieneś - stwierdził Hood.

-

Chcę pojechać do Baku i porozmawiać z tą kobietą, Odette - powiedział

Herbert. - Chce zobaczyć miejsce, w którym to się stało.

-

Rozumiem - odparł Hood.

Herbert uśmiechnął się. Oczy miał wilgotne.

-
Wiedziałem, że zrozumiesz. - Głos mu się załamał. - Tylko popatrz. To ty dwukrotnie w ciągu ostatnich dwóch tygodni miałeś dupę pod obstrzałem.

Ale to ja się łamię.

-
Nosisz w sobie ten ból i frustrację od niemal dwudziestu lat - powiedział

Hood. - To musiało wyjść na wierzch. - Zaśmiał się smutno. - Ja też pęknę, Bob. Pewnego dnia historia z ONZ, Biały Dom - nagle to na mnie spadnie i efektownie się posypię.

Herbert uśmiechnął się.

-
Wytrzymaj, aż wrócę z urlopu, żebym mógł pozbierać wszystkie śrubki i zębaki.

-
Umowa stoi.

Herbert objechał biurko i uściskał Hooda serdecznie. Potem obrócił wózek i wyjechał z gabinetu.

Hood wykonał krótki telefon do generała Orłowa, dziękując mu za wszystko i sugerując, żeby opracować sposób na integrację ich systemów na jakimś poziomie.

Stworzyć Interpol reagowania kryzysowego. Orłow podchwycił pomysł. Umówili się na rozmowę w tej sprawie następnego dnia.

Hood pożegnał się z Orłowem i spojrział na zegar swojego komputera. Wciąż było za wcześnie na telefon do domu. Postanowił pojechać do hotelu i z pokoju zadzwonić do Sharon i dzieciaków.

Wyszedł z biura i znów ruszył na górę. Przywitał zjawiających się właśnie członków dziennej zmiany: Darrella McCaskeya, Matta Stolla i Liz Gordon. Poleciał

im zgłosić się do Boba Herberta po najnowsze wiadomości.

Gdy dotarł na parking, zaczął się kryzys. Kofeina przebyła już całą drogę w jego organizmie. Jego ciało zdecydowanie zwalniało. Zbliżając się do samochodu, zobaczył Ann Farris. Właśnie wjeżdżała przez bramę. Zobaczyła go, pomachała i podjechała do niego.

Opuściła szybę.

-

Wszystko w porządku? - spytała.

Hood pokiwał głową.

-

To tylko zmęczenie. Bob jeszcze tu jest. Wszystko ci powie. Nie mamy jeszcze nic dla prasy.

-

Gdzie jedziesz? - zapytała.

-

Wracam do hotelu - odparł. - Muszę trochę odpocząć.

-

Wskakuj, podwiozę cię. Nie wyglądasz na kogoś, kto powinien prowa dzić.

-

Nie wiem, kiedy będę wracał. Potrzebuję samochodu.

-

Wrócisz dziś po południu - uśmiechnęła się Ann. - Znam cię. Dwu-, trzygodzinna drzemka i zjawisz się z powrotem. Zadzwoń, kiedy się obu dzisz, to podjadę i cię zabiorę.

Oferta brzmiała zachęcająco. Nie miał już ochoty na prowadzenie.

-
Dobra - powiedział.

Podszedł do strony pasażera i wśliznął się do środka. Zamknął oczy i dopiero na miejscu obudziło go szturchnięcie. Był otumaniony. Ann zostawiła samochód przed wejściem i odprowadziła go do pokoju.

Wróciła kilka minut później, zajęła miejsce za kółkiem i siedziała tak chwilę.

-
Chrzanić to - powiedziała.

Zamiast odjechać, odstawiła auto na główny parking i wróciła do środka.

Hood właśnie skończył krótką rozmowę z Sharon.

Zdjął buty i krawat i zaczął rozpinąć koszulę, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Pewnie boy z faksem z biura albo od adwokata. Nikt inny nie wiedział, że tu jest. Znalazł w portfelu dolara i otworzył drzwi. Widok Ann zaskoczył go.

-
Dzięki - powiedziała - ale nie wróciłam po napiwek.

Uśmiechnął się i wpuścił ją do środka.

Wciąż miała na sobie kurtkę, ale wyglądała inaczej. Wydawała się bardziej dostępna. To widać po oczach, uznał.

Zamknął za nią drzwi. Gdy to zrobił, zaskoczyło go coś jeszcze. Był zadowolony, że wróciła.

EPILOG

Baku, Azerbejdżan

Wtorek, 15.00

Przez cały późny poranek i wczesne popołudnie Rona Fridaya spotykały kolejne niespodzianki, jedna bardziej zaskakująca od drugiej.

Najpierw z zaskoczeniem odkrył w ambasadzie Davida Battata. Agentem CIA zaopiekował się lekarz ambasady. Wyglądał na wyjątkowo zdrowego i w jeszcze lepszym nastroju.

Następnie zaskoczyła Fridaya wiadomość, że Harpunnika zabiła tutejsza policjantka. Friday nie wiedziałby, jak go znaleźć ani jak wyglądał. Nie potrafił sobie wyobrazić, jakim cudem dorwała go jakaś policjantka. Może to przypadek albo nastąpiła pomyłka. Być może kogoś pomyłono z Harpunnikiem. Tak czy inaczej, władze zakładały, że to on stał za atakiem na irańską platformę wiertniczą. Pod wpływem Stanów Zjednoczonych mobilizację wojskową odłożono na czas trwania śledztwa.

Jednak największym zaskoczeniem ze wszystkich był telefon od szefowej kancelarii Jacka Fenwicka, Dori. Jej szef, Don Roedner, Red Gable i wiceprezydent złożyli tego ranka rezygnacje. Dori nie wiedziała nic o operacji prowadzonej przez Fenwicka i wiadomość nią wstrząsnęła. Friday też był wstrząśnięty. Nie mieściło mu się w głowie, jak to wszystko mogło wyjść na jaw. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak się teraz czuje jego dawny mentor.

Żałował, że nie może z nim porozmawiać, powiedzieć czegoś podnoszącego na duchu.

Friday próbował nawet złapać Fenwicka przez komórkę. Odebrał ktoś inny, więc szybko się rozłączył. Nie wiedział, czy szef NSA będzie obiektem śledztwa i czy to śledztwo dotrze też do niego. Friday zwykle nie składał raportów bezpośrednio Fenwickowi. Raportował T. Perry'emu Gordowi, zastępcy dyrektora Departamentu Południowej Azji. Nie było powodu, by do niego dotarli. Gord nie wiedział nic o innych działaniach Fenwicka.

Mimo to, po rozważeniu wszystkich za i przeciw, Friday zdecydował, że najlepiej będzie wyjechać z Baku. W jakieś spokojne miejsce, któremu międzynarodowa prasa nie poświęci zbyt wiele uwagi w nadchodzących tygodniach.

Na szczęście na granicy indyjsko-pakistańskiej rozwijał się kolejny kryzys.

Zamiast wysłać kogoś z Waszyngtonu, Friday postarał się, żeby to jego przeniesiono do ambasady w Islamabadzie w celu zbierania informacji na miejscu.

Następnego ranka z Moskwy wylatuje samolot Pakistan International Airlines.

Friday wyleci z Baku dziś wieczór i dopilnuje, by zabrać się tamtym rejssem.

Byłoby miło, pomyślał, gdyby Fenwickowi wszystko się udało. Z Cottenem w Białym Domu Fenwick miałby bezprecedensowe wpływy i władzę. I każdy z biorących udział

w przewrocie zostałby nagrodzony. Nie tylko za pomoc, ale i za milczenie. Z

drugiej strony, jedną z przyczyn, dla których Friday pracował w wywiadzie, były wyzwania i niebezpieczeństwo. Wykonał swoje zadanie. I zrobił to z przyjemnością. Agent CIA, z tą swoją ostentacyjną arogancją, działał mu na nerwy. Taka arogancja zawsze przycinała Fridayowi skrzydła. Nie pomogła jednak Thomasowi Moore'owi uniknąć zgrabnej pułapki zastawionej przez NSA.

No dobra, pomyślał Friday. Nie wyszło. Czas przejść do kolejnego projektu.

To kolejna rzecz, którą Ron Friday lubił w pracy wywiadowczej. Nigdy nie było tak samo. Nigdy nie wiedział, z kim tym razem będzie pracował -lub przeciwko komu.

W Islamabadzie na przykład nie chodziło tylko o wysłanie dobrego człowieka do punktu zapalnego. Chodziło też o to, żeby wysłać tam właściwego człowieka szybko. Gord słyszał pogłoski, że do konsultacji w sprawie kryzysu indyjsko-pakistańskiego ściągają kogoś z Centrum Szybkiego Reagowania, kto zapewne zostanie też wysłany w tamten rejon. W ciągu ostatnich kilku lat Centrum przejęło sporą część zadań, którymi zajmował się zespół Fenwicka. Doprowadzało to do ciągłych sporów kadrowych i budżetowych wewnątrz NSA. Fenwick dostawał

sumy, których żądał, ale zmieniło to ostrą rywalizację w walkę na śmierć i życie.

Friday dokładnie rozłożył i spakował karabin. Wziął ze sobą dwie paczki amunicji. Ponieważ wjeżdżał do Islamabadu z papierami dyplomatycznymi, jego bagaż nie będzie sprawdzany.

Rywalizacja z Centrum Szybkiego Reagowania jest ważnym zadaniem. Friday udowodnił jednak w Baku, i nie tylko, że bezpośrednie zwycięstwo to nie jedyny sposób, by pokonać przeciwnika.

Kimkolwiek jest Mike Rodgers, wkrótce przekona się o tym na własnej skórze.

PODZIĘKOWANIA

Pragniemy wyrazić wdzięczność Martinowi H. Greenbergowi, Larry'emu Segriffowi, Robertowi Youdelmanowi, Tomowi Mallonowi i wspaniałym ludziom z Pen-guin Putnam, w tym Phyllis Grann, Davidowi Shanksowi i Tomowi Colganowi. Jak zawsze podziękowania należą się też Robertowi Gottliebowi z William Morris Agency, naszemu agentowi i przyjacielowi, bez którego ta książka by nie powstała. Ale przede wszystkim to wy, nasi czytelnicy, musicie ocenić, na ile nasze wspólne przedsięwzięcie jest udane.

Tom Clancy i Steve Pieczenik